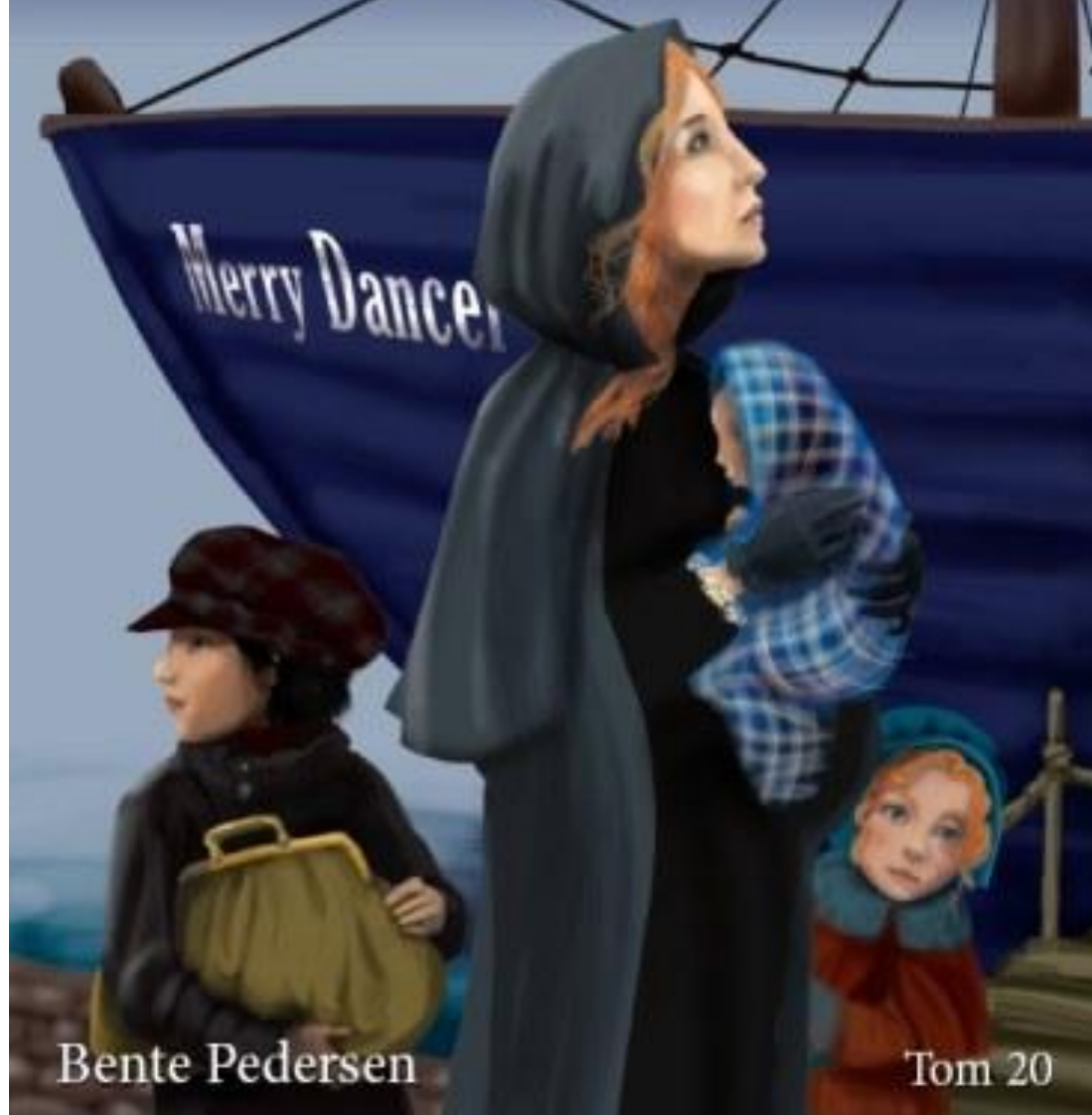


Skandynawska saga

Roza znad fiordów

Katastrofa



Bente Pedersen

Tom 20

Pedersen Bente

Roza znad Fiordów 20

Katastrofa

Roza nie widząc innej możliwości, zawarła umowę z wrogiem. Tylko w ten sposób miała szansę wyjechać i zacząć wszystko od nowa. Wnet też odpłynęła na pokładzie "Merry Dancer" w kierunku Anglii. Co odpowie Maxwellowi Hartowi, który poprosił ją o rękę, gdy jeszcze opłakiwała śmierć swego męża? los jak zwykle zdecydował za nią.

Rozdział 1

9 sierpnia. 1849

Maxwell przyciskał skrzypiącą stalówkę i starannie kaligrafował litery w swoim dzienniku. Czynił to niespiesznie. Zależało mu, by zapisane słowa były wyważone i przemyślane. Nie chciał, by był to jedynie opis podróży do odludnych rejonów Północy. Pragnął szczerze przekazać, czym się naprawdę zajmował. Naczytał się wielu relacji z wielkich wypraw i bez trudu rozpoznawał to, co nazywał swobodną twórczością autora. Jego zapiski miały być czymś więcej niż tylko powierzchownym odzwierciedleniem egzotycznych przeżyć. Pragnął przedstawić ludzi z krwi i kości, prawdziwe uczucia, namiętności i rzeczywiste cierpienie. Dlatego w swym dzienniku unikał konfabulacji, choć ważył każde słowo. Zanurzył pióro w atramencie.

To jedyna sprawa, o którą nie mogę zapytać ojca. Myślałem, że gdy dorosnę, będziemy w stanie rozmawiać na każdy temat. Jak mężczyzna z mężczyzną. Jak równi sobie. Ale gdzieś jakby z oddali słyszę śmiech mojej siostry.

Dzięki, Daisy!

Nie potrafiłbym tak nadużyć zaufania Rozy, jak ty to uczyniłaś. Wydaje mi się, że słyszę, jak się dziwisz: „Po co w ogóle miałbyś o cokolwiek pytać ojca? Wypowia-

dasz słowa z niezwykłą starannością. Każda sylaba jest niczym delikatne stuknięcie w kryształowy kieliszek. Zawsze jesteś taka precyzyjna w doborze słów. Nie mogłabyś się urodzić w którymś z krajów śródziemnomorskich i być dzieckiem dzikiej natury, innej niż nasza - brytyjska. W twym głosie pobrzmiwa taka pewność, gdy mówisz: „Jesteś najstarszym synem, Maxwell, i od dzieciństwa powtarzano ci, co to oznacza. Dojrzej w końcu do swych obowiązków! Nie pytaj i nie proś o radę! Jesteś dorosły, zachowuj się więc odpowiednio! Wykaż się własną wolą i udowodnij, że przemawiasz własnym głosem!”.

Jestem najstarszym synem.

Nie dziedziczę tytułu, jedynie majątek. Nazwisko, posiadłości i pieniądze. Nie wiem ile, ponieważ o pieniądzach w wyższych sferach mówić nie wypada. To nazbyt plebejskie.

Ojciec nie może mnie wydziedziczyć, zresztą nie zechce tego uczynić. Czyżbym próbował sam siebie pocieszać? Tak nisko upadłem?

Dobry Boże, jak ja kocham tę kobietę!

Z przerażeniem patrzę na zapisane na poślóckiej kartce słowa. Odczytuję je. Poznaję własne pismo, litery z charakterystycznymi zawijasami. To wyznanie popłynęło z samej głębi mego serca. Zapisanych słów nie można się wyprzeć.

Kocham tę kobietę.

Nie wiem, co uczynię, jeśli mi odmówi.

Nie wiem, co uczynię, jeśli się zgodzi.

Kiedyś będę dysponował dużą władzą, ale bez tej kobiety jestem nikim. Choć nie potrafię sobie wyobrazić, jakim się stanę mężczyzną, gdy będzie mi dane spędzić życie u jej boku.

Roza Samuelsdatter.

Prosta kobieta z obcego kraju, z nizin społecznych. Jej ojciec był górnikiem. Posiadał splachetek ziemi, nie większy niż wybieg dla źrebiąt w stadninie mojej matki.

Roza Samuelsdatter.

Moja namiętność.

Nie mógłbym jej zaproponować, by po prostu zamieszkała na mój koszt w Londynie. Musiałem poprosić ją o rękę.

Wgłębi serca wierzę, że się zgodzi, bo czyż ma inne wyjście?

Tutejsi ludzie patrzą na nią jak na psa ze świerzbem, a może coś gorszego. Roza jest tu nikim.

Czy ona sama to rozumie? Wierzę, że domyśla się prawdy. Ja w każdym razie nie zamierzam jej tego uświadamiać. Jeśli mi odmówi, przyjmę to z godnością.

Przyznaję, jestem żaloszny. Drzę, gdy pomyślę, co oznacza jej zgoda, której przecież tak pragnę. Śmiertelnie się lękam reakcji ojca. Wiem już, jakie ma zdanie o Rozie. Jakże mógłbym tego nie wiedzieć, skoro to mnie powierza swoje myśli. Boję się też, co powie Daisy, jak traktować ją będzie David.

Byłoby o wiele prościej, gdybym był na miejscu któregoś z moich braci, Malcolma Juniora, Nic-kygo czy Lucasa. Moim przekleństwem jest to, że jestem najstarszym synem, dziedzicem. Mam to we krwi, w każdym skrawku ciała. Gdy byłem dzieckiem, matka zabierała mnie często na przejażdżkę na najwyższe wzgórze. Pamiętam, że siedziałem przed nią w siodle i słuchałem, co mi opowiada. Ona tymczasem powtarzała nieustannie, że wszystko, co roztacza się przed moimi oczami, należy do naszego rodu.

„... wszystko to kiedyś będzie twoje, Maxwell!“. Nigdy nie przyniosłem wstydu rodzicom, ale równocześnie mam bolesną świadomość, że nie sprostałem też ich oczekiwaniom. Nie przypominam żadnego z pierworodnych synów sąsiadów, różnię się też od swych braci. To Malcolm powinien przejąć kiedyś to wszystko, co ma należeć do mnie. Nie zamierzam jednak na to pozwolić.

Wiem, czego oczekuje się od mojej przyszłej małżonki. Powinna mieć właściwe nazwisko i odpowiednie pochodzenie. Powinna to być kobieta, z którą się można pokazać, która urodzi zdrowe dzieci, a przede wszystkim obdarzy mnie synem. Nie może być wplątana w żaden skandal. Młoda i niewinna, ale obyta w arystokratycznych kręgach i pewna siebie. Taka, którą moja matka zaakceptuje bez zmrużenia oka i która nigdy nie przyniesie wstydu rodzinie.

Wiem, że Roza obracała się w wyższych sferach i żyła w bogactwie daleko większym niż majątek naszej rodziny, ale w Georgii życie towarzyskie jest skromniejsze niż to, które czeka ją w Anglii. Wiem też, że jest w stanie obdarzyć mnie dzieckiem. Patrząc jednak oczami mojej matki, stwierdzić muszę, że pozostałych kryteriów nie spełnia.

Zapewne moja decyzja doprowadzi do podziału w rodzinie. Trudno przewidzieć, kto mnie poprze, ale zapewne Cathy i Malcolma Juniora Daisy przekabaci na swoją stronę.

Oferuję Rozie piekło. Nie wolno mi jej oszukiwać, pozwalając wierzyć, że jest inaczej. Zresztą Roza to wszystko wie, jej nie da się tak łatwo omamić.

Czy więc to wszystko jest tego warte?

Istnieje tylko jedna odpowiedź: Tak.

Po raz drugi Malcolm oglądał Rozę Samuelsdatter w żałobie. Miała na sobie ten sam prosty, czarny strój, który przywdziewała na statku, kiedy wracała z Savannah w Georgii do Europy, po śmierci tego przekłętogo Irlandczyka Seamusa O'Connora, który padł od kul wroga gdzieś na wybrzeżu w okolicach Zatoki Meksykańskiej.

Teraz straciła kolejnego męża, więc strój znów okazał się przydatny. Kobiety, które tak jak ona wywodziły się z nizin społecznych, szanowały to, co miały.

Roza Samuelsdatter.

Wdowa po raz kolejny.

Spoglądając w jej niebieskie, szkliste oczy przywodzące na myśl wodę, Malcolm Hart odczuwał tym razem palący wstyd. Kiedy Roza spojrzała na człowieka, łatwo było zapomnieć o jej oszpeconej twarzy. To jej spojrzenie budziło w nim wyrzuty sumienia. Czuje się winny, jakkolwiek beznadziejnie to brzmi. Zdawał sobie z tego sprawę, gdy dopuszczał do głosu rozsądek. Nikt z tych, którzy byli nad rzeką, nie ponosi bezpośrednio winy za śmierć jej męża. Nikogo nie można obciążyć odpowiedzialnością za tę tragedię. Nawet Roza w swej głębokiej rozpacz nie ma prawa wskazywać winnych.

Głęboka rozpacz... Cóż, trudno powiedzieć... Widywał kobiety bardziej zgnębione, mimo że nie straciły męża.

Hart bawił się łańcuszkiem od zegarka, starając się nie dać po sobie poznać zakłopotania, co nie było łatwe.

- Czego sobie życzysz? - zapytał ponuro.

To ona poprosiła go o spotkanie, sam nie miał

chęci z nią rozmawiać. Poszedł na pogrzeb jej męża tylko po to, by mieć na oku swego syna. Nie był ślepy, już wcześniej zauważył, że Maxwell okazuje tej kobiecie niezdrowe zainteresowanie. Zrozumiawszy, że ta fascynacja zrodziła się już dawno i nabrawszy pewności, która ciążyła mu niczym brzemie, pragnął jak najszybciej wyrwać swego najstarszego syna z tych stron zapomnianych przez Boga, a przede wszystkim zabrać go jak najdalej od świeżo upieczonej wdowy, Rozy Samuelsdatter. Usiadła, nie czekając na pozwolenie. Oboje wiedzieli, co chciała w ten sposób zasygnalizować. Roza obracała się w kręgach towarzyskich, gdzie przyswoiła sobie umiejętności przekazywania komunikatu bez słów. Malcolm Hart słyszał krążące o niej pogłoski. Skoro więc posługują się tym samym językiem, nie może rzucić jej wyzwania, popisując się swymi manierami. Pozostaje mu jedynie argument pochodzenia. Niezależnie bowiem od wyrobienia towarzyskiego, w jej żyłach nie płynie błękitna krew.

W Georgii stała się głównym tematem rozmów, gdy tylko przybyła w tamte strony, i nie zapomniano o niej, mimo iż stamtąd odjechała. Ale Malcolm Hart wolał nie poruszać tego tematu, by nie łech-tać niepotrzebnie jej próżności. Wiedział, że ona nie ma pojęcia, jak silnie zapada w pamięć. Idzie przez świat, nie zdając sobie sprawy, jak wielkie robi wrażenie na osobach, które mija po drodze. Gdyby wiedziała, zyskałaby niebezpieczną władzę. Nie zamierzał jej tego uświadamiać. Kobiety pokroju Rozy stają się niebezpieczne, gdy im dać władzę. A Malcolm szczególnie nie lubi nadmiernie wpływowych kobiet.

Zatrzymał się przy oknie i popatrzył na wąski fiord. Zastanawiał się, jak się żyje w takim miejscu, gdzie nie widać horyzontu. Ciekawiło go, jak to wpływa na ludzi. Czy sami mają przez to ciasne horyzonty? Jeśli nawet, to Roza stanowi wyjątek. A może jest dokładnie na odwrót? Może ludzie właśnie z tego powodu łakną czegoś nieznanego?

Malcolm udawał, że zapomniał o Rozie. Sam zadecyduje, jak długo przeciągnąć tę chwilę. To on jest teraz bogiem czasu. Niech nie zapomina, kim jestem, i jaka jest między nami różnica, myślał. Se-amus zapewne wbił jej do głowy swoje radykalne poglądy, które być może nadal w niej tkwią.

Roza ścisnęła kolana i wygładziła dyskretnie spódnicę z cienkiej welenki, tak by opadała równymi fałdami. Opłacało się uszyć strój z tkaniny dobrej jakości. Nie sądziła, że okaże się taki przydatny. Ubranie wygląda jak nowe. Wątpliwe, czy sama pani dyrektorowa Thomas ma tak elegancką kreację. Po śmierci Seamusa O'Connora zręczne szwaczki uszyły strój z największą starannością, na niczym nie oszczędzając. Rozę stać było, by wynagrodzić sownie tych, którzy coś dla niej robili, a oni pracę dla niej uważali za zaszczyt.

Roza pośpiesznie odsunęła tę myśl, czując, że nie pozostawia jej obojętną. Zgrzała się nieco, bo choć u schyłku lata słońce już nie świeciło tak mocno jak w czerwcu, a powietrze było bardziej rześkie, to tego dnia zrobiło się dość ciepło. Pot spływał jej po plecach, ale policzki pozostały chłodne, a włosy u nasady suche. Roza nie zamierzała się przyznać przed Malcolmem Hartem, że jest jej gorąco. Przynajmniej jest jedna zaleta z posiadania takiej twarzy, pomyślała.

Zorientowała się, jaką grę prowadzi Hart, i poczuła się pewniej, że nie jest w stanie jej zaskoczyć.

Kiedy Malcolm odwrócił się wreszcie do niej, ujrzała mroczny zarys jego sylwetki na tle jasnego okna. Wyglądał jak kamienny posąg. Widziała takie wykute w kamieniu posągi mężczyzn zasługujących na szacunek.

Roza milczała. Czekala aż Malcolm Hart odejdzie od okna. Chciała widzieć jego twarz, by móc rozmawiać z nim jak równa z równym. Kapitan Hart nie jest typem mężczyzny, którego chciałaby uhonorować posągiem. Zbyt wiele o nim wie i za dobrze go zna.

- A więc? - powtórzył, podchodząc bliżej i popatrzył na nią pytająco w ten swój specyficzny sposób.

-Maxwell poprosił mnie o rękę - oświadczyła Roza.

- Słucham?

Zastygł i przez moment przypominał posąg, o którym dopiero co myślała. Profil jednak był raczej niefortunny.

Usłyszała w tym krótkim pytaniu echo wielu setek lat wychowania. Rozbawiło ją to, ale nie dała tego po sobie poznać. Zresztą, w jej przypadku nie było to trudne. Twarz jej nawet nie drgnęła.

-Twój syn zaproponował mi małżeństwo - powtórzyła spokojnie, nie spuszczając wzroku z Harta.

Sytuacja bawiła Rozę. Pulsowała w niej złośliwa radość. Oto ojciec Daisy. Margaret jest jego oczkiem w głowie. Niech więc płaci choć trochę za to, co winna jest jego latorośl. To i tak za mało. Ten rachunek nigdy nie zostanie wyrównany, ale Roza nie jest taka drobiazgowa. Rozkoszowała się tą chwilą, odczu-

wała satysfakcję. Nie miała żadnych skrupułów, ciesząc się z tego, że on odczuwa przykrość. I tak żaden z Hartów nie doświadczy takiego cierpienia, które zrównoważyłoby to, jakie jej zadano.

- To jakiś niesmaczny żart? - zapytał Malcolm Hart, przeczesując silną dłońią nadal gęste, choć coraz bardziej siwe włosy.

- O tym czy to zabawne, czy nie, niech pan sam zadecyduje, mister Hart - rzekła Roza, panując nad swym głosem, by jej słowa budziły szacunek. Przyszło jej to bez trudu. W końcu dorastała jako córka Wielkiego Samuela. - Po prostu chcę zorientować pana w sytuacji - dodała, okazując mu tę samą przekorę, jaką okazywała ojcu. Malcolm Hart też nie może nic jej zrobić. Jest równie bezradny jak jej pod koniec swego życia pozbawiony stóp ojciec. - Maxwell zaproponował mi małżeństwo. Odebrałam jego propozycję, jako bardzo poważną.

Zacisnęła wargi z lodowatym spokojem. Nie na darmo wychowała się tuż pod biegunem. Nie musi wyprawiać się na pokryte lodem tereny jak ta francuska mamsell, która była tu z ekspedycją naukową. Rosa zna lód. Przez dwadzieścia siedem lat życia był jej nieodłącznym towarzyszem.

Dłonie splecione na podołku nie drżą. Nie jest już młodym dziewczęciem. Nie pozwoli, by inni traktowali ją, jak im się podoba.

Jestem niezależna, pomyślała z dreszczem zadowolenia.

Uświadomiwszy to sobie, poluzowała uścisk i prawie się uśmiechnęła. Czowała się niczym wygrzewający się na słońcu kot, który leniwie bawi się z pozbawioną jednej kończyny myszką.

Teraz to Malcolm Hart poruszał nerwowo pal-

cami. Chwycił fajkę opartą o jedną z licznych popielniczek. Nabijał ją, mimo że zapomniał włożyć świeży tytoń. Oboje wiedzieli, że Roza znalazła rysę w równej, lśniącej powierzchni. Oboje też zdawali sobie sprawę, że teraz od niej zależy, czy błyszcząca emalia popęka, odsłaniając to, co ukryte pod spodem.

- Czyżbyś usiłowała wyrzucić presję na mnie i mojej rodzinie, Rozo?

Dziwne uczucie. Nie przywykła, by mieć nad kimś przewagę. Wystarczająco często słyszała, że jest nic nie warta. Wykrzykiwano jej to głośno, albo szeptano za plecami. Łatwo ją było w tym utwierdzić, bo sama nie ceniła siebie wysoko. Tylko niekiedy, gdy pozwalała sobie wierzyć w to, czego właściwie nie pojmowała, zdawało jej się, że jednak jest kimś. Teraz to poczucie przewagi wprost ją oszołomiło. Doznała przyjemnego mrowienia, a właściwie rozkosznego drętwienia jak podczas kąpieli w lodowatej wodzie. A zdawało jej się, że już nigdy nie zazna rozkoszy. Mimowolnie przypomniawszy sobie Jensa i zacisnęła powieki, powtarzając w duchu: Jens nie żyje, spoczywa w grobie. Już go nie ma. Nic po nim nie pozostało. Nawet Synneve.

Nie wolno mi teraz o tym myśleć, to nie mieści się w granicach rozsądku, a teraz przede wszystkim powinnam się trzymać rozsądku. Tylko w ten sposób mam szansę pójść dalej.

Muszę zachować jasność myślenia, klarowny umysł. Żadnych emocji ani współczucia dla cudzego cierpienia. Ten czas, kiedy współczułam każdemu, już minął. Teraz muszę myśleć o sobie. Tylko z tego jest jakiś zysk.

Powinnam być jak Jenny, która tak naprawdę ma na imię Jennifer. Lepiej byłoby dla mnie tkwić w cieniu Seamusa i kultywować pamięć o nim. Może wówczas stałabym się kimś. Dokonałam niewłaściwego wyboru tylko dlatego, że w przeciwieństwie do Jenny myślę sercem. Żona Joe jest przebiegła i kieruje się rozsądkiem, dlatego jej nigdy nic złego się nie przydarzy.

Jestem głupia, bo ulegam uczuciom.

Rozsądek jest o wiele ważniejszy od uczuć. Muszę o tym pamiętać, zwłaszcza w kontaktach z rodziną Hart.

Max mnie znienawidzi.

Choć może też zrozumie.

-Uznałam, że właściwie będzie przyjść z tym najpierw do pana - rzekła Roza, unikając bezpośredniej odpowiedzi na pytanie Malcolma.

Nikommu się nie uda spowodować, by czuła się jak ktoś gorszy, jak ktoś mniej wartościowy. A już zwłaszcza nikomu z klanu Hartów. Roza Samuels-datter zna dobrze swoją wartość.

- Zamierzasz więc poślubić mojego syna? - zapytał Malcolm Hart, starając się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

Miał nadzieję, że Roza nie wychwyci niepewności i nie zorientuje się, jaką ma nad nim przewagę. Czuł się tak, jakby chłód z Oceanu Lodowatego otulał go ze wszystkich stron.

Wiedział tylko tyle, że do takiej sytuacji nie może dopuścić. Nie pozwoli na to, ot co! Maxwell przeznaczony jest do innego, o wiele wytworniejszego życia, niż życie u boku tej kobiety!

- Nie dałam mu jeszcze odpowiedzi - rzekła Roza. A, o to chodzi! Słusznie się domyślał, że chce go zaszantażować.

Zresztą, czego się spodziewać po kimś takim?

Szumowina zawsze pozostanie szumowiną. Nawet teraz, ubrana w nobliwą czerń, stanowiła wiarygodny obraz żałoby, a mimo to przemyślnie próbowała zagarnąć dla siebie więcej niż jej się należało. Nie tego się oczekuje po pogrążonej w rozpacz wdowie.

- Mówisz mi więc to tylko dlatego, by mi oddać przysługę? - zapytał przeciągle.

Roza wzruszyła ramionami. Nie miała żadnego powodu do wyrzutów sumienia. Hartowie winni jej byli o wiele więcej, tyle że nigdy nie zdołają się jej wypłacić. Oczywiście, mogłyby to przemilczeć i zapłacić za to, z czym przyszła do Malcolma, ale rozsądek podpowiadał jej, że będzie potrzebowała całej swej fortuny. Skończyły się czasy, gdy mogła rozdawać na prawo i lewo, nie otrzymując nic w zamian.

- Pomyślałaś też, że ta przysługa jest warta tyle co inna?

Roza przytaknęła.

- Czego żądasz? - zapytał Malcolm Hart krótko jak przy ubijaniu interesów. Gotów był na spore ustępstwa i wyczuł, że Roza o tym wie. Miała przewagę.

- Niewiele - odparła równie handlowym tonem. - Niewiele, mr Hart...

Rozdział 2

Maxwell zatrzymał się z niedowierzaniem i wyteżył słuch. Czy to nie głos Rozy? Niemożliwe! Roza rozmawia z ojcem? Jest ostatnią osobą, na którą spodziewałby się natknąć tu, w The House. A już w ogóle nie przyszłoby mu do głowy, że mogłaby odwiedzić jego ojca. Nie darzyli się wzajemnie podziwem. Stał w holu oparty dłonią o ścianę wyłożoną ozdobną tapetą. Zwykle zatrzymywał się na środku holu, skąd była doskonale widoczna, by podziwiać malowidła. Miał zmysł estetyczny i potrafił docenić piękno. Teraz jednak, słysząc głos Rozy, gotów był zachować się jak jakiś nędznik kierujący się najniższymi pobudkami.

Stwierdził, że jeśli przystawi ucho tuż przy ścianie, to może rozpozna jeszcze jakieś głosy, a nawet rozróżni słowa.

A gdybym tak odważył się podejść do drzwi, za którymi ojciec rozmawia z tą, o której myślę o każdej godzinie dnia, a którą traktuję po cichu jako wybrankę mego serca? Bez trudu usłyszałbym treść rozmowy i dowiedziałbym się, o czym tych dwoje rozmawia za moimi plecami, kusił go wewnętrzny głos. Ale przecież nie wypada! Przypomniał sobie upomnienia z dzieciństwa, wypowiedane przez starą

nianię, później przez oboje rodziców, a potem przez wychowawców w szkole z internatem. Jego życie składało się z licznych „nie wolno”. Osaczały go niczym płot z wysokich, ostrych prętów.

Tylko plebs, ciemnota, podsłuchuje pod drzwiami. Bywa też, że niektóre z dam z wyższych sfer przejawiają takie skłonności, ale przecież nie mężczyźni wysoko urodzeni, tak jak on. I nawet na krańcu świata, tuż pod biegunem północnym, w okolicy zapomnianej przez Boga i ludzi, nie czuł się zwolniony z tego kodeksu. Wprawiłoby go w konsternację, gdyby ktoś spośród służby dyrektora Thomasa przyłapał go w takiej hańbiącej sytuacji, mimo to nie był w stanie się stamtąd wycofać. Pożłacane, pulchne amorki na kolumnach przy schodach zdawały się uśmiechać szyderczo.

Co Roza tutaj robi? - zastanawiał się gorączkowo. - Czemu rozmawia z moim ojcem? Przyszła tu z własnej woli, czy też ojciec ją poprosił o spotkanie? Co tych dwoje ma do omówienia pod moją nieobecność?

Maxwell nie dopuszczał do siebie zwątpienia. Żywił wobec Rozy tak intensywne uczucia, że pragnął jej ślepo wierzyć. Bolało go, że z takim trudem przychodzi mu odrzucenie wszelkich wątpliwości. Nigdy by się nie spodziewał, że będzie przeżywał takie męki.

Zawsze się naśmiewał z kompanów opowiadających w kółko o kobietach, które skradły im spokój duszy - zazwyczaj były to takie, z którymi panowie z wyższych sfer się nie żenili, swobodne ptaki ustrojone w barwne, błyszczące pióra, które na chwilę mogły oślepić, ale których urok zbladłby zapewne wraz z upływem dni.

Śmiał się z kamratów, nazywając ich głupcami, a ich uczucia groteską. Miłość, złamane serca, nieszczęśliwi kochankowie, którzy wreszcie dostawali siebie, to dobre na scenę, choć w nadmiarze szybko nudzi widzów.

Przekonywał ich, że miłość do jednej kobiety to za mało, by wypełnić życie mężczyzny. Taką bzdurę wymyślić mogli tylko idioci.

Ależ ci kompani mieliby używanie, gdyby go teraz ujrzeli! Wyśmialiby go i wzięliby odwet za te wszystkie żarty i kpiny. I czuliby słodki smak zemsty, widząc jak Maxwell cierpi.

Ból w piersi nie jest wytworem jego wyobraźni, a nie może się przecież nikomu poskarżyć, bo z pewnością uznano by, że oszalał.

Diagnoza tymczasem jest jednoznaczna: on, Maxwell Hart oszalał na punkcie Rozy Samuelsdatter.

Wielu miała już mężów, dokładna liczba nawet nie jest mu znana. Dotykało ją wiele rąk. Nie jest dziewiczym kwiatem, który muska się opuszkami palców.

Maxwell sam nie wie, co w niej jest takiego, co pozbawia go wszelkiego rozsądku. Tak trudno to określić, język nie dysponuje słowami, które w pełni by ją opisały. Pewnie nawet sam Szekspir miałby kłopoty z wiarygodną charakterystyką Rozy. Rozę trzeba poczuć zmysłami.

Maxwell bronił się jak mógł, a jednak to, co zaczęło się od nieśmiałej, dyskretniej przyjaźni, urosło do rangi miłości.

Nie był zaślepiony i domyślał się, że Roza nie odwzajemnia jego uczuć. Znali się na tyle długo, że gdyby miała się w nim zakochać, dawno by się już to stało. Zdawał sobie sprawę, że nie należy do tego

typu mężczyzn, dla których Roza traci głowę i obdarza szaleńczą miłością. Takie uczucia są zarezerwowane dla innych.

Takich jak Seamus O'Connor czy Mattias Mat-tiassen.

W porównaniu z nimi wypadł blado, ale na jego korzyść przemawia to, że w przeciwieństwie do tamtych, żyje i może jej pomóc. Roza została sama i potrzebuje kogoś, kto by się nią zaopiekował. Tym razem Maxwell nie stoi nieporadnie w ciemnym kącie i nie czeka, aż ktoś inny wyciągnie do niej rękę i poprosi do tańca. Teraz przyszła kolej na niego.

Usłyszał, że ojciec mówi coś cicho i poczuł zazdrość. Zazdrość wprawdzie zdawała się w tym momencie całkiem nieuzasadniona, ale jego uczucia do Rozy nie podlegały żadnej logice. O czym ojciec rozmawia z Rozą tak poufale? Maxwell poczuł, jak obręcz zaciska się na jego sercu. Ojciec jest perfekcjonistą w każdym calu. Zgodnie z zasadami, w jakich został wychowany, Maxwell powinien dążyć, by go naśladować, ale do tego ideału się dotąd nawet nie zbliżył.

Pozostawał tylko jeden sposób, by uciszyć niepokój i dowiedzieć się prawdy. Maxwell odgonił tę odrobinę strachu, którą wciąż podświadomie czuł wobec ojca. Uznał, że nie przystoi prawie trzydziestoletniemu mężczyźnie lękać się ojca.

Położył spoconą ze zdenerwowania dłoń na chłodnej kłamce. Był niemal pewny, że przebywający w pomieszczeniu Roza i ojciec usłyszeli skrzypnięcie drzwi. Teraz już nie mogą zrejterować, pomyślał. Nawet jeśli bym próbował uciec, nie zdążyłbym tego uczynić niezauważony.

Nie chciał się pokazać Rozie od takiej strony, odetchnął więc głęboko, przez zaciśnięte zęby wypuścił powoli powietrze, po czym wszedł do urządzonego w angielskim stylu saloniku dla palaczy.

Roza siedziała w głębokim fotelu z brunatnej skóry i wydawała się jeszcze drobniejsza i bardziej krucha w czarnej, żałobnej sukni. Spotkał w swym życiu wiele wdów, które do kresu swych dni nie rozstały się z żałobą, jakby w ten sposób chciały podkreślić, jak wielką poniosły stratę. W niektórych kulturach czy religiach wprost wymagano tego od nich. Maxwell często nad tym rozmyślał i żał mu było owdowiałych kobiet, które pozbawiano radości, barw i śmiechu. To musi być wyjątkowo bolesne! Zresztą, czy to ma jakikolwiek związek z rozpaczą po stracie bliskiej osoby? Cierpienie nie przybiera żadnej konkretnej barwy, a nawet jeśli by miało, to według Maxwella nie byłaby to czerń.

Spojrzenie błękitnych oczu Rozy pozbawiło go nieomal tchu. Za każdym razem doznawał tego samego. Poczul na sobie także wzrok ojca i miał wrażenie, że przygwożdżony, nie zdoła ruszyć się z miejsca.

W przeciwieństwie do mnie Roza ulepiona jest z tej samej gliny co ojciec, uświadomił sobie nagle ze szczególną jasnością.

- Nie wiedziałem, że jesteś w domu - stwierdził Malcolm Hart, nieśpiesznie zapalając cygaro. Dopiero gdy się zaciągnął, obrzucił spojrzeniem Rozę i uniósłszy brwi, zwrócił się do niej: - Chyba nie masz nic przeciwko temu, że palę, miss Rosie?

Lekko pokręciła głową, a frędzle zawiązanej na włosach chustki zatańczyły.

Na jej twarzy czai się niemy śmiech, jakby przejrzała ojca, pomyślał Maxwell. Ale najwyraźniej jest jej zupełnie obojętne, jakie ojciec ma o niej zdanie.

Maxwell zastanawiał się czy owo zdrobienie, jakim zwracano się do Rozy w Ameryce, a którym posłużył się ojciec, miało ją w jakiś sposób upokorzyć. Tych dwoje łączyła jakaś tajemnica, do której on nie ma przystępu. Nie zna bowiem tak jak oni zwyczajów panujących w Nowym Świecie, w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Roza ma za sobą wiele doświadczeń, o których on nie ma pojęcia. Czy to właśnie chce mu uświadomić ojciec? Czy Roza zrozumiała, co Malcolm Hart miał na myśli, mimo że dla Maxwella było to jak szyfr?

W pomieszczeniu rozeszła się woń cygara, a dym otulił ich i niemal odurzył zmysły. Maxwell przeszedł niedbałym krokiem i niby przypadkiem przysiadł na poręczu fotela, w którym siedziała Roza. Odsunęła się lekko na bok, ale tylko odrobinę, by nie odczuł tego jako nieuprzejmość. Maxwell nie dopuszczał nawet do siebie myśli, że go odtrąca. Jeśli jednak, to nienajlepiej rokuje to jego planom na przyszłość.

Ale przecież, czy Roza może odrzucić jego oświadczyzny?

- Myślałem, że Maxwell poszedł zbierać kwiatki - rzucił szyderczo Malcolm i uśmiechnął się z tym samym wdziękiem co Daisy. Pierwsze, co rzucało się w oczy u tych dwojga, to urok osobisty. Niektórzy zresztą nie dostrzegali, że to tylko fasada. Maxwell jednak znał też inne oblicza ojca i siostry. Roza też, dlatego nie obawiał się, że da się omamić czarującemu spojrzeniu Harta seniora.

- Mój syn opowiadał tak ciepło i kwieciście o florze Północy - wyjaśnił Malcolm z szatańskim błyskiem w oku.

Maxwell spodziewał się najgorszego. Znał strategię ojca.

Zwracał się uprzejmie do ofiary i uśmiechał się, by zniechęca rzucić się na nią jak tygrys. Maxwellowi zbierało się na mdłości, czuł, jak ściska go w żołądku. Przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie doświadczał tego samego, gdy coś przeszkrobał.

- Ale... - przeciągał Malcolm tym swoim przeklętym tonem, przenosząc wzrok na Rozę i uśmiechając się kącikiem ust - teraz rozumiem, że na myśli miał także inne kwiaty.

Maxwell zastanawiał się, co się kryje za sarkazmem ojca.

Odnosił wrażenie, że ojciec zna jego tajemnicę, ale to akurat było niemożliwe. Chyba że... Maxwell popatrzył na Rozę pytająco, jeszcze bardziej zaintrygowany, o czym rozmawiała z jego ojcem.

- Roza powiedziała mi właśnie, że poprosiłaś ją o rękę.

Maxwell na moment zamknął oczy. Zdawało mu się, że to jakiś koszmar, że jakiś upiorny głos unosi się powietrzu wraz z oparami dymu. Maxwell nie dowierzał w to, co słyszy. Zdawało mu się też, że

i Roza wstrzymała oddech.

- Masz taką minę, że można by odnieść wrażenie, iż jest to dla ciebie zaskoczenie - zauważył ojciec oschle i udając rozbawienie, usiadł naprzeciwko nich i wyciągnął wygodnie nogi. Był wyższy od syna i o wiele bardziej muskularny. Maxwell pozostał szczupły, mimo że nie wyglądał już jak chłopiec.

Za plecami Rozy uchwycił się oparcia fotela. Nie

dotknął jej, chciał jedynie poczuć jej bliskość. Uświadomił sobie jednak, że skoro potrzebuje tego, by poczuć się mężczyzną, to na nią nie zasługuje.

- Cóż - rzekł Malcolm. - Nie potwierdzasz, synu? Chyba pamiętasz, że się oświadczyłeś, prawda?

- spytał z ironią. - Nie chcę nawet słyszeć, że mój syn nie dotrzymuje słowa!

Maxwell nie był głuchy na lodowate szyderstwo w głosie ojca.

- Owszem, zaproponowałem Rozie małżeństwo

- odrzekł Maxwell. W gardle mu zaschło, dalsze słowa utkwiły mu w krtani i miał wrażenie, że się zaraz udusi.

Roza wstrzymała oddech, jakby się przysłuchiwała, a kiedy Maxwell odwrócił się lekko w jej stronę, zdziwił się, jaką grę prowadzi ojciec. Roza wydawała się bowiem tak samo zaskoczona jak Maxwell, co oznacza, że rozmawiała z Malcolmem o czymś innym. Ale jednak wspomniała też i o jego propozycji...

- Roza nie dała mi jeszcze odpowiedzi - dodał Maxwell pośpiesznie, by jeśli to możliwe, ochronić przynajmniej ją przed spodziewaną wściekłością ojca.

Malcolm uśmiechnął się szeroko. Takie or/licze ukazywał zwykle swoim nowym partnerom w interesach lub potencjalnym zięciom. Maxwell nigdy by się nie spodziewał, że taki sam uśmiech przeznaczony jest dla potencjalnych synowych.

Maxwell zawsze sądził, że więcej zastrzeżeń wobec kandydatek na żony dla swych synów będzie miała matka, zaś ojciec, jako mężczyzna, łatwo da się im oczarować. Zwłaszcza, że miał słabość do kobiet.

Ale też nigdy wcześniej Maxwell nie rozważał na

poważnie tego, że jako swą wybrankę przedstawi rodzicom Rozę Samuelsdatter.

- Roza jest mądrzejsza od ciebie, synu - stwierdził Malcolm. - Przyszła się bowiem mnie poradzić.

Maxwell nie wierzył własnym uszom. Wydało mu się niepojęte, że Roza właśnie w tej sprawie przyjdzie po radę do Harta seniora. Ponieważ jednak siedziała obok milcząca, nawet nie próbując zaprzeczyć, Maxwell całkiem się zagubił. Ledwie zdołał z siebie wydobyć:

-I jakiej udzieliłeś jej rady, ojczy?

Nie miałam zamiaru, by Maxwell mnie tu zastał, rozmyślała tymczasem Roza. Nie powinien wiedzieć o mojej wizycie. Ja także sądziłam, że nie ma go w domu. Ale co się stało, to się nie odstanie. Zabawne, w jaki sposób jego ojciec próbuje wybrnąć z niespodziewanej sytuacji. Jego zręczność zasługuje na podziw. Przynależałam sobie kiedyś, że będę traktować Malcolma Harta obojętnie. Kiedy widzieliśmy się ostatnio, nie było to trudne, sądziliśmy bowiem, że to nasze ostatnie spotkanie.

Ale życie jest jak rozpięta na krosnach tkanina, w której wciąż przybywa nowy wątek. Nie mam wpływu na to, co się teraz dzieje. Mogę się tylko przyglądać, jakich barw dołoży do tego gobelinu Hart senior.

Podobnie jest z kompozycją utworzoną przez kamienie wyrzucane na brzeg przez fale. Niektóre lśnią piękniej od pozostałych, a trafiają się też pomiędzy nimi muszle albo ich kawałki. Połyskuje macica perłowa, mieniając się jak tęcza. Ale to, co dla jednych jest tęczą, dla innych pozostaje niewidoczne.

Przecież Malcolm wie, że rani Maxwella, a jednak czyni to z premedytacją. Zamierzałam dokonać tego inaczej, jednym cięciem, w sposób z pozoru przynajmniej bardziej przyzwoity i wyważony.

Ale tak się nie stanie. Nie z mojej bynajmniej winy. Jestem suchym liściem, gdy tymczasem Malcolm jest wichrem, dmuchającym w żagle i pchającym statki na południe kuli ziemskiej. Teraz to już nie ja ustalam reguły gry.

Zresztą, nigdy nie ustalałam.

Z uwagą śledzę jego przytyki, jego pomysłowość i wyczuwam napięcie Maxwella. Sądziłam, że Max jest swoistym buntownikiem w swym sztywnym, chłodnym świecie brytyjskich bogaczy, nawet kiedyś uważałam go za romantycznego rebelianta. Ale rebelianci się tak nie boją.

Max jest tym synem, który ma przedłużyć ród Hartów i jest tego świadomy.

Oboje jesteśmy dorośli.

Ja sprzeciwiałam się ojcu, odkąd byłam na tyle duża, by biegać szybciej od niego. Maxwell tymczasem wciąż jeszcze nie ma odwagi tego uczynić, zwłaszcza stojąc z nim twarzą w twarz. Malcolm Hart ma rację. Maxwell nadal jest zdany na jego łaskę i niełaskę. Nie ma nic na własność.

Maxwell o tym wie.

Teraz przynajmniej i ja zyskałam taką wiedzę. I tak samo jak Maxwell mogę tylko poddać się podmuchom wiatru. Słucham i uczę się reguł gry - mimo że zmieniają się co chwila - ale biorę w niej udział.

-Zdaję sobie sprawę, że jesteś dorosły, synu -mówił Malcolm ze spokojem i wyrozumiałością,

jednak Maxwell nie wierzył ani trochę w szczerą jego intencję.

- Ale przecież chyba możemy nadal ze sobą rozmawiać - dodał senior, by rozproszyć ciszę, która zaległa w pomieszczeniu.

- Czyżby Roza zdążyła udzielić odpowiedzi? - zapytał Maxwell z przekąsem, ale zauważywszy wyrzut w jej oczach, zmienił natychmiast ton.

- Nie dałam żadnej odpowiedzi - odezwała się Roza, kładąc nacisk na każde słowo. - To ty mnie prosiłeś o rękę i ty jako pierwszy usłyszysz, jaką podjęłam decyzję, Maxwell.

Malcolm Hart obserwował ich rozbawiony. Może mój syn przy okazji dostanie nauczkę, która już dawno mu się należała, pomyślał. Przynajmniej będzie z tego jakaś korzyść. A już mi się zdawało, że ta transakcja przyniesie same straty.

- Nie żartujmy - upomniał senior, splatając dłonie na brzuchu. Łańcuszek od zegarka chłodził mu nadgarstek, a przy okazji przywoływał go do rozsądku, by nie posuwał się zbyt daleko.

- Pozwólcie, że przy pomocy sekstanta wytyczę kurs dla was - rzekł. - Potraktujcie to jako moją propozycję! Potrafię nawigować na nieznanym wodach. Określę odległości i kierunek, choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie będzie to jedyny możliwy. Może w tym rejsie nie czeka was tyle mielizn jak na wodach, na których zazwyczaj żegluję. Zdołałem ominąć niejedną rafę pod różnymi szerokościami geograficznymi, przywykłem więc, by zachować ostrożność, czasem nawet przesadną. Możecie, oczywiście, obrać własny kurs, który zaprowadzi was dokąd chcecie...

- To nie żegluga, ojcze! Malcolm Hart wzruszył ramionami.

-Pozwól mi najpierw przedstawić propozycję, zanim zaczniesz mnie krytykować, synu.

- Słuchamy - odparł Maxwell chłodno. -Zakładam oczywiście, że Roza przyjmie twoje niespodziewane i dość impulsywne oświadczenia -rzekł Malcolm Hart, rzucając niewinne spojrzenie na Rozę.

Obserwowała go z jeszcze większym zainteresowaniem, niż czynił to jego syn. Nie miała co do tego żadnych złudzeń.

- Właśnie - rzekł Maxwell.

- Myślę, że zdecydujemy się wówczas udać jak najszybciej na wschód - powiedział Malcolm. - O rzece Tana słyszeliśmy wiele i kusi nas, by spróbować tam szczęścia. Wypadek męża Rozy zniechęcił nas do połowów w Alta.

Maxwell zmusił się do milczenia.

- „Merry Dancer” przyplynie tu, zanim zdążymy wrócić, ale mój statek poczeka na mnie.

Roza pomyślała sobie, że odwoływanie się do własności jest w tym wypadku mocno wątpliwe. Malcolm powinien raczej ugryźć się w język, kiedy siedzi naprzeciwko mnie, tymczasem nie znać po nim najmniejszego zmieszania. Pewnie to normalne dla ludzi wysokiego urodzenia. Wydaje im się, że cały świat należy do nich. Nie mają żadnych oporów ani tego poczucia wstydu, które jej wpajano od dzieciństwa.

Uważają, że im wszystko wolno. Nawet przywłaszczyć sobie cudzą własność. Jej własny ojciec nazwałby to wprost kradzieżą.

- Twoje amory, synu, zrobią raczej złe wrażenie na tutejszych mieszkańcach. Roza dopiero co została wdową. Żadnemu z was nie przyniesie korzyści, jeśli utraci ona dobre imię.

Roza zaśmiała się w duchu.

- Dlatego też, nie spojrzysz nawet w jej stronę, póki nie wejdziemy na pokład i nie wypłyniemy na otwarte morze, mój chłopcze. Nie życzę sobie, by po naszym wyjeździe w osadzie huczało od plotek. Przez ten czas, gdy będziemy łowić w Tana, Roza dojdzie do przekonania, że nie chce spędzić tu, na Północy, reszty życia. A ponieważ jest dawną znajomą, zarówno twoją jak i mojej córki, nie odmówię, gdy zwróci się do mnie z prośbą, bym zabrał ją i jej rodzinę z Finnmark. Ludzie zrozumieją, w jakiej mnie stawia sytuacji i uznają, że tyle przynajmniej mogę dla niej zrobić.

Maxwell ujrzał znów przed oczyma ciało Mattiasa niknącego w nurcie. Po raz kolejny przekonywał samego siebie, że nic nie dało się zrobić, by go uratować. Ale czuł ukłucie w sercu, gdyż przez ułamek sekundy nie chciał wcale ruszyć z pomocą. Z tym przyjdzie mu żyć. Nie zwierzy się z tego nikomu, zwłaszcza Rozie.

- Nikt nie potrzebuje wiedzieć, jak daleko stąd Roza wyjedzie.

- A potem? - zapytał Maxwell.

To nie był żaden plan, raczej dyktat. Znał swego ojca na tyle, by mu nie dowierzać. Nie wierzył, by ojciec pogodził się z jego decyzją, uznając jego prawo do wielkiej miłości. Sam przecież wkładał mu do głowy przy każdej okazji, że małżeństwa nie zawiera się z miłości lecz z poczucia obowiązku. Kiedy już mężczyzna zadba o przedłużenie rodu, może wówczas ulec żądom ciała i podszeptom serca, ale nie wcześniej.

-Więc decydujcie - rzekł Malcolm Hart, a gdy milczeli, dodał: - Spodziewałem się po tobie więcej

inwencji, synu. Chyba nie sądziłeś, że wytyczę także kurs dla twojego małżeństwa? Oczekuję, że przynajmniej coś załatwisz sam.

- Nie mam nic przeciwko temu planowi - odparł Maxwell sztywno i zerknął na Rozę, która siedziała nieruchomo niczym posąg w kościelnym portalu. - A ty?

- Jeszcze nie dałam ci odpowiedzi, Maxwell - odpowiedziała bardzo cicho.

- Być może wyprawa na wschód zajmie nam dwa tygodnie - uznał Malcolm Hart, a w jego oczach pojawił się błysk szlifowanych kamieni szlachetnych. - Dwa tygodnie powinno wystarczyć nawet najbardziej chwiejnej kobiecej naturze - rzucił lekko i wypuścił z ust chmurę dymu, która przybrała najróżniejsze kształty. - Muszę powiedzieć, Rosie, że akurat o to nigdy bym cię nie podejrzewał. Zawsze zaskakiwało mnie twoje zdecydowanie. Przekonałem się, że jesteś kobietą, która wie, czego chce, a także wie, jak to osiągnąć...

Nie krył zupełnie swego rozbawienia, co wydało się wręcz niestosowne w sytuacji, gdy Roza dopiero co straciła męża. Ledwie zdążyli pochować go. Ale choć o tym Malcolm doskonale wiedział, zupełnie go to nie żenowało.

Roza nie odwzajemniła uśmiechu. '

- Dwa tygodnie to aż nadto, mister Hart - odparła. - Ale odpowiedź otrzyma pański syn, nie pan, nawet jeśli uzna to pan za niestosowne.

- A do tego jeszcze wynosisz się ponad obowiązującą moralność - dodał Malcolm, nie przestając się uśmiechać.

Maxwell skurczył się w sobie. Roza nie zasługuje na takie traktowanie! Nie zdobył się jednak na jej

obronę. Zabrakło mu odwagi. Może rzeczywiście jest tchórzem.
-Jeśli nawet, panie Hart - odparła słodko - to nie różnię się od pana...

Rozdział 3

Roza nie wróciła od razu do siebie. Uznała, że musi spokojnie pomyśleć. Wiedziała, że pod opieką babci Lei może pozostawić dom nawet na parę godzin. A ponieważ nadal łączyła je bardzo silna więź, nie lękała się, że babcia będzie się o nią martwić. Wizyta w The House przebiegła inaczej niż przypuszczała. Zaskoczyło ją, że Malcolm Hart okazał się taki skłonny do kompromisu. Z czasów, gdy robił interesy z Seamusem, zapamiętała go jako człowieka pozbawionego wszelkich skrupułów. Pieniądze traktował jak bóstwo, a jedyną wartością był dla niego zysk i wcale się z tym nie krył. Jego bezwzględność przerażała Rozę. Wprawdzie Seamus też przejawiał czasem podobne cechy, ale nie w takim stopniu. Przynajmniej tak jej się zdawało, choć w oczach innych ludzi mogło to wyglądać inaczej. Maxwell kompletnie nic nie rozumie, ubolewała w duchu. Ojciec zamącił mu w głowie. Kto wie, być może mnie też próbuje oszukać?

Przypuszczała jednak, że, tak czy inaczej, dostanie to, czego zażąda. Nie wiadomo tylko, jaką cenę przyjdzie jej zapłacić. Być może większą, niż brała

wcześniej pod uwagę. Pewne jest tylko, że Maxwell będzie cierpiał. Malcolm Hart okazał się wobec niego wyjątkowo surowy.

Roza nie poszła w stronę Krety.

Uśmiechnęła się prawym kącikiem ust, a lewy też jakby lekko drgnął, mimo że lewy policzek pokryty od dzieciństwa bliznami po poparzeniu uniemożliwiał mimikę.

Ojciec zawsze podkreślał, że Samuelsborg leży poza granicami Krety. Ciekawe, co by powiedział, gdyby żył i widział, jak Kreta powoli wchłania jego królestwo! Na nic zdałby się jego upór i tak nie przekonałby nikogo, bo Kreta otaczała już ze wszystkich stron dom, w którym się wychowali. W pewnym sensie wydaje się to właściwe, myślała Roza. Przecież bardziej pasujemy do mieszkających nad odnogą fiordu Tornedalczyków niż do Norwegów, którzy się osiedlili po drugiej stronie Kopalni.

Dyrektor i urzędnicy w The House są w każdym razie ulepieni z innej niż ona gliny i Roza na pewno nie zapuściłaby w takim miejscu korzeni.

Ruszyła poza osadę, jak to kiedyś czyniła często. Minęła młyny i domy norweskich robotników. Już nie ściska ją serce, gdy patrzy na budynek, w którym mieszkał kiedyś Jens. Domy inżynierów też nie przywołują bolesnych wspomnień. Tak naprawdę wspomnienia nosi w sercu i nawet gdyby chciała, to od nich nie ucieknie.

Roza czuła na sobie spojrzenia nielicznych napotkanych mieszkańców. Spojrzawszy na nią, bez słowa odwracali wzrok. Nie jest głupia, dobrze wie, co o niej myślą. Zresztą pewnie przez okna podglądają ją też inni, chyba poruszyły się firanki... Ale może to tylko wyobraźnia płata jej figle?

Miała wrażenie, że minęły wieki, odkąd tu, w Kopalni, skupiało się całe jej życie, a ciemności podziemnych korytarzy doprowadziły ją niemal do obłędu. Chciała wierzyć, że pokonała w sobie ów mrok, porzuciwszy Kafjorden.

Rynna z kopalni Storgruva, niczym blizna w krajobrazie, stanowiła dla niej niejako symbol tego miejsca. Zresztą cała Kopalnia jest taką trwałą blizną, równie rozległą jak ta, która szpeci lewy policzek Rozy. Zrozumiała to już dawno, ale wciąż nappełniało ją to bolesnym smutkiem. Kiedy jednak dzieliła się swoim odczuciem, napotykała zazwyczaj zdumienie. Przecież kopalnie są dla ludzi dobrodziejstwem, przekonywali ją rozmówcy. Zapewniają pracę, dobrobyt i bezpieczeństwo mieszkańcom rozległych obszarów nad Altafjorden! Dziwne, że tylko ona wpadła na takie porównanie! Ale może dlatego, że nikt spośród jej znajomych nie ma oszpeconej połowy twarzy? Nie przejmując się tym, czy ktoś ją obserwuje, Roza wspięła się na skałę. Nie pierwszy raz stawiała tu stopy, ale na myśl, że być może czyni to po raz ostatni, ogarnął ją smutek.

Targały nią sprzeczne uczucia. Pragnęła się stąd wyrwać jak najdalej, a równocześnie wiedziała, że nigdy nie wyzbędzie się tęsknoty za tym miejscem, bo przecież tu jest jej dom. Była rozdarta.

W Favourite także poczuła się jak u siebie i dopóki coś ją łączyło z rozległymi plantacjami Georgii, traktowała wielką Amerykę jak swoją ojczyznę. Nawet zaczęła myśleć po angielsku i czuła się niemal jak prawdziwa Amerykanka.

A jednak wyjechała stamtąd, kiedy zabrakło

Seamusa, który trzymał ją niczym kotwica w bezkresnym, skąpanym w słońcu krajobrazie Georgii.

Wróciła tutaj i raz jeszcze uznała to miejsce za swój dom, a Mattias stał się jej nową kotwicą. Na krótko, bo znów kotwica została odcięta, a ona dryfuje.

Oczywiście, mogłaby zostać.

Ale tak naprawdę nic jej tutaj nie trzyma.

Roza zatrzymała się spocona na stromym zboczu. Suknia była za ciepła, nawet na chłodne lato na Północy. Zdjęła czarną, wełnianą chustkę z głowy. I tak mnie pewnie odsądzają od czci i wiary za to, że wiązę chustkę na karku zamiast pod brodą, więc już bardziej sobie nie zaszkodzę w oczach innych, pomyślała.

Zresztą, kto mnie tu, wysoko, zobaczy?

Tu, pod samym niebem, jestem sama. Ptasie pisklęta, które przed paru tygodniami wykuły się z delikatnych, różnobarwnych jaj, zdążyły już podrosnąć. Lato na Północy trwa krótko, a ptaki muszą nauczyć się latać, nim jesień strąci liście z drzew.

Niebo jest niczym sklepienie potężnej katedry. Kto się wspiał na szczyt, ku któremu zmierza Roza, czuje się, jakby sięgnął nieboskłonu.

Ilekoć tam dociera, czuje w żołądku dziwne ssanie. Nie ma pojęcia, czy inni tak jak ona skrywają w sobie tęsknotę, by rozłożyć skrzydła i unieść się w powietrzu.

Gdyby potrafiła latać, bez trudu przemierzyłaby ocean i pofrunęła do Georgii. Mogłaby zobaczyć Savannah z lotu ptaka i nacieszyć oczy, a także przemieścić się w głąb lądu, by odnaleźć rzekę Oconee, która tworzy zakole w miejscu przez krótki

czas nazywanym przez Rozę domem. Poszybowałyby w powietrzu rozgrzanym słońcem i odnalazłyby niewielkie miasteczko, Dublin. Na pewno rozrosło się od tamtej pory i ma więcej niż jedną ulicę. Jenny O'Connor, która przejawia wysokie aspiracje, na pewno troszczy się o jego rozkwit. Chce być królową, co w tamtych kręgach towarzyskich nie jest raczej możliwe, musi więc pozyskać własnych poddanych. A może zebrała wokół siebie grono równych sobie, którzy ją ślepo uwielbiają i darzą wdzięcznością? Westchnęła rozmarzona. Tak bardzo by chciała znów zobaczyć Favourite i ukłęknać przy nagrobku Seamusa! Lilie, które tam posadziła, uschły pewnie już dawno w upale, ale może inne polne kwiaty zapuściły korzenie wokół serca jej ukochanego?

Och, gdyby tak móc pofrunąć!

Już samo wyobrażenie o tym wprawiało ją w stan euforii. Może wystarczyłoby parę dni, by dotrzeć do kraju na antypodach, gdzie przebywa jej syn? Nawet nie potrafi sobie wyobrazić tego miejsca.

Roza roześmiała się, okrywając chustą ramiona. Och, wzbić się wysoko i fruwać sobie po świecie! To byłoby coś! Ciekawe, co by powiedzieli ludzie znad fiordu, gdyby jej się to udało!

Naraziłaby się zapewne na szyderstwa, odkrywając przed nimi swe myśli. Właśnie dlatego nie zwierza się nikomu nad Altafjorden.

Wciągając chciwie w płuca rześkie powietrze, wspinała się po coraz większej stromiźnie. Nie przejmowała się tym, że uwala sobie suknię. Póki w po-

toku płynie woda, brudna chodzić nie będzie. Potrafi uprać własne ubrania. Mattias wprawdzie nie żyje, ale ona nie jest bezradna. Nikt jej nie zabroni po swojemu zadbać o siebie. Na przykład wspiąć się na niemal pionową skałę. Była tu już nie raz i dała radę. Potrafi jak nikt czepiać się lichych kępek traw i odnajdywać szczeliny w skale. Opuszki palców zdarła do krwi, ale nie jęczy. Fizyczny ból koi ją niemal tak samo jak słowa pociechy.

Nieważne, że się spociała. Gdy dotrze wysoko, na sam szczyt, owionie ją przyjemny chłód.

Nagle usłyszała łagodny, niczym muśnięcie kwiatowych płatków, głos, w którym pomimo powagi pobrzmiwa wesołość:

- Kiedyś podwijalaś spódnice, gdy się wspinałaś. Czyżbyś wreszcie zrozumiała, co wypada przyzwoitej kobiecie, a co nie?

Roza odpowiedziała Tomasowi dopiero, kiedy usadowiła się obok niego na miękkim mchu.

- Wyglądam na taką? - zapytała, z uśmiechem zasłaniając nobliwie kostki.

Ich przyjaźń, która sięgała wielu lat wstecz, przeszła niejedną próbę. Zawsze mieli sobie wiele do powiedzenia. Wielki miłośny żar wypalił się i choć nie bez bólu, oboje wyleczyli się z tej miłości. Nie odczuwali zawstydzenia, patrząc na siebie. Minęło tyle czasu. Czas nie oznacza zapomnienia, ale często upiększa przeszłość.

- Nie zdążyłem na pogrzeb - wyjaśnił Tomas, zaplótłszy dłonie wokół podciągniętego kolana. Wyblakłe taśmy nad komagami, lapońskimi butami ze skóry, przypominały barwę upieczonego łososia. Kiedy Roza myślała o łososiach, od razu stawał jej przed oczami Mattias.

-Wiem - odparła bez wyrzutu. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że gdyby to było możliwe, Tomas na pewno by się stawił.

- Ale byłem na cmentarzu i widziałem grób.

- Nie ma co oglądać - stwierdziła Roza, wpatrując się przez chwilę w kościelną iglicę, która na tle nieba wyglądała jak stalówka. - Z czasem porośnie trawą - dodała, starając się nie dopuszczać do siebie uczuć.

-Przybyłbym wcześniej, gdyby wiadomość od razu dotarła do mnie.

Roza pokiwała głową. Oczywiście, że tak by zrobił. Nie wątpiła w niego. Na Tomasie można polegać. Był zresztą bardzo zaprzyjaźniony z Mattia-sem, który wiedział wprawdzie, że Tomas kocha się w niej skrycie, ale nie żywił do niego urazy. Nie było między nimi żadnych niedomówień. Zresztą Roza nigdy by na to nie pozwoliła.

-Jak sobie radzisz? - zapytał i spojrzał jej prosto w oczy.

Większość ludzi unikała jej wzroku, patrzyli na nią jedynie z ukosa, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bardzo jest na tym punkcie przeczulona i jak ją to rani.

- Wszyscy pytają, jak sobie radzę! - rzuciła oschle.

- A nie powinni?

-I czy coś mi zostawił - dodała z grymasem. -To jest ważne, jak inaczej miałabyś przetrzymać ten trudny czas?

- Chyba wiesz, że ja zawsze sobie radzę, Tomas.

- No, tak.

- Mnie się zdaje, że ludzie po prostu są wścibscy - stwierdziła. - Mattias był dość skryty i niewiele o nim wiedzieli za życia, więc dlatego teraz drążą i wypytują.

- Ludzie nie są tacy źli - stwierdził łagodnie. - Oni po prostu pytają z troski.

- Czyżby?

Tomas pokiwał głową, kładąc prawą dłoń na sercu. Miał takie szczere oblicze! Takim go pamiętała od zawsze. Tomas urodził się z niebieskimi oczami, w których nie było nawet cienia fałszu. Nawet ból i cierpienie nie przebijały się przez tę łagodność.

Gdyby miał naturę łajdaka, mógłby być niebezpieczny.

Przypomniała sobie, jak się poznali.

- Pierwszy raz spotkaliśmy się właśnie tutaj - rzekł z uśmiechem, jakby czytał w jej myślach, a szeroka twarz pod czarną, zmierzwioną grzywką odmłodziła. Gdy się uśmiechał, usta tworzyły prostą kreskę. Nie znała nikogo o takim uśmiechu.

- Miałem wtedy dziewiętnaście lat - dodał.

Ona, wówczas szesnastoletnia, w pewnym sensie wydawała się wówczas starsza niż teraz. Tamtej Rozy nie da się porównać z tą, którą się stała. Roza jest świadoma tego, że sama siebie wykreowała.

- Chyba nie wiesz naprawdę, o czym myślę? - Jak ktoś mógłby wiedzieć, o czym ty myślisz?

- odparł Tomasz, kręcąc głową.

Sama czasem rozpoznawała cudze myśli. Gdy była dzieckiem, sądziła, iż to normalne, że inni też tak potrafią. Ale to było na długo wcześniej, nim stała się tu odmieńcem.

- Nigdy mnie tu nie chciano - rzekła Roza. Tomasz chciał zaprzeczyć, ale powstrzymał się, nie chcąc kłamać. Cudza litość bywa dotkliwsza niż smagnięcie biczem.

- Tutaj - wyjaśniła, wskazując ręką okolicę, od

stojących na skraju domów robotniczych po sam środek Krety. -
Tutaj byłam niechciana.

- Raczej inna - rzekł cicho, nie kierując się jednak litością, której sobie nie życzyła. Nikt tak jak Roza sama nie potrafi być równie bezwzględny. Nawet jeśli ktoś wyraził się o niej pogardliwie, ona zawsze myślała o sobie jeszcze gorzej.

-Jedno drugiego nie wyklucza - stwierdziła.

- Ale może wyjaśnia - dodał Tomas, którego też tu w osadzie uznano za odmieńca.

- Potrafisz wybaczać - skwitowała Roza. - W odróżnieniu ode mnie w głębi serca jesteś miłym i dobrym człowiekiem. Po prostu taką masz naturę. Mnie cechuje upór i nieustępliwość. Jestem niczym mroczne, podziemne korytarze, które doprowadzają cię do szaleństwa. Oto cała prawda o mnie.

Roza jest w błędzie, pomyślał z bólem Tomas. Wcale nie ma takiego charakteru, niepotrzebnie jednak pielęgnuje nienawiść. W ten sposób sama sobie szkodzi.

-Powinnaś posłuchać szwedzkiego kaznodziei, Rozo - odezwał się niemal z czułością.

- Kaznodziei? - zaśmiała się głucho. - Mnie nie pomoże żaden kaznodzieja, Tomas. Nie bądź głupcem.

- Nie słyszałaś go.

- Kogo?

- Szwedzkiego misjonarza z Karesuando, Larsa Leviego Laestadiusa.

Roze coś zaświtało w pamięci. Ludzie swego czasu dużo o nim opowiadali. Jedni z zachwytem w oczach i prawdziwym oddaniem, inni zaś brali go za diabła, który sprowadza ludzi na manowce, odciągając od prawdziwej wiary.

W twarzy Tomasa dostrzegła ów blask zachwytu.

-A więc i ty doznałeś objawienia za jego sprawą? - spytała. - Nie podejrzewałam, że tak łatwo cię natchnąć? - Popatrzył na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. - Nie przypuszczałam, że obchodzą cię takie sprawy - dodała pośpiesznie, by złagodzić swoje słowa, które mogły urazić Tomasa.

- Wielu rzeczy o mnie nie wiesz.

- Z pewnością - odparła Roza.

- Modlisz się? - zapytał nieoczekiwanie i pochyliwszy się, popatrzył na nią intensywnie. - Czy modlisz się do Boga, Rozo? Odsunęła się. O co mu chodzi? Nigdy się tak nie zachowywał. Zwykle gawędzili sobie wesoło, rozumiejąc się nawzajem. Nigdy, z wyjątkiem tego jednego razu, nie widziała w jego granatowych oczach żaru. Teraz zaś emanował z niego spokój, a zarazem stanowczość, która ją przeraziła.

- Dlaczego pytasz? - odezwała się ze śmiechem, ale szybko się zorientowała, że tym razem nie uda się obrócić rozmowy w żart.

- Ponieważ to ważne, Rozo. Po raz kolejny w swoim życiu znalazłaś się na rozdrożu i choć wcześniej popełniłaś wiele błędów, teraz możesz dokonać właściwego wyboru. Właśnie to jest takie cudowne, Rozo! - Rozpromienił się i dodał: - Nigdy nie jest za późno, słyszysz? Nigdy nie jest za późno, by wybrać właściwie, o ile pragnie się tego ze szczerego serca. Właściwa droga, rozświetlona blaskiem, czeka na ciebie, Rozo.

Wkroczywszy na nią, doznasz natychmiast uczucia, że dobrze trafiłaś. Ze właśnie tam chcesz być, że to twoje miejsce.

Opromieniona niebiańskim blaskiem, napełnisz się pewnością, że dotarłaś do domu, gdzie zawsze bę-

dziesz wśród swoich, wśród ludzi, którzy dobrze ci życzą.
Tworzymy wspólnotę, jesteśmy niczym jedna rodzina, siostry i bracia. Wśród nas nigdy więcej nie poczujesz się niechciana, Rozo! Musisz jedynie wybrać właściwą drogę. Zapadło między nimi milczenie.

- Takie to proste, co? - odezwała się w końcu.

- Nie zauważyłaś, że ta osada stała się teraz lepszym miejscem?

- No, nie wiem.

- Słyszałem, że mężczyźni upijają się tu znacznie rzadziej niż kiedyś - rzekł, jakby to stanowiło dowód, że wąska ścieżka, jaką jej wskazuje, jest jedyną właściwą.

- Być może - odparła Roza.

Dochodziły do niej takie pogłoski, ale zbytnio się nad nimi nie zastanawiała, bo chłód spotykał ją także ze strony tych, którzy zachowywali wstrzeźliwość.

- Nie uważasz, że tutejsi ludzie stali się lepsi?

- Nie wiem - odparła. - Nie utrzymuję kontaktów z nikim z Kopalni, wiesz przecież. W dolinie Altadalen, gdzie mieszkałam ostatnio, upijają się zaś równie często, i są tak samo dobrzy, albo tak samo źli jak kiedyś.

-Jego córka, Leonora, była tu w zeszłym roku.

- Córka tego twojego kaznodziei? Przytaknął.

-Przysłał ją do nas. Przybyła do Kautokeino, a także do Kopalni. Po drodze dzieliła się Dobrą Nowiną, a ludzie jej słuchali.

Niektórzy, nawet spośród tych najbardziej zatwardziałych, ujrzeli światło, jakie im ukazała, i doznali bezmiaru dobroci, mimo że przemawiała do nich surowo. Zrozu-

mieli, że mogą się stać dobrymi ludźmi i nadać sens swojemu nędznemu dotąd życiu. Uświadomili też sobie, że warto walczyć o swe nieśmiertelne dusze i teraz od nich samych bije światło. Popatrzyła na Tomasa i rzeczywiście dostrzegła bijący od niego blask. Nie spodziewała się, że pod tą jego łagodną powierzchownością kryje się taka moc. Niegdyś taki cichy i zagubiony, prawie się nie odzywał do innych. Najważniejsze dla niego było, by przetrwała jego rodzina.

- Laestadius posłał młodych duszpasterzy w różne strony świata, nawet do najodleglejszych osad, gdzie mieszkają ludzie.

Nawrócili wielu. Ten człowiek czyni dobro, Rozo.

- To chyba nie dla mnie - odparła. -Przemawia przez ciebie szatan, który zakradł się do twego serca - stwierdził Tomasz.

Roza aż otworzyła usta ze zdumienia i gdyby nie jego pełne powagi spojrzenie, wybuchnęłaby śmiechem, po wyrazie twarzy Tomasa poznała jednak, że mówi to z pełnym przekonaniem.

- Nie w tobie jednej zamieszkało zło, Rozo, wszędzie wokół dostrzec można jego ślady. Ludzie myślą tylko o sobie, ulegają niecznym żądom. Są zaślepieni, dlatego nie dostrzegają światła. Nie zdołasz wybrać właściwej drogi, jeśli nie usuniesz bel-., ki w swoim oku.

-Ach, tak?

- Musisz zrozumieć, że zesłaś na złą drogę i dałaś się zwieść szatanowi, po czym wyrzec się zła i usunąć je z własnego życia, bo inaczej nie ma dla ciebie nadziei. Jeśli się nie nawrócisz, twą duszę pochłonie ogień piekielny i czekają cię męki trudne do wyobrażenia.

Rozie odebrało mowę.

-Wyznaj, kim jesteś, Rozo, moja siostró! I żałuj, że uległaś podszeptom szatana. Żałuj ze szczerego serca, a zostaniesz oczyszczona z win, po czym czysta wkrocysz na ścieżkę, która poprowadzi cię do zbawienia.

- Mógłbyś nauczać w imieniu tego Laestadiusa, Tomas - roześmiała się Roza. - Jesteś taki... przekonujący.

- Nie rozumiesz, że zwracam się do ciebie na poważnie - zapytał rozgorączkowany, nawet nie wykrzywiwszy ust w uśmiechu.

- Owszem - odparła cicho.

- W takim razie nie drwij ze mnie!

Nie śmiała się z przyjaciela i zdawało jej się, że to dla niego oczywiste. Kiedyś rozumieli się bez trudu. Bywało nawet, że spojrzawszy na siebie nawzajem, wiedzieli, o czym myśli to drugie. Tak silna łączyła ich więź.

Roza nie pojmowała teraz bijącej z jego twarzy ekstazy. Ostatnio widzieli się, gdy odwiedziła jego siidę w drodze do domu z Hailuoto. Nie zauważyła wówczas w nim tego fanatyzmu. Może niedokładnie mu się wówczas przyjrzała?

- Nie drwię - odezwała się cicho.

- Nie ty jedyna byłaś odrzucona - skwitował krótko. - My na przykład nie wiemy, czy nadal będziemy mogli korzystać z letnich pastwisk, a dokąd przegonimy stada reniferów, jeśli zabrane nam zostaną kolejne połacie ziemi na wybrzeżu?

- Dlaczego ludzie nie potrafią zgodnie żyć obok siebie?

-Mieszkańcy znad fiordu chcą się nas pozbyć i zagospodarować tę ziemię - odparł Tomas. -

Powiadają, że renifery niszczą ich pola. Nie wiadomo, co się stanie z terenami, które oddała nam na pastwiska madame Lyng. Ona nie zabraniała nam wypaszać reniferów na swych włościach, nie wiemy jednak, kto tu nastanie po niej.

Roza słyszała o śmierci madame Lyng, której ziemie znajdują się na najbardziej na północ wysuniętym obszarze Norwegii. To jeszcze jedno z wydarzeń, które miało miejsce podczas jej pobytu za granicą. Wszyscy wędrowni Sarnowie, którzy przybywali na wybrzeże w Kvamangen, wypasali latem stada na jej ziemi.

- Nas też nie chcą nigdzie na wybrzeżu - rzekł Tomas. -

Niechętnie się na nas patrzy w norweskich kościołach, nie mówiąc o szkołach. - Odetchnął głęboko i dodał: - Mówi się o zamknięciu granicy do Finlandii. Rozumiesz, co to dla nas znaczy? Dla przerażającej większości z nas?

Pokręciła wolno głową.

- Nasze zimowe pastwiska - wyjaśnił - znajdują się na terenie Finlandii. Jeśli zostanie zamknięta granica, nie wystarczy dla nas wszystkich miejsca na płaskowyżu. Tak nas szanują władze, Rozo! Tak mile jesteśmy widziani w naszym kraju!

Odgarnął dłonią włosy, ale ciemna grzywka sterczała mu nad czołem. Kiedy z takim zapałem opowiadał o problemach swoich współbraci, zapominało się, że jest drobny i szczupły. Roza miała wrażenie, że w swojej lapońskiej kofcie góruje nad nią na tle nieba.

-Pomożesz sobie i swojemu stadu, ulegając fascynacji przesłaniem szwedzkiego kaznodziei? -zapytała Roza.

- On mnie zaprasza - rzekł Tomas. - Mówi, że

jestem tyle samo wart co rybacy na wybrzeżu. Że nie jestem gorszy niż którykolwiek z Norwegów i znaczę tyle samo co pastor czy sędzia. Mówi, że ludzie są sobie równi. Biedni czy bogaci, Finowie, Norwegowie czy Lapończycy. Wielcy panowie i ci maluczcy. Dzięki bożemu miłosierdziu my wszyscy, którzy wierzymy, dotrzemy do domu naszego Pana, a On potraktuje nas jednakowo, obojętnie kim byliśmy tu, na ziemi.

- A więc mogę być równa sędziemu? - zapytała Roza.

Pokiwał głową z powagą.

-Nie dostrzegasz tego? - pytał z ożywieniem. -Tak samo jak niegdyś ów dobry Bóg wybrał Izrael, tak teraz wybiera nas.

Przemawia on do nas przez Laestadiusa. Jego głos brzmi po fińsku, po lapońsku, Rozo. On mówi do nas! Zbudujemy drugi Izrael. Tutaj.

Rozdział 4

- Świątujecie? - zdziwił się Mark, wchodząc do pomieszczenia, które nazywali żartobliwie palarnią. Nawet dyrektor Thomas uśmiechał się, gdy posługiwali się tym określeniem.

Pomieszczeniu bowiem brakowało zarówno przestrzeni i stylu, by przypominało prawdziwe palarnie, do jakich Mark przywykł w rodzinnych stronach. Była to jedynie żalosna próba stworzenia sobie angielskiej atmosfery na tym odludziu.

Szwagier wraz z teściem siedzieli w fotelach i popijali brandy, ale wyczuwało się między nimi napięcie. Trochę za wcześnie na brandy, uznał Mark, chyba że opijają jakąś okazję.

- Oczywiście, że świętujemy! - oświadczył Malcolm Hart oschle bez cienia radości.

Powiało Saharą, pomyślał Mark, który coś niecoś na ten temat wiedział.

Jego młoda żona interesowała się historią i w podróż poślubną wybrali się oczywiście do Egiptu. Mark nie miał nic przeciwko rejsom po Nilu, nawet wydawało mu się to dość romantyczne, ale wielogodzinna wyprawa na wielbłądach, w piekącym słońcu tylko po to, by zobaczyć piramidy i mumie faraonów jakoś do niego nie przemawiały. Nie miał pojęcia, dlaczego w oczach Cathy bardziej cywilizowane miejsca, na przykład Francja czy jezioro Como w Alpach, nie znajdują uznania. Nigdy się z nią jednak nie spierał. Hartowie odznaczają się bardzo silną wolą, uznał więc, że na początku małżeństwa, rozsądniej będzie okazać żonie zrozumienie i pójść na ustępstwa. Cathy jest niczym motyl, młoda, piękna i wszystko ją interesuje. Tyle w niej radości i skłonności do śmiechu. Pragnął, by pozostała taka jak najdłużej, i nie upodobniała się do swej matki, którą poza końmi nic nie obchodziło.

-Mój syn ma chęć się ożenić - poinformował Malcolm zięcia i nie pytając, nalał mu brandy.

Mark wziął do ręki kieliszek, ale wstrzymał się z toastem, czekając na więcej szczegółów.

- Czyżby? - spytał Mark Longmoore i popatrzył na Maxwella, który nie miał raczej uradowanej miny. Bardziej już nie mógł wyrazić swego zaintere-

sowania, nie pytając wprost, a nie chciał wyjść na zbyt wścibskiego.

-Do cholery, synu! Opowiedz mu! - Malcolm trącił w ramię Maxwella, który nadal nie wyglądał na zadowolonego.

Mark nie miał odwagi unieść kieliszka do ust. Wiedział, że Malcolm bywa czasem strasznie bezwzględny. Doświadczył tego, pływając z nim na statku, gdzie teść był kapitanem. Załoga okazywała mu głęboki respekt, ale mniej doświadczeni marynarze panicznie się go bali. Cathy nie kryła, że w domu ojciec zachowuje się często tak samo.

Mark w gruncie rzeczy żywił szacunek dla mężczyzny, który wiedział, jak utrzymać dyscyplinę zarówno w domu, jak i tam, gdzie zarabiał na utrzymanie, ale nie lubił, gdy próbowano upokorzyć kogoś, równego mu pozycją. A Maxa, najstarszego brata Cathy, traktował jak własnego brata.

- Powiedz wreszcie, synu!

Maxwell chętnie podjąłby to wyzwanie, jednak zacisnął usta i milczał. Wiedział, że ojciec chce go ośmieszyć i nie zamierzał sprawić mu tej radości. Najchętniej wyszedłby stąd razem z Rozą i odprowadził ją do domu, ale ona nie życzyła sobie jego towarzystwa. Nawet na niego nie spojrzała, oznajmiwszy, że przywykła chodzić sama i wolałaby, żeby jej nie towarzyszył. A ojciec, oczywiście, przyznał jej rację i powtórzył za nią, że tak będzie najlepiej.

- Nie ma o czym mówić - wydusił wreszcie z siebie Max.

- Ależ to jest, mój synu, wiadomość dnia! - sprzeciwił się Malcolm Hart, nie spuszczając z niego wzroku, a oczy błysnęły mu jak stal.

-Jeśli Max nie ma ochoty rozmawiać na ten temat... - wtrącił się Mark.

Malcolm zaśmiał się chrapliwie.

-Wiesz, dlaczego Max nie chce o tym mówić, Mark? Jego księżniczka jeszcze się kryguje i zwleka z odpowiedzią.

- Przecież do tego miejsca, gdzie diabeł mówi dobranoc, w ogóle nie dochodzi poczta! - oświadczył Mark, starając się pocieszyć szwagra. - W tym czasie, gdy tu jesteśmy, nie przyplłynął ani jeden statek. Na twoim miejscu nie oczekiwałbym tu czegoś tak cywilizowanego jak list! Gdybym nie wiedział na pewno, że przyplynie po nas twój statek, Malcolm, miałbym poważne obawy, czy się stąd wydostanę i zacząłbym się przygotowywać na przezimowanie!

Zaśmiał się i wypił łyk brandy, przekonany, że udało mu się trochę rozluźnić napiętą atmosferę. Ponieważ jednak żaden z mężczyzn się nie odezwał, Mark podjął na nowo:

- Nie jestem w stanie zrozumieć, jak David i Daisy tutaj wytrzymali.

-Może byś, Maxwell, opowiedział trochę Markowi? Maxwell odwiedził Davida i Daisy którejs zimy - wyjaśnił Malcolm, kryjąc jad, i nadal odgrywając rolę kochającego ojca. - Daisy pragnęła, by pobył tu z nimi. Oboje byli sobie kiedyś bardzo bliscy jako rodzeństwo. Wydawało jej się, że Maxwella zaintrygują te strony. I Max przyjechał. Dla zapalonego botanika, jakim jest mój syn, daleka Północ w porze zimowej nie jest zbyt atrakcyjna. W najzimniejszej porze polarnej nocy raczej trudno tu o kwiaty...

Mark wiedział, że rozmowa między ojcem i sy-

nem dotyczy czegoś, o czym on nie ma pojęcia. Nie mógł się też domyślić, o co im chodzi, i co więcej, w ogóle nie miał na to ochoty. Obawiał się, że okaże się, iż to prawdziwa beczka z prochem.

- Maxwell oświadczył się wdowie po tym naszym biedaku, który utonął - oznajmił w końcu Malcolm Hart.

Dopiero po chwili Mark zorientował się, kogo miał na myśli teść i zaprotestował:

-A jakież to nasz biedak, przecież nie był nawet członkiem załogi...

Wpatrywał się w Maxwella, który siedział niepo-ruszony, trzymając kieliszek w zaciśniętej dłoni, a na jego twarzy malowało się udręczenie. Jak to możliwe, że Maxwell wpadł na taki obłąkany pomysł? - zastanawiał się, a na głos rzucił nieco zakłopotany:

- To nie była nasza wina! Żaden z nas nie musi mieć z tego powodu wyrzutów sumienia!

Twarz Maxwella pozostała niewzruszona.

- Daj jej trochę pieniędzy, jeśli mimo wszystko poczuwasz się do odpowiedzialności! - wyrwało się Markowi Langmoore. -

Rozumiem, że jej współczujesz, ale po co od razu się żenić? Nie ma sensu niszczyć sobie życia z powodu śmierci tego biedaka! Przecież go nie zabiłeś! Sam wszedł do rzeki! Nikt go o to nie prosił. Ratował jej brata. Z pewnością uczyniłby to samo, gdyby nas przy tym nie było, Max. On utonął. A to, że przypadkiem znaleźliśmy się w tym samym miejscu, nie nakłada na ciebie odpowiedzialności za wdowę.

-Do niego to nie dociera. Spróbuj użyć więcej rozsądnych argumentów! - zachęcił zięcia Malcolm.

-Jestem odpowiedzialny za Rożę, ponieważ ją kocham - odezwał się nieoczekiwanie Maxwell Hart i podniósł się z fotela.

Popatrzywszy na Marka oraz ojca, wzruszył ramionami. - Nie spodziewam się, że mnie zrozumiecie - dodał, odstawiając kieliszek na niewielki stolik ze zdobionym blatem miedzianym podtrzymywanym przez trzy słonie z ciemnego, połączanego drewna. Posmak Indii na odludziu.

Maxwell nabrał powietrza i rzucił jeszcze: - Proszę was przynajmniej o odrobinę szacunku.

Wypowiedziawszy te słowa, odwrócił się i wyszedł. Usłyszeli trzask klamki zamykanych zdecydowanym ruchem drzwi.

Malcolm Hart, wyraźnie rozbawiony, wznosił toast, a jego usta wykrzywiły się w sardonicznym uśmiechu. Mark tymczasem zastygł porażony i nie był w stanie nawet unieść kieliszka do ust. Przywołał w pamięci oszpeconą twarz wdowy. Gdyby pierwszy raz zobaczył Rożę z profilu, od tej strony, gdzie mlecznobiała twarz olśniewa urodą, może potrafiłby dostrzec w niej piękno, ale tak nie pojmował, dlaczego Maxwell chce się z nią związać.

- Niepojęte, prawda? - odezwał się Malcolm.

- Niepojęte - potwierdził Mark.

-Na swój sposób to dość kusząca znajomość -przyznał Malcolm Hart, wywołując niedowierzanie na twarzy swego zięcia. -

Czyżby Cathy nic ci o niej nie wspomniała?

-Wiem, oczywiście, że Roza jest siostrą Andrew...

- Cathy nie wtajemniczyła cię jeszcze w rodzinne sekrety - stwierdził teść. - Nie czuj się urażony

z tego powodu, chłopcze! Może kiedyś, gdy się nadarzy okazja, sam ci wszystko opowiem. Ale nie ma pośpiechu. Bo chyba nie zamierzasz uciec od mojej córki?

Mark zapewnił teścia, że nawet mu nie przeszło przez myśl coś takiego.

-Znamy Rozę już od dawna - oświadczył Malcolm ciężko. - Mój syn, młodzieniec o romantycznej naturze, zawsze był pod jej urokiem. On się stanowczo za późno urodził! Nasz dobry Max to marzyciel. Odczuwa głęboką potrzebę, by się kimś opiekować, być rycerzem. A Roza go rozczula. Wydaje mu się, że go potrzebuje. Wcześniej, gdy ich drogi się krzyżowały, była związana z innymi mężczyznami. Teraz odnalazł ją osamotnioną i skrzywdzoną, więc zgrywa bohatera. Wreszcie jego wymarzona księżniczka potrzebuje rycerza! Max zakłada więc zbroję, a wybranka serca ze spuszczonego wzrokiem mówi jemu nieśmiało, że na odpowiedź musi poczekać. Na którego z mężczyzn by to nie podziałało? - Malcolm Hart zaśmiał się chrapliwie. - Pięknie, co?

- Przecież on się nie może z nią ożenić! Nie można dopuścić do tego związku! - zaperzył się Mark, wyobraziwszy sobie, jaki to wywoła skandal w towarzystwie. Znależliby się na językach wszystkich. W niego i w Cathy też by to uderzyło niczym potężna fala. - Maxwell z tym monstrum u boku na salonach! Nie dość, że cudzoziemka, to na dodatek z nizin społecznych. Nie przywykła, by obracać się pośród możnych! Poza tym ujrzawszy jej twarz, dzieci tygodniami będą zrywać się w nocy z powodu koszmarów sennych.

Mark nie miał najmniejszej ochoty się na to go-

dzić. Nie pozwoli, by ktoś taki zagroził jego pozycji towarzyskiej.

- Dałem im swoje błogosławieństwo - rzucił beztrąsko Malcolm Hart.

- Dlaczego? Nie pojmuję!

- Ponieważ gdybym tego nie uczynił, Max poruszyłby niebo i ziemię, by postawić na swoim - odparł Malcolm. - Mogłoby mu na przykład przyjść do głowy, aby ożenić się z nią od razu tutaj, mimo że dokładnie nie przemyślał swojej decyzji. Dobrze go znam. Cóż, to w końcu dorosły mężczyzna i posiada własną wolę. Ani myślę go nawracać. Będę udawał, że jestem po jego stronie. Nie zamierzam mu dostarczyć pretekstu do buntu. To się nazywa taktyka, Mark, mój chłopcze. Taktyka.

Mark słuchał teścia z uwagą.

-To znaczy, że tak naprawdę jesteś przeciwny temu małżeństwu?

- spytał, gdyż powoli zaczęło mu świtać, co planuje Hart senior.

- Ciarki mnie przechodzą na samą myśl o tym! - wyznał Malcolm Hart i dodał podniosłym tonem: - Dla mnie byłoby to skalanie świętości tego sakramentu.

- A więc twoje błogosławieństwo to jedynie pozory? - zapytał Mark z zainteresowaniem i uniósł brew.

- Nigdy nie dojdzie do tego małżeństwa - oświadczył Malcolm z wewnętrznym przekonaniem. - Mój syn nigdy, pod żadnym pozorem, nie poślubi tej kobiety! Nigdy!

-Zamierzasz związać Maxa i odprawić go statkiem pod osłoną nocy?

- Bynajmniej! Postanowiłem zabrać stąd Rozę Samuelsdatter i całą jej rodzinę - odparł Malcolm

Hart i mrugnawszy, wyjaśnił: - Jeśli przyszłoby ci na myśl podejrzewać mnie o najgorsze, to śpieszę zapewnić, że nie zamierzam ich wypchnąć za burtę i utopić.

- W takim razie, jaki masz plan?

- Człowiek rozumny nigdy nie mówi więcej niż to konieczne - oznajmił teść.

-Tomas! - powitała Lea serdecznie młodzieńca i uchwyciła jego dłonie. - Dawno się nie widzieliśmy!

- Dowiedziałem się o Mattiasie - rzekł.

Lea pociągnęła go za sobą do izby i posadziła na krześle, wciąż przytrzymując jego dłonie.

- Ciężko to znosi - wyszeptała tak, by Roza jej nie usłyszała. - Mam nadzieję, że oderwiesz trochę jej myśli od tego, co się stało. Zostaniesz dzień, może dwa, prawda? W naszych sercach i w chacie zawsze znajdzie się miejsce, pomimo ciasnoty.

Tomas pokręcił głową, czego Lea zdawała się nie zauważać.

Myślała tylko o Rozie, o tym by ją trochę rozerwać i nakłonić, aby zechciała zadbać nieco o siebie.

- Co tu robi Lapończyk? - zapytał Ole ze swego kąta w kuchni.

- Przyszedł ze mną - odwarknęła mu Roza.

- Właśnie - rzucił chłodno Ole. - Moje dziecko jest głodne, a ty uganasz się po osadzie, Bóg jeden wie z kim. Czyżbyś znów powróciła do swych starych grzechów?

Nie odpowiedziała, odpinając czarną bluzkę. Usadowiwszy się doń plecami, wzięła na ręce Stellę. Małeństwo leżało bezpiecznie w jej ramionach i mrugało swoimi niebieściutkimi oczkami, które pewnie nie zmienią koloru.

- Masz teraz pod opieką dzieci - ciągnął bezlitośnie Ole, patrząc na jej szczupłe plecy.

Włosy sięgały Rozie do ramion, obcięła je bowiem ostrym nożem o przynajmniej piętnaście centymetrów. Ole nie miał pojęcia, jaki przyświecał jej cel, ale ten akt chyba dla niej coś znaczył. Być może taką nałożyła na siebie pokutę.

-Cięży na tobie odpowiedzialność, Roza - dorzucił cicho.

Nie zamierzał wcale jej rugać, czasami jednak zachowywała się tak, że ktoś musiał jej wskazać, co słuszne, a co nie. Ostatnio wystarczająco mocno zostali doświadczeni przez los. Wiele o tym rozmyślał, ale choć odsuwał od siebie ten wniosek, w osadzie nad fiordem aż huczało od plotek o ciąży nad rodziną Samuela fatum.

Ludzie gadają, że to przez Rozę. Że każdego, kto się z nią zwiąże, czeka zguba.

Ktoś twierdził, że Roza pragnęła śmierci Mattiasa i siłą woli doprowadziła do tego, że utonął tak bezsensownie. Ludzie podobno słyszeli, co wykrzykiwał Matti, a rozpacz dziecka uznali za potwierdzenie tego, co już dawno podejrzewali: Roza'to czarownica.

Nawet jeśli jest wobec niej surowy i krzyczy na nią, to wyłącznie dla jej dobra. Dla dobra całej rodziny. Nie mogą sobie teraz pozwolić na to, by mieszkańcy odgradzili się od nich ścianą nieufności. Jakież to ma znaczenie, że Ole gardzi nimi tak samo jak Roza, skoro zamierza tu pozostać? Nieważne, że nie zdoła się tu wybić. Uwzględnił K4-fjorden w swoich planach.

Oczywiście, że musi wpierw wyjechać, żeby wymienić swój skarb na pieniądze i pławić się potem

w ich blasku. Nie może sprzedać Alten Cooper Works praw do złoza. Ani myśli wchodzić w układy z tymi bogatymi, zarozumiałymi Anglikami.

Chciał, by to, co skrywała tajemnicza grota, pozostało w rodzinie. Tak było przez ponad sto lat. Nie zamierzał zdradzić krewnych. Kiedy pokochał swoją córkę, stało się dla niego szczególnie ważne, by skarb pozostał w rodzinie. Stella wszystko odmieniła.

A niech to! Naprawdę odmieniła go ta mała kruszyna!

Ale będzie jeszcze bogaty!

A wówczas wróci tu, w rodzinne strony, i pokaże wszystkim, kim jest i na co go stać. Przekonają się, że nie doceniali Olego Samuelsen!

- Nigdy nie uchylałam się od odpowiedzialności za dzieci - odparła Roza z niezmaconym spokojem. Mówiła cicho, by nie przestraszyć Stelli, i pogłaskała ją leciutko palcem po policzku. Maleństwo ułożyło usteczka w dzióbek, zaraz jednak znów zaczęło ssać chciwie pierś.

-Ale nigdy cię nie obchodziło, jak ludzie reagują na twoje zachowanie! - rzucił Ole szeptem, by pozostali, łącznie z babcią, nie słyszeli tego, co ma do powiedzenia siostrze.

- Czy nie jesteśmy pod tym względem do siebie podobni? - spytała.

- Ty jesteś kobietą, a to duża różnica. Mężczyzna może sobie pozwolić na więcej. Ludzie nigdy nie plotkowali tyle o mnie co o tobie, siostrze.

Chciała powiedzieć, że wcale nie jest tego taka pewna, ale ugryzła się w język.

-Jesteś moją siostrą - mówił dalej z naciskiem. -Troszczę się o nas wszystkich. Potrzebujemy się teraz nawzajem.

- Ty potrzebujesz mnie - poprawiła go Roza. -Dopóki Stella jest mała!

- Mogę znaleźć inną mamkę!

- To znajdź! - odparła, pewna, że tego nie zrobi.

- Potrzebujemy teraz siebie nawzajem - powtórzył uparcie Ole. - Nie mamy nikogo poza sobą. Różnimy się od tutejszych mieszkańców.

- Poradzę sobie bez twojej pomocy - rzekła Roza spokojnie.

- Właśnie. Odetchniesz głęboko, po czym zwrócisz się ku innemu mężczyźnie. Pierwszemu lepszemu. Po śmierci Mattiasa kręci się ich koło ciebie nawet dość sporo. Pierwszy przestąpił próg domu ten cholerny Anglik... - Ole najwyraźniej zapomniał, że sam poprosił Maxwella, by przyszedł. Nabrał powietrza w płuca i wypalił: - A teraz znów przyciągnęłaś ze sobą tego Lapończyka. Masz kłopoty, by się zdecydować? A może chcesz ich obu?

- Zamknij się! - poprosiła Roza.

Tomas zajrzał przez otwarte drzwi i rzekł ze smutkiem:

-Widzisz, jak to jest, kiedy się wpuści zło do swego serca?

Olemu odebrało na moment mowę. Po chwili jednak warknął:

- Czego się wtrącasz?

Nie są teraz na płaskowyżu, tylko w jego własnym domu, nie potrzebuje jałmużny od tego Tomasza Lapończyka! On, Ole Samuelsen, jest panem we własnym domu, i może mówić tu, co mu się żywnie podoba.

- To sprawa między mną a moją siostrą. Nie prosiłem cię o zdanie, Tomas! I o ile dobrze pamiętam, nie zapraszałem cię też tutaj! Mojej siostrze nie po-

może, jeśli ciągnąć się za nią będą wszelkiej maści bezpańskie psy. Gdybyście choć w połowie jak udajecie lubili Rozę, to byście jej nie nękali. Dajcie jej spokój, by mogła spokojnie rozpaczać po swym mężu, z którym łączyła ją też długoletnia przyjaźń.

- Tomas też jest moim przyjacielem od wielu lat - wtrąciła Roza cicho, podnosząc się z miejsca. Niemowlę leżało oparte policzkiem na jej ramieniu, ale Roza nie przejmowała się, że małej się uleje. Suknię można wyprać. Dzieci są ważniejsze niż rzeczy.

- Tak, tak - odparł Ole. - Anglik również jest niezwykle bliskim przyjacielem, prawda? Do diabła, Roza, za kogo ty mnie masz? Myślisz, że nie widzę, po co oni tu przyłóżą?

- Zło poróżni siostrę i brata - odezwał się cicho Tomas. - Wnika w ludzkie serca i sprawia, że człowiek nie jest w stanie odróżnić go od dobra.

- O czym on mówi? - spytał Ole.

Stelli odbiło się głośno, jej usteczka zwinęły się niczym pączek róży, a potem dziecko odwróciło ciężko główkę i zasnęło najedzone i bezpieczne, otoczone miłością.

Roza przechadzała się ze śpiącym maleństwem na rękach i nuciła cicho jakąś wymyśloną melodię bez słów. Chciała się upewnić, że Stella śpi mocno, nim ją włoży do kołyski. Poza tym dobrze było przytulać drobne ciało. Chłonęła ciepło bijące od maleństwa i czuła, jak napełnia się spokojem. Maleńkie rączki ufnie dotykały jej szyi i policzka. Nawet gdy Stella ciągnęła ją za włosy, nie miała jej tego za złe. Trzymając małą na rękach, czuła się spełniona. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy może spokojnie zająć się niemowlęciem i pozwolić sobie na to, by czerpać z tego radość.

W jej życiu wydarzyło się tyle złych rzeczy. Syn-neve tak szybko straciła, chłopca zabrano jej nim zdołała poczuć jego zapach, dotknąć jego ciała i posłuchać, jak oddycha. Nigdy go nie poznała. A z Lily i Michaeliem...

Wszystko jedno. Tyle wycierpiała w życiu, iż nie miała siły cieszyć się tym, że trzyma na rękach dzieci, sama bowiem desperacko pragnęła, by ktoś ją objął i przytulił. Całkiem odrętwiała z tęsknoty za silnymi ramionami Seamusa, za jego pieszczotami, jego głosem, ciałem, poczuciem bezpieczeństwa, które rozciągał wokół niej niczym pelerynę, nie była w stanie czerpać radości.

A teraz odczuwa przyjemność, mimo że Mattias zniknął z jej życia. Nie znaczy to, że wciąż za nim nie tęskni. Budząc się co rano, wciąż przeżywa zdziwienie, że przy niej nie leży. A jednak pomimo tej straty jest w stanie żyć dalej.

- Bardzo mi na tobie zależy, Rozo - mówił Tomas. - I wiem, że możesz zapewnić swej nieśmiertelnej duszy pokój, do którego masz prawa. Jest jedna droga dla nas wszystkich. W oczach Pana wszyscy jesteśmy równi.

- O czym on gada, do diabła? - domagał się wyjaśnienia Ole.
Roza uciszyła ich obu.

- Ciii, Stella śpi. Mówcie ciszej!

- Pomyśl o tym, Rozo, choćby ze względu na to niewinne dziecko - prosił Tomas z naciskiem. - Jedyne, co musisz uczynić, to wyznać swe grzechy i szczerze za nie żałować. Sama wiesz, kim jesteś, nie będę tego mówił na głos... - Westchnął głęboko, szczerze zatroskany. - Modlę się za ciebie, Rozo. Każdego dnia modlę się za ciebie i twoją duszę.

I wierzę, że kiedyś wreszcie przejrzysz na oczy. Zobacysz wówczas, że szatan zwiódł cię na manowce oszustwa, kłamstwa i pazerności, że trafiłaś w sidła nierządu, i wówczas wreszcie będziesz mogła powrócić na dobrą drogę i stać się znów dzieckiem bożym...

- Co, u licha..? - zaperzył się Ole.

Zerwał się na równe nogi, nim Roza zdążyła go poprosić, by się opanował. Chwycił Tomasa za kołnierz kofty i z groźnym błyskiem w oczach popchnął znacznie drobniejszego mężczyznę prosto do wyjścia.

-Wynocha stąd, do cholery! - Cisnął Tomasa z całych sił, tak że ten spadł ze schodów i runął na ziemię jak tobołek, a zatraskując drzwi wrzasnął: - Niech nikt się nie waży mówić tak o mojej siostrze w moim domu!

-Jak mogłeś, Ole? - spytała.

-Jak mogłem? - powtórzył zdumiony. - Nie słyszałaś, jak on się o tobie wyraził?

- Chce dla mnie jak najlepiej - rzekła Roza i minawszy brata, wyszła na dwór i troskliwie pomogła Tomasowi podnieść się z ziemi.

-Nie wpuszczę go do środka! - oznajmił Ole przez uchylone drzwi.

Roza pokręciła głową i położyła dłonie na ramionach Tomasa. Popatrzył na nią, a w jego oczach wyczytała ból. Zrozumiała, że cierpi z jej powodu. Pojmowała jego lęk i troskę o nią, rozumiała też, dlaczego chce podzielić się z nią tym najważniejszym, co spotkało go w życiu.

- Ole nie rozumie - wyjaśniła mu ze smutkiem. -A ty? - spytał i wstrzymał oddech, czekając na jej odpowiedź.

Roza doznała niezwykłego wzruszenia, że tyle znaczy dla kogoś, kogo szanuje, ale którego uczuć nie potrafi odwzajemnić.

- Rozumiem - odparła. - Ale?

- Ale, Tomas... nie jestem gotowa - rzekła przeciągle i uchwyciwszy jego wzrok, pokręciła głową. Uważała, że jest mu winna szczerłość.

- Co z tobą będzie? - wyrwało mu się. - Pocięzałem się, że wreszcie znajdziesz zbawienie, a tym samym prawdziwą miłość. Taką, która nie obejmuje drugiego człowieka. Myślałem, że także usłyszysz ów głos. Jasny, silny głos wołający na pustyni...

- Jestem sama za siebie odpowiedzialna, Tomas - rzekła Roza. - I obiecuję ci, że wszystko będzie ze mną dobrze.

- Mogę nadal się za ciebie modlić? - wyszeptał.

Roza pokiwała głową po chwili milczenia. A potem złożyła na jego ustach długi pocałunek i uwolniła się z jego ramion. ^e

- Żegnaj, Tomas! - powiedziała.

- Ibmil addi! Idź z Bogiem! - pozdrowił ją i odszedł, nie odwracając się za siebie.

Rozie zdawało się, że nadal otacza go światło.

Rozdział 5

- Cholerne babsko - zaklął Ole i splunął daleko. - Gdy za dużo myślał, bolała go głowa, wołał jednak nieznośny ból, niż pozostać z Rozą pod jed-

nym dachem. - Przeklęty babsztyl - dodał już trochę ciszej, bo przy poprzednim wybuchu złości, omal nie spłoszył konia. - Niech Bóg broni przed takimi chłopami w spódnicy! Co ona sobie myśli? Że może mnie traktować jak psa? Jest gorsza niż ta wychudzona klacz gospodarza Perssena tamtej zimy, gdy zabrakło owsa.

Przypomniało mu się to zdarzenie z dzieciństwa, bo nigdy więcej nie słyszał równie przeraźliwego wycia.

- Nie pozwoliła mi nawet jechać samemu - dodał i zerknął na brata, który zasnął z tyłu wozu na posłaniu z pustych worków.

- Gdy tak się ciebie słucha, nie ma wątpliwości, że jesteście z Rozą spokrewnieni - odezwał się Hans rozbawiony.

Nie spał, tylko udawał, że śpi. Zresztą, tylko ktoś pijany jak bela mógłby zasnąć na wozie, którym trzęsło niemiłosiernie.

Próbował mimo to się zdrzemnąć, bo Ole nie był teraz najlepszym towarzyszem do rozmowy. Od poprzedniego dnia, kiedy to na strychu pokłócił się z Rozą, stał się po prostu nieznośny. Poszli tam, żeby porozmawiać w spokoju, „w cztery oczy”, jak to określiła Roza, niemal siłą zaciągając brata na górę. Rzeczywiście, rozmowa odbyła się w cztery oczy, ale domownicy słyszeli niemal każde słowo, jakie wykrzykiwało ro-dzeństwo.

- Nie jestem do niej podobny, do cholery! - mruknął Ole naburmuszony i zwiesił nieco ramiona.

Hans nie widział jego twarzy, ale wiedział dokładnie, jaką minę ma Ole. Wysunął dolną wargę, zwilżył ją lekko językiem, zagryzł parę razy, a po-

tem odetchnął głęboko. Jego kobaltowoniebieskie oczy zwięzły się i nabrały stanowczego wyrazu. Niemal równocześnie wyprostował plecy, dokładnie tak samo jak czyniła to Roza, i uniósł dumnie głowę. Oczywiście, że jest bardzo podobny do swojej siostry!

Słyszałeś ją? - zapytał Ole przez ramię. - Słyszałeś, co mówiła? Jak mną komenderowała? Zupełnie jakbym był opóźniony w rozwoju!

- Trudno było was nie słyszeć - stwierdził Hans, który nie miał najmniejszej ochoty opowiadać się po którejkolwiek ze stron. Kochał ich oboje, ale cieszył się, że nie musi z nimi mieszkać pod jednym dachem. Uważał, że Rozie i Olemu powinno się zabronić przebywać w tym samym pomieszczeniu.

- Do diabła, nie jestem do niej podobny! - rzucił Ole.

Z początku rozmowa z siostrą toczyła się zwyczajnie i Ole nie wyczuł żadnego zagrożenia. Próbował otrząsnąć się z dramatycznych przeżyć nad rzeką, ale nocami wciąż dręczyły go koszmary. Nabral większej pokory przerażony tym, że niemal otarł się o śmierć. Miał w pełni świadomość tego, że niewiele brakowało, by zginął, a równocześnie wydawało mu się zupełnie niedorzeczne, by w tak młodym wieku umierać.

- Muszę z tobą porozmawiać, Ole - rzekła Roza i nie dając mu czasu na zastanowienie, chwyciła go za pasek i pociągnęła za sobą. Szedł za nią, potykając się jak nowo narodzone ciele na zbyt długich i niepewnych nogach. Dopiero gdy byli na podwó-

rzu, puściła go, kierując się w stronę obory. Wrota na poddasze były otwarte jak szeroko i szarpał je wiatr. Ole podążał za siostrą, klnąc siarczyście.

Gdy wszedł na górę, zobaczył ją pod ścianą. Chwyciła się pod boki niczym wiedźma, która posiada taką moc, że może go zamienić w żabę albo w krowie łajno. Zapewne zamieniłaby mnie w to drugie, gdyby tylko potrafiła, pomyślał.

- Przemyślałam wszystko - oznajmiła. - Zamknij za sobą drzwi. Zrobił, co mu kazała, i przeklinał siebie w duchu, że tak łatwo się jej poddaje. Nie ma przecież prawa nim komenderować. Jest jej bratem, zaledwie rok młodszym, nie daje to jej więc żadnych uprawnień, by nim rządzić. Przecież nie jest jego opiekunką, nie jest też za niego odpowiedzialna.

- Po co mnie tu, u diabła, zaciągnęłaś?

Poruszyła głową zirytowana, z zarozumiałą miną. Zwykle przy takim ruchu luzowały jej się upięte nad karkiem włosy, ale teraz po ścięciu nie opadały już tak ciężko.

- Chodzi o naszą przyszłość.

- Naszą przyszłość?

Pokiwała głową zniecierpliwiona. Poznał to po niej, ale miał to w nosie, bo sam był też rozdrażniony.

- Nie prosiłem cię, Rozo, byś troszczyła się o moją przyszłość.

- Ktoś to musi zrobić! - odpowiedziała z równą wściekłością.

- Sam potrafię się o siebie zatroszczyć, dziękuję. Mam własne plany.

Zaśmiała się, więc odwrócił się do niej plecami. W jej śmiechu pobrzmiwała większa drwina niż w krzyku mew, które nadfruwały całą gromadą. Za-

cisnął dłonie, by zapanować nad sobą. Gdyby naprzeciwko niego stał mężczyzna, to nie zdołałby się powstrzymać i doszłoby do rękoczynów. Ale przecież nie będzie bił kobiety, na dodatek własnej siostry! Zresztą, gdyby tylko podniósł rękę, wykorzystalaby to przeciwko niemu, i w jej oczach stałby się jeszcze większym smarkaczem.

Powtórzyła więc znów to, czego nienawidził słuchać z jej ust, bo odkąd pamiętał, wynikały z tego tylko kłopoty, albo dla niego, albo dla innych bliskich jej osób.

-Już to przemyślałam.

I wyłożyła mu swe plany po cichu, tak by nikt inny nie usłyszał.

- Mam pieniądze, Ole - wyszeptała, jakby tego nie pamiętał. e

- Byłem tam - wyjaśnił zmęczony. - Tylko dzięki mnie masz

wciąż te swoje cholerne pieniądze, siostro! O ile pamiętam są to głównie banknoty, których w tych stronach nikt nie chce

przyjmować. Będiesz miała z nich dużo radości! Tylko tyle

masz mi do powiedzenia? To przemyślałaś? To te banknoty są

twoim i moim zabezpieczeniem na przyszłość? Dzięki, Rozo, ale myślę, że poradzę sobie lepiej bez siostrzanej pomocy...

Zachowywała się tak, jakby nie słyszała długiego wywodu. Jej

oczy wciąż promieniały w półmroku. Włożyła tego dnia

jasnoniebieską bluzkę. Na pewno mniej się pocila, bo pomimo że

nastał sierpień, nadal panowały upały, ale dla kobiet w osadzie

była to na pewno woda na młyn. Już sobie wyobrażał, jak

komentują kolorowy strój Rozy: „Z tego Mattiasa Mattiassena

był taki porządny człowiek, a ona co? Tyle ma szacunku?”.

Tutejsze wdowy noszą żałobę po mężach przez cały rok.

- Nie musimy korzystać z tych pieniędzy tutaj, Ole - wyszeptała Roza, podchodząc nieco bliżej. Światło przenikało przez uchylony świetlik pod dachem i padało prosto na Rozę, która znalazła się w samym środku jasnych promieni.

-Możemy je wymienić w miejscu, gdzie mają wartość, a potem zamienić na złoto. Złotem zaś można płacić na całym świecie. W ten sposób nie będziemy uwiązani do żadnego miejsca. Złoto uczyni z nas wolnych ludzi...

Zdawał sobie z tego sprawę. Właśnie ta myśl nakręcała go od tamtej chwili, gdy rozszyfrował mapę umieszczoną na srebrnej wazie z Finlandii. Nagle Ole poczuł takie samo oszołomienie. Czuł silne pulsowanie tuż poniżej uszu. W ustach mu zaschło i musiał przełykać parę razy ślinę, nim zdołał wyszeptać:

- Co zamierzasz?

- Załatwiłam wszystko, byśmy mogli stąd wyjechać - odpowiedziała i rozłożyła ramiona niczym skrzydła. Zdawało mu się, że wzleciała wysoko, tak że znów jak zwykle górowała nad nim.

Ole odsunął się od niej i spytał półgłosem:

- Co? Dokąd?

- Do Anglii - wyjaśniła Roza.

- Dokąd? - wykrzyknął.

-Do Anglii - powtórzyła ze spokojem, uśmiechając się nieznacznie. - Załatwiłam to tak, że wyjedziemy razem z Maxwelllem do Anglii.

-My?

-My - przytaknęła Roza, jakby to było oczywiste. - Ja z dziećmi, a ty ze Stellą.

- Nie, do diabła!

- Wszystko jest już załatwione - odparła surowo. - Nie było łatwo, więc nie stwarzaj teraz trudności, zachowując się jak smarkacz.

- Byłaś smarkulą jeszcze przez wiele lat, gdy ja już wydorostałem

- odciął się, choć zabrzmiało to raczej żałośnie. - Czym

zapłacałaś? - zapytał Ole skwaszony, gdy się zdążył otrząsnąć. -

Rozłożyłaś nogi przed poczciwym Maxwelllem? A może przed miłym papą Hartem? Jeden mniej czy jeden więcej z tej rodziny, co za różnica? Nie poddasz się, póki nie zaliczysz wszystkich mężczyzn z tego rodu, co?

- Nie wiesz, co mówisz! - wykrzyknęła. - Co ty tu masz, do diabła? Co cię tu trzyma, Ole? No, powiedz! *

Owszem, planował stąd wyjechać, ale sam! Pozostawić Stellę na jakiś czas pod opieką Rozy. Ale zamierzał też wrócić. Nie zostawiłby przecież swojej córki! Nigdy jej nie porzuci! Stella to jego dziecko, chce widzieć, jak dorasta na cudowną istotę. Nigdy jednak nie przypuszczał, że zostanie do wyjazdu zmuszony. Ole zaś nie znosił przymusu.

- Mam Samuelsborg - rzekł.

- To przekaz komuś z rodzeństwa. Są już wystarczająco duzi. Popatrzył na nią jak na wariatkę.

-Oddać Samuelsborg? - zapytał z niedowierzaniem, rozkładając ręce. - Wiesz, ile mnie kosztowało to miejsce? Czy w ogóle potrafisz to pojąć?

-Jakbym słyszała ojca - stwierdziła. - Przecież Samuelsborg nie trafi w obce ręce tylko pozostanie w rodzinie! Ułatw któremuś z braci start w dorosłe życie. Łączą nas przecież więzy krwi.

- To weź któregoś z nich, jeśli już musisz, Roza

- odparł, wciąż porażony tym, że mogła zaproponować mu coś tak niewiarygodnego. - Wyjeżdżaj dokąd chcesz, do diabła i bierz którego z braci chcesz, ale nie wtrącaj się do mojego życia. Mam dość kłopotów, po co mi kolejne? Nie jesteś mi potrzebna.

- Chodzi o Stellę - rzekła Roza. - Nie zostawię jej teraz.

- Znajdę inną mamkę - cisnął jej w twarz zrezygnowany. - Mogę się z nią nawet ożenić. Zrobię cokolwiek, byleby uniknąć twoich cholernych pomysłów, Rozo!

- Przestań! - rzekła. - Łączą nas więzy krwi. Jesteśmy rodzeństwem. Jesteśmy podobni do siebie. Chcesz innego życia, prawda? Nie urodziłeś się po to, by prowadzić gospodarstwo, czyż nie to zwykłeś powtarzać?

Odpowiedział jej z lodowatym spokojem:

- Nie sądziłem, że słuchasz tego, co mówię. Nie odniosłem takiego wrażenia, kiedy odmówiłaś mi Hailuoto. Nie mówiłaś wówczas, że jestem stworzony do czegoś wyjątkowego.

- Po drugiej stronie płotu trawa jest bardziej zielona - kusila, chcąc mu się przypodobać. - Wiem o tym, Ole. Byłam tam i widziałam. O wiele bardziej zielona....

- To czemu tam nie zostałaś?

- Wtedy nie mogłam - odparła, ale nie wyjaśniła dlaczego.

- Dlaczego miałbym cię posłuchać i jechać w nieznane? Na łeb, na szyję do tego, o czym nie mam najmniejszego pojęcia. Bo wiem jedno, że już wydałaś wszystkie pieniądze, by załatwić nam rejs do Anglii...

Wtedy uśmiechnęła się chytrze jak stary kocur, który miał niemal tyle samo lat co Ole i wydawało się, że widział wszystko.

- Za rejs nie zapłaciłam nawet grosza - oznajmiła.

Wpatrywał się w nią, niczego zrazu nie pojmując, a wreszcie westchnął i rzekł:

- W takim razie pewnie młody Hart się w tobie zakochał.

Nie rozumiał, jak ona to robi, że doprowadza mężczyzn do szaleństwa. Roza, która swym wyglądem mogłaby przestraszyć diabła, rozkochiwała w sobie mężczyzn z różnych stron świata, często z wyższych sfer! Ślinili się na jej widok, aż im przemakały sztywne kołnierzyki.

- Popłyniemy w najlepszej kabinie - dodała Roza.

- Ale nie zostaniemy w Anglii.

- Zdawało mi się, że wspomniałaś coś o Anglii?

- Gdzieś będę musiała wymienić pieniądze - wyjaśniła Roza. - A ty swoje bryłki ze złotem.

Ole uważniej nastawił uszu, gdy Roza tłumaczyła, jak uporać się z tym problemem. Jej zdaniem, powinni zachować niezwykłą ostrożność.

- No cóż, nie jest to całkiem nierozsądny pomysł

- odparł w końcu. - Może nawet da się go przeprowadzić.

Wszystko zależy od tego, ile zdołasz osiągnąć tu, na miejscu, prawda?

Roza pokiwała głową.

Ole zrozumiał, że plan Rozy jest doskonały, nienawidził jednak być zależny od siostry. Snując plany i marzenia, nie brał nigdy pod uwagę pomocy ze strony Rozy. Chciał wyjechać jako Ole Samuelsen, którego tu wszyscy znali i wrócić do Kafjorden w wielkim stylu jako człowiek bogaty, z którym

wszyscy muszą się liczyć. Nie pomyślał nigdy
o tym, że tę pozycję będzie zawdzięczał pomocy Rozy.

- A co potem? - zapytał.

- Popłyniemy na drugą półkulę - odpowiedziała z drżeniem i
uśmiechnęła się promiennie, zrzucając na moment maskę. Ole nie
pamiętał, czy kiedykolwiek widział ją taką szczęśliwą.

- Do Ameryki?

Brzmi nieźle. Zupełnie nieźle. Słyszał jak górnicy rozmawiali w
Kopalni o Ameryce. Chyba sporo z nich wyjechało za wielką
wodę, nawet najwięksi desperaci z Tornedalen odnaleźli drogę do
tego kraju mlekiem i miodem płynącego. Po osadzie krążyły
opowieści o tych, którym się powiodło
i w ogóle nie zamierzali stamtąd wracać.

Olemu wydawało się, że łatwo by przywykł do tamtejszego
życia. Nie miał nic przeciwko temu, by stać się bogatym
człowiekiem w Ameryce. Na pewno dałoby się przesłać list do
kogoś w Kaf jorden i opowiedzieć, jak mu się dobrze powodzi.
Niechby ich skręcało z zazdrości i żalu, że kiedyś źle traktowali
mieszkańców Samuelsborg!

Tak, powoli oswajał się z tym pomysłem!

- Cholera, jednak nie jesteś taka głupia! - rzucił z uśmiechem do
siostry. - Podobno w Ameryce pieniądze leżą na ulicy. Pewnie
widziałaś?

- Nie miałam na myśli Ameryki - odpowiedziała.

- Jak to, nie? - zachnął się głośno Ole. - Dokąd w takim razie
zamierzasz mnie wywieźć, do diabła?

- Do Nowej Zelandii - odparła.

- Słucham?

- Do Nowej Zelandii - powtórzyła ze spokojem.

-A gdzie to jest, u licha? Poza tym, że na drugiej półkuli.

- Niedaleko Australii - wyszeptała Roza. -Australii? To chyba równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że chcesz nas zabrać do piekła! Mówisz o Australii, na antypodach? Roza potwierdziła:

-Tak, Nowa Zelandia leży na antypodach. Ale zapewniam cię, że żyje się tam zwyczajnie. Przynajmniej tak słyszałam.

-Oczywiście. Przecież nikt ci nie powie o niebezpieczeństwach! Naiwnych łatwiej zwabić. Nawet nie ma mowy, żebym pojechał na koniec świata, gdzie diabeł mówi dobranoc. Nie pozwolę, by moja Stella dorastała w takim miejscu.

- Niektórzy mówią dokładnie to samo o Norwegii, o Kafjorden, o nas - odparła cicho Roza.

- To się mylą, ale ja nie - stwierdził Ole z przekonaniem.

- Masz tydzień, by pozalać wszystko -oświadczyła Roza. - Z Samuelsborg, z rodzicami Liisy. No i żeby przywieźć swoje bryłki...

-Jeśli sądzisz, że to uczynię... - zaczął, ale nawet nie chciało mu się kończyć. Szkoda strzepić języka. Znał upór Rozy. Kłótnia z nią nie ma sensu. Uznał, że nie będzie się z nią dalej spierać. Może się przeciwstawić w milczeniu. Po prostu nie zrobi tego, co mu każe. Nie przyłoży ręki do tego szaleństwa. A za tydzień się jej pozbędzie.

- Będę stał na brzegu i pokiwam ci na pożegnanie - oświadczył z uśmiechem. - Jeśli chcesz, możesz zostawić Mattiego ze mną. Przynajmniej będzie dorastać w miejscu, gdzie ludzie pamiętają Mattiasa. Z czasem obejmie na własność gospodar-

stwo, z którym jego ojciec wiązał swoje nadzieje i tak jak on będzie orał pole... Nie odezwała się.

Posługiwała się milczeniem równie zręcznie jak słowami i nim minął wieczór, osiągnęła swój zamiar. Ole poddał się, mimo iż wcześniej wykrzykiwał kilkanaście razy, że Roza nie jest jego opiekunką. Jest dorosły i postąpi tak, jak mu będzie odpowiadało. Wie, gdzie jego przyszłość.

W nocy, gdy domownicy zasnęli, przemknął się boso do siostry, która siedziała na schodkach, podparłszy brodę rękoma. Drgnęła, gdy zszedł i zamknął z lekkim trzaskiem drzwi za sobą.

- Powiedz, Roza, co sądzisz o tym miejscu, którego nazwy nie potrafię zapamiętać! - zagadnął.

- Nowa Zelandia - odparła rozmarzona. Nawet nie starał się powtórzyć.

- Myślę, że tam mamy szansę stać się takimi ludźmi, na jakich się urodziliśmy, Ole.

- Naprawdę? - spytał cicho. - Głosy...

- Nie - odparła, pocierając podbródkiem o kolana.

Siedziała w samej koszuli, zarzuciwszy na ramiona cienki szal, który nie zakrywał dokładnie jej lewej ręki. Olego ścisnęło w gardle. Roza zawsze się bardzo pilnowała, by mieć zakryte ramiona. Pomyślał, że zasługuje na to, co najlepsze. Życie nie obchodziło się z nią łaskawie. Czas najwyższy, by wreszcie się to zmieniło na lepsze.

- Głosy praprzodków nie mają z tym nic wspólnego.

Przynajmniej tak mi się zdaje.

- Nie? - zdziwił się Ole. Zamyślona, pokręciła głową.

Olemu zdawało się, że słyszy kobiecy śmiech.

Pewnie któraś z kobiet zamieszkujących w Krecie doznała rozkoszy. Nie skomentował tego jednak.

Roza też słyszała i rozpoznała dźwięczny śmiech Natalii.

Doznała bolesnego zawodu, że Natalia przestała się do niej odzywać. Niestety, nie potrafi jej do tego zmusić.

Natalia była w pewien sposób związana z Mat-tiasem. Ale jego śmierć nie ma nic wspólnego z milczeniem Natalii. Ona zamilkła dużo wcześniej, niż zginął Mattias.

-A ty nie zapłacisz za to ani grosza? - zapytał Ole kolejny raz. - Zamierzasz dotrzeć na drugą półkulę, nie uszczuplając portfela?

- Owszem - zapewniła.

-Jak to możliwe? - zapytał Ole, spoglądając na siostrę z ciekawością. - Posłużyłaś się czarami?

Usta wygięły jej się w uśmiechu. Ole siadał zawsze od tej strony, gdzie profil siostry prezentował się korzystnie. Ta druga bowiem przywoływała wspomnienia, do których nie lubił wracać. Nie musi przypominać sobie wciąż tego, co nadal boli jak nie zagojona rana w sercu.

- Maxwell wyłoży za ciebie pieniądze? A czego spodziewa się w zamian? A może już udzieliłaś mu zapłaty, która nie ma nic wspólnego z pieniędzmi?

- Bardzo dziękuję! Masz o mnie wysokie mniemanie!

- A co mam myśleć, u licha!

- Maxwell sądzi, że go poślubię. -Co?

-To nie Maxwell, ale jego ojciec zawiezie nas tam, dokąd zechcemy - rzekła Roza.

- On też wierzy, że poślubisz jego syna? - spytał, dysząc ciężko Ole.

-On wie, że nie ośmielę się wyjść za mąż za Maxwella.

- A więc handel wymienny? Zdaje się, że gotów jest zapłacić bardzo sownie, by nie dopuścić cię do rodziny. Czy ten jego syn jest tyle wart?

Roza tylko się uśmiechnęła. Ole poczuł lodowaty chłód w żołądku, bo nagle doznał olśnienia.

- Chodzi o coś innego - oświadczył.

- Może? - odparła Roza.

Nie zdobył się jednak na to, by dążyć dalej ten temat. I tylko skinął głową, gdy zaproponowała, że może nadal udawać wściekłego.

- Nawet babcia Lea zdziwiłaby się, gdybyś poddał się bez walki, Ole - rzekła łagodnie Roza.

- Ona o niczym nie wie? - spytał, a w jego oczach pojawiło się takie samo ciepło jak u Rozy, gdy wspominała babcię.

- Nikt nie ma zdolności jasnowidzenia przez cały czas - zdradziła Roza.

- Na pewno?

- Na pewno.

Ole nie wierzył, ale uznał, że Roza wie lepiej.

Wszystko odbyło się tak, jak ustalili. Ole wykrzykiwał do Rozy, gdy słońce o poranku oświetliło drewniany dom od wschodu.

Klął i wieszał na niej psy, oddalając się wraz z bratem od Kifjorden.

- Za bardzo jesteś do niej podobny - uznał Hans. -Nie wściekałbyś się tak, gdybyś nie był do niej podobny.

- Nie? - zapytał zdumiony Ole.

-Ja nie jestem podobny do Rozy i dlatego się z nią nie kłócę - stwierdził Hans. Ole zaśmiał się głośno i odparł:

- Nie mieszkasz z nią pod jednym dachem, Hans. I to jedyny powód, dla którego z nią wytrzymujesz.

- Jest z nas najstarsza! - Hans wzruszył ramionami.

- I wie wszystko najlepiej - odparł Ole naburmuszony, *t*
Dziwne, ale śmiech kobiety, który, jak mu się zdawało, słyszał poprzedniej nocy, wciąż tkwił mu w głowie i nie mógł się od niego uwolnić.

- Słyszysz? - zapytał nagle.

- Co takiego? - spytał Hans.

- Śmiech - odparł Ole.

Hans usadowił się wygodnie na wozie, wyteżając słuch, ale choć bardzo się starał, wychwycił jedynie ptasie trele i szum wiatru w listowiu. Doleciał też plusk pobliskiego strumyka, odgłos końskich kopyt, trzeszczenie kół i pojękiwanie wozu. Las przemawiał znajomym głosem, ale śmiechu nie usłyszał.

- Stałeś za blisko Rozy, kiedy na ciebie wrzeszczała - rzekł do brata.

Ole nie podzielał w pełni jego przekonania. Nadal słyszał śmiech kobiety, a co bardziej przerażające, zaczynał go rozpoznawać. Ow śmiech należał do tego miejsca, podobnie jak szum wiatru. Może jednak jestem podobny do Rozy, przemknęło mu przez myśl...

Rozdział 6

- Boże! Jak tu wygląda! - jęknął Hans i zeskoczył z wozu. Dotarli na podwórze przy spalonym domu, w którym kiedyś mieszkał Mattias z Rozą.

-Wyglądało jeszcze gorzej, jak brama piekieł -próbował go pocieszyć Ole, ale mu się nie udało. -Wprost z ziemi wystawały fragmenty osmolonych ścian i sterczały belki nośne. Trudno było uwierzyć, że kiedyś był to solidny dom.

- Mattias nie zdołałby tego odbudować do zimy - stwierdził Hans, stąpając po pogorzeliści. Brodził w popiele sięgającym powyżej kostek, a stanąwszy pośrodku tego, co niegdyś stanowiło izbę, rozłożył bezradnie ręce, uświadamiając sobie całą groźbę sytuacji.

- Przecież mogliście zginąć!

Ole uśmiechnął się i podszedł powoli do podmurówki.

Wystarczyło, że przymknął oczy, a znów słyszał trzask ognia, zapach lizanej płomieniami i kapiącej z drewnianych bali smoły. Czuł gorąco wdzierające się do środka, pot, lęk przed poparzeniem.

- Ojciec ci nie mówił, że ogień jest groźny i nie wolno z nim igrać? - rzucił Ole z pozoru obojętnie i objął rękoma opartą o murek stopę.

-Przestań, do diabła! - zdenerwował się Hans i zapytał: - Z Rozą też tak rozmawiasz?

- Roza potrafi się śmiać - rzucił krótko Ole.

- Z tego też? - wzdrygnął się Hans. -Zwłaszcza z tego - syknął Ole. - Należy do

tych poparzonych, którzy nie boją się ognia.

- Oszalałeś! - stwierdził młodszy brat i wyszedł poza kamienny kwadrat przysypany sadzą.

- Nie ma czego stąd zabierać - dodał. - Możemy od razu wracać do domu. Nic tu nie zostało.

Pokręciwszy głową, popatrzył na w miarę zadbane pola, których Roza przecież i tak nie dałaby rady sama uprawiać. Zauważył też grządki z warzywami i pomyślał, że jego siostra i Mattias mieli wspólne plany. Zamierzali ożywić to miejsce.

- A niech to, wszystko straconej - rzekł. - Mattias włożył tu tyle pracy, a pozostało jeszcze wiele do zrobienia. Żeby jednak mogła się utrzymać tu rodzina, potrzeba więcej ziemi pod uprawę.

Skromna to spuścizna dla Mattiego. Jeśli pola nie będą uprawiane, wszystko zarośnie i zniszczeje. Kiedy osiągnie dorosłość, będzie musiał wszystko zaczynać od nowa. O ile ona nie przymusi go, by szybko wydoroślał.

- Kto? Roza o gołęmbim sercu? - spytał Ole. - Jak mogłeś w ogóle coś takiego pomyśleć o naszej siostrze?

- W tym miejscu potrzebny jest mężczyzna, Ole! Wiesz to równie dobrze jak ja. Do diabła, przecież to ty jesteś gospodarzem, ty wiesz wszystko na ten temat!

-Roza poważnie myśli o wyjeździe - rzekł powoli Ole.

Hans zatrzymał się. Zagryzł usta i odchylił kark.

Natura i jego obdarzyła nadmierną urodą, ale w przeciwieństwie do podobnego do Wielkiego Samuela Olego, blondyna o niebieskich oczach, Hans odziedziczył po matce ciemne włosy i oczy. Przerósł Olego o głowę, ale nie dorównywał wzrostem Anglikom i większości norweskich robotników w Kopalni. Wszystkie dzieci Wielkiego Samuela i Nanny były niskie, tak jak rodzina z jej strony.

- A ty na poważnie zamierzasz wyjechać razem z nią?

Ole pokiwał głową.

- Wczoraj można było odnieść wrażenie, że prędzej ją udusisz, niż jej posłuchasz.

- Nie dawaj wiary wszystkiemu, co słyszysz - uśmiechnął się Ole przelotnie. - Czasami muszę się jej trochę postawić. Niech sobie nie myśli, że to ona o wszystkim decyduje. Nie można dopuścić do tego, by w Samuelsborg rządziła kobieta. Stary by chyba przewrócił się w grobie, gdyby to zwęszył. A pewnie mnóstwo jest takich co mu donoszą

o wszystkim, co się tu dzieje... Zaśmiali się razem.

- A co z tą parcelą? - zapytał Hans.

- Powiedziała, że ją sprzeda.

- Wolno jej tak zrobić? - zapytał brat. - A syn Mattiasa? Przecież to jego dziedzictwo, spadek po ojcu. Wydaje mi się, że Roza nie ma prawa go tego pozbawić.

- To odda w dzierżawę - stwierdził Ole, nie przejmując się tym zbyt. - Wyjeżdżamy, Hans.

i nie wrócimy. Nie słyszałeś, co ludzie opowiadają o Ameryce? Młodszy brat pokiwał głową, a ciemna grzywka opadła mu na czoło.

- Z nami będzie tak samo. -Jedziecie do Ameryki? ^f

- Tak jakby. W każdym razie na drugą półkulę. Na jedno wychodzi. Zaczniemy wszystko od nowa. Roza już kiedyś zaczynała nowe życie. Zna język, mówi, że ma tam znajomych. To będzie tak, jakby wrócić do domu, ale w inne miejsce.

W odczuciu Hansa słowa Olego brzmiały lekkomyślnie. Powoli ruszył w dół ku rzece i usiadł na lekkiej pochyłości powyżej kamienistego brzegu. Nie odwrócił głowy, gdy Ole siadł obok. Obaj wpatrywali się na pomarszczoną taflę rzeki, na cienie ryb tuż pod powierzchnią wody, na bystry nurt. Rzeka jest taka żywotna. Nigdy nie zamiera w bezruchu.

- Czy Roza czymś zaszantażowała tego Anglika? - zapytał Hans, który bardzo wydoroślał od ich ostatniego spotkania.

-Co masz na myśli? - zapytał Ole, czując ciągnący od rzeki chłód. Nastał już sierpień i wnet lato pozostanie tylko wspomnieniem. Zastanawiał się, jak to jest z pogodą na drugiej półkuli. Postanowił zapytać o to Rozę. Może, skoro to odwrotna strona globu, wszystko tam jest na odwrót. Tego jednak też nie potrafił sobie wyobrazić.

-A co ty, naiwny jesteś? - spytał Hans. - Nie próbuj mi tu wciskać wzruszających historii, że Hart jest taki pomocny tylko dlatego, iż jego córka wychowuje Andersa, czy jak oni go tam nazywają.

- Andy - odparł Ole i splunął daleko. - Andrew. Roześmiali się, bo jakoś to głupkowate imię nie pasowało do ich brata.

- Takich bzdur nie dam sobie wmówić - oświad-

czył Hans. - Ludzie tego pokroju nie kierują się odruchem sympatii. Mogliby nawet wychowywać całą gromadkę dzieci, a nie przyszłoby im do głowy by z tego powodu okazać trochę przyjaźni pozostałemu rodzeństwu.

- Może masz i rację.

- Więc o co chodzi?

-Nie wiem - odparł Ole. - Mówię szczerze, naprawdę nie wiem.

Choć mam pewne przypuszczenie. -Mów!

Ole długo się wahał. Nie zamierzał nikomu o tym mówić. Była to jedna z tych wstydliwych tajemnic rodzinnych, które zamierzał zabrać do grobu. Skoro jednak teraz postanowił wyjechać... Może kryje się w tym jakiś sens, by ktoś z rodziny, kto tutaj zostaje, znał prawdę, mimo że jest odrażająca.

- Roza urodziła dziecko dla córki Harta - rzekł. Hans otworzył usta ze zdumienia, ale milczał,

Ole więc musiał mu wyjaśnić wszystko, tak jak zapamiętał.

Słowa niemal parzyły go w usta.

- Gdyby na twoim miejscu był ktoś inny, spralbym go na kwaśne jabłko - oświadczył Hans.

- Nie wolno nam się bić z nikim, by jej bronić -uśmiechnął się

blado Ole. - Czyż nie umówiliśmy się już dawno co do tego?

Inaczej codziennie byśmy musieli rzucać się na kogoś z

pięciami.

Rzeczywiście, przed wielu laty złożyli taką braterską przysięgę.

Byli wtedy jeszcze dziećmi. Gorzka to była nauka, gdy się okazało, że nie ma sensu bronić czci siostry. Nie warto nawet wdawać się w bójki, które z pewnością by wygrali. Obaj dokładnie pamiętają, jak bardzo ich zabolalo, gdy domyślili się prawdy.

-A więc to nie były tylko plotki?

- A co, myślałeś że zabrali ją ze sobą z przyjaźni? Hans pokręcił głową. Kiedy Roza wyjeżdżała za granicę i zabrała ze sobą Andersa, specjalnie się nad tym nie zastanawiał. Był wtedy jeszcze zbyt mały. Teraz popatrzył wstecz dorosłym już spojrzeniem i to, co wyjawiał mu Ole, choć odrażające, nabrało logiki.

- Sądysz, że Roza go tym teraz zaszantażowała? Ole wzruszył ramionami.

- Pewnie tak, bo chyba inaczej nie oddałby jej takiej przysługi. Sam mówiłeś, że ci ludzie nie robią nic za nic. Myślę, że Roza trzyma go w szachu, a on stwierdził, że trafia się okazja, by się jej pozbyć stąd na zawsze. To znaczy, chodzi o to, że na drugą półkulę jest daleko...

-Może nie wrócą z powrotem z Tana - rzekł Hans. - Może uzgodnili, że statek przypłynie po nich dalej na północ...

- A może niebo ci się zwali jutro na głowę - przerwał mu zniecierpliwiony Ole i wbijając się w ziemię piętami wstał, bez podpierania się. - Idę po to, po co tu przyjechałem.

-Tak?

- Sięgnij szkło z ziemianki!

Hans popatrzył na niego zdumiony.

-Zapomniałem zabrać wcześniej. Zdołałem uchronić od pożaru cztery kieliszki z rodowej zastawy liczące sobie ponad sto lat. Schowałem je w ziemiance. Zamierzałem wziąć je, gdy byłem tu ostatnio, ale Mattias uznał, że mogą zostać. Zamierzał zrobić niespodziankę Rozie, kiedy wróci do odbudowanej chaty i nowych izb.

Zamilkli obaj na chwilę.

- Teraz obaj dobrze wiemy, że do tego nie dojdzie - rzekł Ole. - Ale kieliszki są własnością Rozy. Przewieziemy je całe i nienaruszone przez góry.

- A ty? - zapytał Hans, kierując się do ziemianki, gdy zobaczył, że brat rusza w stronę sauny.

- Muszę zabrać coś jeszcze - odparł Ole, któremu zdawało się, że frunie.

Hans kucnął przy ziemiance i oglądał piękny kieliszek ozdobiony dwoma inicjałami ułożonymi symetrycznie i splatającymi się ze sobą w pięść, gdy nagle usłyszał, jak brat wychodzi z hałasem z sauny. Po jego ruchach domyślił się, że coś go zdenerwowało.

- O nie, co za piekło! - wrzasnął chrapliwie Ole i z powrotem wtargnął do sauny.

Hans odstawił wysoki kieliszek na skalnej półce na dnie ziemianki i zamknął wejście. Słyszał, jak Ole urzęduje w drewnianym budynku i ruszył w tamtą stronę. Kiedy uchylił drzwi, by zajrzeć do środka, zdążył zauważyć, jak jedna z półek wiszących na ścianie, omal nie zwała się na Olego. Brat wykazał refleks, uskakując w ostatniej chwili.

- Mało ci, że chałupa jest doszczętnie zniszczona? Zamierzasz jeszcze saunę zrównać z ziemią? - rzucił lekko Hans.

Ole, zlany potem, podniósł wzrok. Stał pochylony nad podłogą w miejscu, gdzie przed chwilą cisnął ławę.

Hans uniósł brwi i oparłszy się o futrynę, odetchnął z ulgą, że nie runął wraz z nią.

- Rozwalę tę saunę! - pomstował Ole, ciężko dysząc, a w jego oczach pojawił się złowrogi błysk.

Takie błyskawice Hans widywał dotąd tylko w oczach Rozy.

- Potrzebna ci pomoc? - spytał Hans, przyglądając się bratu, który z zawziętością realizował swe postanowienie, wyrywając z podłogi deskę po desce, póki nic z niej nie zostało.

Między belkami, na których była ułożona podłoga, a ziemią było około łokcia.

Ole osunął się na kolana i rozplakał się. Hans patrzył na niego, nie dowierzając. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi, a gdy w pomieszczeniu zapanował mrok, zapytał:

- Co się z tobą dzieje, do diabła?

-Był tu jakiś szatański pomiot! - wykrzyknął Ole. - Piekielny złodziej! Niech będzie przeklęty do końca swych dni! On i jego potomstwo do piątego pokolenia! Niech nie zazna spokoju za dnia ani nocą! Niech mu to zrabowane bogactwo nie pozwoli zasnąć, a strach wzmacnia jego czujność w każdej godzinie, jaka pozostała do końca jego nędznego, haniebnego życia. Cholerny sukinsyn!

- O co chodzi? - dopytywał się Hans.

- Pod tą podłogą - odparł Ole, pokazując ręką -schowany był skarb, Hans, mój bracie! - Bogactwo, które wystarczyłoby mi na rozpoczęcie nowego, dostatniego życia. A nawet dla kogoś jeszcze, do licha!

-Miałeś jakieś skarby? Nic mi nie wiadomo -uśmiechnął się Hans, nie będąc w stanie wziąć na poważnie słów brata, który klęczał na ziemi, a na jego brudnej od sadzy i potu twarzy, widniały ślady łez. Powalane ziemią włosy sterczały mu na wszystkie strony. Gdyby Olego zobaczyły teraz jakieś kobiety, z pewnością nie wydałby im się urodziwy.

-Razem z Mattiasem znaleźliśmy tę przeklętą grootę - łkał Ole i oparłszy łokcie o belki ukrył twarz w brudnych i zakrwawionych dłoniach. - Znaleźliśmy tę grootę, o której krążyły legendy. Tę ze złotem - dodał stłumionym głosem.

Hans słuchał oniemiały urywanej relacji brata. Była równie fascynująca jak niektóre opowieści, którymi kiedyś zabawiała ich babcia Lea. Z każdą chwilą jednak coraz mniej wierzył w prawdziwość słów Olego. Ten jednak mówił z takim zaangażowaniem, że pewna wątpliwość pozostała.

- Spytaj Rozę, jeśli mi nie wierzysz! - rzucił Ole.

- To Roza widziała złoto, o którym mówisz? -zapytał Hans ostrożnie, uznając w duchu, że Ole ostatnio zbyt wiele przeżył. Najpierw śmierć Liisy i narodziny dziecka, potem pożar i wreszcie śmiertelny wypadek nad rzeką, w którym Mattias zginął, ratując Olego od utonięcia.

- Roza wie, że tam byliśmy! - zawołał Ole poirytowany, iż Hans nic nie rozumie, mimo że mu wszystko dokładnie opowiedział. Czy to tak strasznie trudno pojąć?

-1 co? Razem z Mattiasem ukryliście tu, pod podłogą, skrzynie z bryłkami? Ole przytaknął.

- Mieliśmy z Mattiasem schowanych tu sześć skrzynek ze złotem, Hans. Po trzy dla każdego. Solidne skrzynki kupione w sklepie w Kopalni. Wyłożyliśmy je workami od mąki i sianem, tak by nic nie dźwięczało i nikt nie domyślił się, co w nich jest, zerknąwszy przelotnie. Ukryliśmy skrzynki pod podłogą, bo przecież nikt nie przyjdzie szukać wartościowych przedmiotów w saunie. - Zamilkł na chwilę i zakławszy znowu, dorzucił: - Ktoś nas

musiał podejrzeć. Widział, jak wnosimy ciężkie skrzynie do sauny i obudziło to jego ciekawość...

-Właśnie - rzucił oschle Hans. - Kto wykorzystuje saunę na magazyn? A jeśli już, to znaczy, że ma do ukrycia coś z przemytu albo jakiś inny trefny towar...

- Wydarliśmy te bryły ze skały własnymi rękami, zdzierając je do krwi... - rzekł z goryczą Ole - ... a teraz jakiś diabelski pomiot je sobie przywłaszczył.

Hans stał w milczeniu, obserwując swego brata, ale nie był w stanie ocenić, czy Ole doszczętnie zwariował. Nie chciało mu się jednak wierzyć, by całkiem postradał rozum. Hans także dorastał pośród opowieści o złotej górze. Tyle, że on nigdy specjalnie nie wierzył w baśnie. To Roza chłoneła je całą sobą. Zawsze mu się zdawało, że babcia opowiada je głównie dla niej.

Tymczasem Ole klęczy tu przed nim i płacze jak dziecko.

- No, tak - odezwał się w końcu Hans, który zawsze stąpał twardo po ziemi. - Wygląda na to, że ktoś cię okradł z bogactwa. Założę się, że nigdy nie dowiesz się, kto to był, ani nie odzyskasz nawet części poniesionej straty.

- Co prawda, to prawda!

- Więc co teraz zrobisz? - zapytał Hans.

- Będę płakał, póki mi starczy łez - odparł Ole - a potem położę się w stodole na strychu i będę spał tak długo, póki się nie obudzę.

Upiję się najpierw - poprawił się. - Na pewno Mattias ukrył gdzieś trochę bimbru. Miał taki schowek za łóżkiem wstawionym na strychu stodoły.

- Łóżko na strychu stodoły? - zdziwił się Hans.

-A, to długa historia - odparł Ole. - Później ci ją opowiem, ale muszę się najpierw wypłakać.

Hans oporządził konia i zaprowadził go nad rzekę, by poskubał trawę. Popatrzył na grządki z warzywami, uznał jednak, że kalarepa jest jeszcze za mała, by się nią najeść. Kilka łądyg wielkości dziecięcej piastki, schrupał, wypłukawszy uprzednio w wodzie. Wziął z wozu prowiant i wniósł na strych stodoły, o którym wspomniał Ole. Rzeczywiście, Mattias wstawił tam łóżko, na którym było dość miejsca dla dwóch osób. Hans jednak umościł sobie posłanie z suchego siana w rogu i rozłożył skóry i koce, jakie dała im na drogę Roza.

Kiedy Ole wszedł po stromej drabinie, Hans posilał się zadowolony pajdą chleba razowego, grubo posmarowanego smacznym, solonym masłem.

- Znalazłeś gdzieś spirytus? - spytał Ole. - Nie szukałem - odparł Hans, nie patrząc na brata.

Ole nie marnował czasu. Odsunął na bok łóżko i stanąwszy na nim w butach, odnalazł niemal tuż pod ciemnym dachem półkę, której Hans z pewnością w ogóle by nie zauważył. Trzeba by mieć sokoli wzrok lub wiedzieć o niej, by ją znaleźć.

- Bądź błogosławiony, Mattias! - rzekł Ole. Siadł ciężko na łóżku, pocałował butelkę i wyjął korek, spoglądając z wdzięcznością ku górze.

- Spoczywaj w pokoju, kompanie - dodał i wychylił porządnego łyka. - Masz ochotę? - zapytał brata i wyciągnął do niego rękę z butelką.

Hans pokręcił głową.

- Nie skosztujesz porządnego rumu? Co z ciebie wyrosło, bracie? Czyżby cię tam, w tej Rosji cał-

kiem zepsuli? Pewnie pijesz teraz tylko wódkę, co? Albo wolisz to świństwo, które zwą kwasem?

- W ogóle nie piję - odparł Hans.

Ole popatrzył na niego, jakby spadł z nieba i wychyliwszy kolejny łyk, zatkał korkiem butelkę i odstawił ją u wezgłowia łóżka.

- Mój brat nie pije? - zapytał. - Jak myślisz, co stary by na to powiedział?

Hans wzruszył ramionami. Ole zaś, naśladowując głos Wielkiego Samuela, grzmiał:

-Jeśli nie golniesz sobie porządnie, chłopcze, nigdy nie wyrosną ci włosy na brodzie ani w innych miejscach!

Bracia zanieśli się ód śmiechu, aż łzy im popłynęły z oczu.

- Rzeczywiście, pewnie by coś takiego powiedział - rzekł Hans.

- Chyba jesteś naiwny, bracie - odparł Ole oschle. - Wiesz równie dobrze jak ja, że powiedziałby coś, co bardziej by zabolalo.

Młodszy brat spuścił głowę.

- Lubił demaskować nasze słabości - dodał Ole. - Twierdził wprawdzie, że jest inaczej, ale sprawiało mu satysfakcję, kiedy udało mu się nas złamać. Piekielnie trudno się do tego przyznać i przywołać niemiłe wspomnienia. Ten stary cap zawsze narzucał swoją wolę.

Ole nie próbował nawet upiększyć pamięci po ojcu. - Tylko Rozy nie udało mu się złamać - rzucił Ole niechętnie z podziwem w głosie. - Zawsze, choć odrobinę, ale mu się sprzeciwiała, a w końcu jego samego złamała.

Westchnął.

-Zawsze ją za to podziwiałem, Hans. Nigdy jej tego wprawdzie nie powiedziałem i nie zamierzam tego uczynić, ale wtedy ją pokochałem.

- Zniszczyła go - stwierdził Hans.

-Ona jest z nas najsilniejsza - oświadczył Ole. I wiesz, co to oznacza? To, że straciłem złoto?

Hans pokręcił głową. Miał już nadzieję, że brat zdołał o tym zapomnieć. Liczył na to, że przetrwają ten wieczór, noc i następny dzień, a złoto nie położy się cieniem. Hans nie miał ochoty osądzać, łatwiej więc byłoby nie poruszać tego tematu.

-To oznacza, że jestem od niej zależny - rzekł Ole. - Jestem całkowicie od niej zależny, by żyć...

- Przecież masz Samuelsborg - sprzeciwił się Hans.

-... tak jak bym chciał żyć i do jakiego życia zostałem stworzony - dodał Ole. - Jestem całkowicie zależny od niej. Może mnie też złamie.

-Nie robi tego - odparł ze spokojem Hans. -Nie czuje do ciebie nienawiści.

- Ale mną gardzi - upierał się Ole, kładąc się na wznak. Podłożył ręce pod kark i usiłował wypatrzyć w półmroku wzory słoii w drewnie na dachu.

- Pogarda to za mało - rzekł Hans, palcem wylizując zawartość kubka. - Musiałaby cię zniechęcić, by mieć radość ze zniszczenia ciebie.

- Co tam masz?

- Śmietanę.

- Gdzie ją znalazłeś? -W ziemiance.

- Do diabła! - wyrwało się Olemu. - Roza zawsze wstawiała duży dzban ze śmietaną, gdy wyjeżdżała. Razem z Mattiasem zjedliśmy ostatnio to, co zostało, a on wlał mleka do dzbanka po śmietanie.

- Przyniosłem dzbanek - powiadomił Hans.

- Zostało coś?

Hans poturlał dzbanek po nierównej podłodze. Ole palcem wygarnął gęstą śmietanę z dna i oblizał się ze smakiem.

- Nigdy nie lubiłem stać w jej cieniu - rzekł. -Ale muszę przyznać, że śmietanę robi znakomitą.

-Zdaje się, że mówiłeś, iż tym razem nastawił śmietanę Mattias - zauważył Hans. Ole popatrzył na niego zdumiony.

- No tak, i co z tego? Nie mogę, tak czy inaczej, kochać mojej siostry?

- Oczywiście - przytaknął Hans, pewien, że zbyt wiele nieszczęść spadło ostatnio na brata.

- Roza zapewni mi takie życie, do jakiego zostałem stworzony - ciągnął dalej Ole. - Ona to potrafi, zobaczysz, Hans. Wystarczy, że użyje swej siły.

Hansowi nie spodobały się słowa brata.

- Roza nie jest żadną wiedźmą.

-A czy ja coś takiego powiedziałem?

- Nie.

- Sądysz, że tak myślę?

- Nie - zaprzeczył ponownie Hans.

- Ale... - Ole zawahał się i dodał: - Musisz przyznać, że wszystko jej się cholernie dobrze układa. Niemal kładzie się u jej stóp...

- Nie wolno ci tak myśleć! - zawołał Hans przerażony.

- Czyżby? - spytał Ole.

Rozdział 7

- Dlaczego nic o tym nie wiemy? - wściekał się Sakarias, drżącym palcem wskazując na Olego. -Przybył do Samuelsborg rozwścieczony jak byk i wtargnął do budynku, w poszukiwaniu zięcia, a kiedy go znalazł, nie przebierał w słowach. Głos mu się trząsał, a ciskając gromy niczym letnia burza, przystawił pięści do twarzy Olego.

- To my się musimy dowiadywać takich rzeczy od obcych ludzi? Zdaje się, że w ogóle nie zamierzałeś nam o niczym mówić, prawda? Chciałeś po kryjomu wywieźć stąd naszą wnuczkę! Zabierasz córeczkę naszej Liisy i to nie wiadomo dokąd. Po wsi krążą najróżniejsze plotki. Jedni gadają, że wyjeżdżasz na południe Norwegii, inni że za granicę, podobno do Anglii. Stella jest jedną z nas, jest Finką. Nie ma czego szukać w Anglii! Nie wolno ci jej stąd wywozić! Nie pozwolę na to! Po moim trupie, Ole Samuelsen!

Mężczyzna w sile wieku omal się nie rozpłakał.

- Mówiłem Eevie, że jeśli oddamy ci Stellę, sprowadzisz na nią nieszczęście. Nie powinienem był słuchać żony! - Szlochając wykrzykiwał: - Do licha z tymi babami! Mają zbyt miękkie serca! Dały się otumanić twoim niebieskim ślepiom i wstawiły się za tobą! Eeva jest taka sama jak inne! Gdy na ciebie

patrzy, ubywa jej lat i śmieje się jak młoda dziewczyna z twoich żartów. Wierzyła ci, tak jak te wszystkie inne kobiety, którym zawróciłeś w głowach! Błagała mnie, bym się nie awanturował, więc jej posłuchałem. Pozwoliłem ci zatrzymać maleńką Stellę, mimo że powinienem walczyć jak niedźwiedź, by córeczka Liisy miała porządny dom. A teraz chcesz ją zabrać od nas, mimo że wiesz, ile to dziecko dla nas znaczy. Proszę cię, to także prośba Liisy, pokój jej duszy, ona błagałaby o to samo: nie zabieraj nam Stelli...

- Stella jest moją córką - odparł ze spokojem Ole, po czym wstał i obszedł łukiem pochylonego nad krzesłem Sakariasa. Nie okazał współczucia teściowi zgarbionemu od ciężkiej pracy, który trząsał się teraz od płaczu. Nigdy za sobą nie przepadali. Po śmierci Liisy Ole uznał, że nie łączą go już żadne więzy z rodziną żony i nie musi już udawać, że lubi Sakariasa. Tak naprawdę był mu całkowicie obojętny. Ole wyszedł przed dom, licząc na to, że teść podaży za nim, i nie pomylił się.

- Nie miałbyś jej, gdyby nie ja - oświadczył Ole, gdy stanęli twarzą w twarz. Nie złagodniał, widząc rozpacz malującą się na twarzy teścia. Nie leżało w jego naturze ulegać chwilowym wzruszeniom, ani ze swego, ani z cudzego powodu.

- Stella jest moim dzieckiem i ja jestem jej ojcem! Cokolwiek byście robili, nigdy byście jej nie dostali! Wyjadę, dokąd zechcę i zabiorę Stellę ze sobą. Nie myśl, że będę cię pytał o pozwolenie. Nie widzę najmniejszego powodu, by tak postępować. Nie masz żadnych praw do Stelli. Oswój się z tą myślą, Sakarias. Ojciec Liisy westchnął ciężko i posyłając Olemu

spojrzenie, które mogłoby zabić, odszedł bez słowa.

- Nie uprzedziłeś go o wyjeździe? - spytała Roza, a w jej głosie, ku zdumieniu Olego, pobrzmiwała lekka nagana. Nie spodziewał się, że siostra będzie go pouczać na temat otwartości i bliskości. Ona, królowa wszelkich mrocznych tajemnic! - Nie sądzisz, że mają prawo wiedzieć?

- Nie - odparł Ole.

Nikomu nie jest nic winien. Zawsze bardzo się pilnował, by spłacać swe długi. Nie dopuszczał do tego, by ktoś go nachodził z nienacka i czegoś się domagał. Jego dni upływały więc tak, jak sobie zaplanował, o niespodzianki dbał sam. Jest panem swego życia. No, może nie do końca. W ręku Rozy bowiem znalazła się cała jego przyszłość, tyle że ona o tym nic nie wie. Nie powiedział jej jeszcze o stracie złota, a Hansa nakłonił, by przysiągł mu, iż także będzie milczał. Ole ufał Hansowi.

Roza nigdy się nie dowie, że ma go w garści.

- Skąd się dowiedzieli o naszym wyjeździe? - zdziwiła się Roza.

- W osadzie aż huczy od plotek, że sprzedawałaś parcelę Mattiasa - odparł bez namysłu Ole. - Spodziewałem się, że Sakarias tu przyjdzie. Nie zaskoczył mnie. Jest tak samo przewidywalny jak była Liisa.

Zamilkł pośpiesznie i zacisnął wargi, zły na siebie, że wspomniał o zmarłej żonie. Nie miał takiego zamiaru. Liisa należy do przeszłości. Nie pozwoli, by kładła się cieniem na tym, co dzieje się obecnie, a tym bardziej na tym, co ma się wydarzyć.

Roza westchnęła. Nie spodobało jej się to, co powiedział brat.

Martwiła się też, że wciąż nie uporał

się z żalobą po stracie Liisy i nadal wzbrania się, by ją wspominać.

- Całkiem dobrze wyszłaś na tej sprzedaży - rzucił Ole chłodno. Gospodarstwo w Altadalen kupił jeden ze starszych górników z kopalni Raipas, decydując się wyłożyć sporą sumę pieniędzy. Był świadom tego, że dokonuje dobrego zakupu, ale zaproponował nieco większą zapłatę, niż początkowo zamierzał, byleby tylko udobruchać Rozę. Nie chciał, by żywiła doń jakąś urazę. Ludzie gadali wszak o niej różne rzeczy, a on wolał, aby nie rzuciła uroku, ani na niego, ani na gospodarstwo, które od niej kupił.

- Te pieniądze odłożę dla Mattiego - oświadczyła Roza stanowczo, porzucając temat Liisy. Podobnie jak brat łatwo zapominała o innych, zajęta sobą i swoimi problemami. Rozie nie spodobało się, że Ole uważa, iż wzbogaciła się kosztem syna Mat-tiasa. Brat często się śmiał, że tak łatwo ją rozdrażnić, i teraz też roześmiał się na całe gardło, mówiąc:

- Lubisz decydować, prawda?

To pytanie pojawiało się nieustannie w ich rozmowach. Ledwie Ole nauczył się mówić, miał siostrze za złe, że próbuje nim rządzić. A przecież byli niemal w tym samym wieku. Dopiero gdy skończył jedenaście lat, ustąpiła i pozwoliła mu kierować się własną wolą.

Ole tymczasem wciąż próbował przeniknąć ją na wskroś, za każdym razem dopatrując się czegoś, czego w niej nie było. Roza poczuła się nieswojo i zapytała ostrym głosem:

- A niby czemu nie miałabym lubić decydować? -Nie, dlaczego? - odgryzł się Ole. - Przynajmniej czujesz się kimś ważnym.

-Właśnie! - odparła, krzyżując ręce na piersi, jakby w odruchu obronnym. Z jej twarzy opadła maska starannie skrywająca wszelkie uczucia.

Roza wydała mu się nagle drobna i bezbronna w czarnej spódnicy i zbyt jasnej bluzce.

Ole już dawno przestał się jej bać, choć gdy dochodziło do konfliktu, nadal mimowolnie wstrzymywał oddech, póki nie przypomniał sobie, że są już dorośli i siostra nie ma nad nim przewagi. Nie może naskarżyć na niego ojcu i skierować gniewu Wielkiego Samuela przeciwko bratu. Nie stłucze go też na kwaśne jabłko, bo jest od niej wyższy i silniejszy.

- Wystarczająco długo byłam nikiem, Ole - ciągnęła Roza głosem suchym jak popiół. - I nie czułam się z tego powodu szczęśliwa. - Wzruszyła ramionami, nadal z rękoma skrzyżowanymi na piersi, i dodała: - A może ten wyjazd mnie wreszcie uszczęśliwi? Może stanę się kimś.

- Kimś ważnym? - zapytał cicho.

- Sądzisz, że to niemożliwe?

Może i nie. Kiedyś pewnie by się z tego zaśmiał, teraz jednak poczuł ukłucie w sercu. Coś na kształt wspólnoty, a może miłości. Kochał siostrę na swój sposób i pomimo pozornego chłodu i obojętności był z Rozą bardzo związany. Przemknęło mu przez myśl, że być może już najwyższa pora, by i Roza zaznała odrobiny szczęścia. By poczuła się ważna jako jednostka. Może nawet na to zasłużyła. Tyle ciosów otrzymała od życia, ludzie tak często deptali ją i nienawidzili, więc może czas, by się to zmieniło. Ole nie był tylko pewien, czy podoba mu się, by odbyło się to jego kosztem. Nie był zadowolony zwłaszcza z tego, że znów przyjdzie mu żyć

w jej cieniu. Lubił przecież błyszczeć i pławić się w promieniach słońca. Też potrzebował ciepła, podobnie jak siostra.

- Hans nie chce Samuelsborg - oświadczył zasepiony Ole i podniósł się z miejsca. Z całą premedytacją zmienił temat, by nie dać jej powodu do satysfakcji. Skierował się najpierw do obory, a potem wszedł na podjazd do stodoły i usiadł wysoko, zwieszając nogi.

Jako dziecię wbiegali tutaj, na samą górę, zeskakiwali w dół, a potem wracali biegiem w to samo miejsce. Nieco starsi skakali z dachu spichlerza i stodoły. Omal się kiedyś nie pozabijali. Gdy Roza wylądowała niefortunnie i przez dwa dni nie mogła chodzić, ojciec prawie ich zatłukł sprzączką od pasa. Cała wina spadła wówczas na Olego, ponieważ jako chłopak - według słów ojca - ponosił odpowiedzialność za te niebezpieczne popis.

Tak naprawdę to Roza zawsze prowokowała te ryzykowne zabawy, a on tylko ją naśladował.

Roza usiadła po chwili obok Olego i chwyciła go za rękę. Znowu poczuli się jak rodzeństwo. Nie mają nikogo, kto byłby im bliższy. Świadomość osamotnienia miewa tę zaletę, że zbliża ich do siebie.

-Hans zajął się handlem - próbowała pocieszyć brata Roza. - Ma duszę kupca. Nie zauważyłeś?

- Za bardzo był przejęty mną, bym to zauważył.

Roza objęła Olego i oparłszy się policzkiem o jego ramię, powiodła spojrzeniem po gospodarstwie, które niegdyś stanowiło królestwo ojca.

-Właściwie trudno mu się dziwić, prawda? -stwierdził Ole zrezygnowany i zaśmiał się lekko. Po raz pierwszy spróbował spojrzeć na problem

z cudzej perspektywy, a nie tylko przez pryzmat własnych spraw. Zdawało mu się, że posiada nie wiadomo co, a tymczasem zagroda jest nieduża, podobnie zresztą jak budynek mieszkalny.

- Edvard ma dwadzieścia trzy lata - rzekła Roza, jakby nie była świadkiem tego objawienia brata albo chciała go chronić przed samym sobą. - Babcia Lea wspominała mi, że gdzieś tu, na wyspach, mieszka pewna dziewczyna... - Roześmiała się. - Pomyśl tylko, mały Edvard, nasz najmłodszy braciszek, chętnie by się oświadczył, ale wydaj fi mu się, że nie ma co proponować swej wybrance. Gdyby wszedł w posiadanie tej zagrody, jego sytuacja uległaby zmianie.

- W moim przypadku się to sprawdziło - odparł Ole. - Jako dziedzic, dostałem żonę, mimo że nie widziałem na oczy, i nie zapowiadałem się najlepiej... No, ale Liisa też nie miała najlepszych widoków...

- Zamknij się - przerwała mu Roza. - Liisa była dla ciebie stanowczo zbyt dobra!

-Tak?

Oparł się głową o jej głowę i zamyślił się. Trudno było mu jednak pojąć, że ta Liisa, z którą się ożenił, i którą nawet przez jakiś czas kochał, by później nabrać do niej pogardy i brzydzić się wręcz jej tknąć, była dla niego zbyt dobra. Wolał nie pytać jednak Rozę o wyjaśnienie, w obawie, że mógłby w nie uwierzyć.

Uświadomił sobie za to, że cokolwiek się zdarzy, nie zostanie sam, bo ma przecież siostrę i oboje mogli zawsze na siebie liczyć.

- Co nas czeka, Rozo? - zapytał szeptem, objąwszy ją ramieniem.

- Dalsze życie - odparła.

Dni w Samuelsborg nigdy nie były dla Rozy łatwe, ale przez te tygodnie po wyjeździe Hartów do Tana, niemal każdy dzień przynosił jej kolejne wyzwania, które zdawały się piętrzyć. Dziadek uważał, że zbyt pochopnie podjęli z Olem decyzję. Ostrzegał, że rozpacz, którą trzyma na dystans, wciąż znajdując sobie jakieś zajęcie i planując zacząć wszystko od nowa, uderzy w nią silniej, gdy już wreszcie zyska czas, by usiąść i wsłuchać się w siebie. Tylko że wtedy nie będzie już miała wokół siebie rodziny. Zostanie sama z dziećmi i z Olem, co według dziadka znaczy tyle samo, jakby nikogo nie miała.

Nie powiedziała mu, że ma nadzieję, iż tak się nie stanie. Tylu rzeczy nie mogła mu opowiedzieć. Tego odległego świata, do którego ją ciągnęło, dziadek nie był w stanie pojąć, mimo swych szerokich horyzontów.

Bracia martwili się z kolei, że już więcej ich nie zobaczą. Ole zaprzeczał z ożywieniem, ale Roza milczała. Ole nie miał dotąd okazji się przekonać, jak rozległy jest świat. Zapewniał gorąco, że przecież Roza była daleko i wróciła, więc niby dlaczego nie mieliby i oni tu wrócić. Nie rozumiał, że jej powrót był czymś niezwykłym. Mało kto przyjeżdżał z za oceanu w rodzinne strony. Naiwnie sądził, że wszystkim, którzy wyjechali w świat, dobrze się teraz powodzi i opływają w dostatek.

Obawiała się reakcji Olego, kiedy uświadomi sobie prawdę. I miała nadzieję, że dotrą na miejsce, nim brat straci złudzenia. Mimo że jego nieodpowiedzialność doprowadzała ją do szaleństwa, to jednak właśnie ów dziecięcy zapal czynił go tak czarującym. Była to jedna z tych cech, którą Roza lu-

biła w nim najbardziej. Ową bezgraniczną ufność, jaką pokładał w przypadku. Pewność, że wszystko się ułoży, bo dlaczego niby los miałby być wobec niego okrutny...

I o dziwo, szczęście mu wielokrotnie sprzyjało. W sytuacjach, kiedy zdawało się, że jest naprawdę źle, nieoczekiwanie przytrafiały mu się jakieś drobne cuda, i chroniły go przed najgorszym. Już samo to, że odnalazł grotę! Do tej pory nie pokazał jej jeszcze bryłek złota, ale też nie prosiła go o to. Ze względu na niego miała nadzieję, że są cenne i Ole będzie miał jakiś własny majątek. Dumny i ambitny do szpiku kości, nie zniósłby, gdyby wszystko miał zawdzięczać siostrze. Dla niej natomiast było to całkowicie obojętne. Wiedziała, że zdoła utrzymać zarówno jego, jak i dzieci, ale dla Olego byłaby to prawdziwa porażka. Gdyby był zależny od kobiety, czułby się tak, jakby mu skrepowano ręce i nogi.

Roza westchnęła. Przez całą noc rozmyślała, w jaki sposób osiągnąć to, co sobie zamierzyła. Ale nie wszystko poszło po jej myśli, bo Malcolm Hart się pewnym sprawom sprzeciwił. Zanim udała się do The House, zdawała sobie już sprawę, że czekają ją trudne negocjacje i będzie musiała trochę skłamać, co nieco przemilczeć, a także pójść na pewne ustępstwa, by w ogóle wziąć udział w rozgrywce. Potem okaże się, jakie zostaną ustalone reguły tej gry, jakich trzeba przestrzegać, a jakimi z kolei nie warto się przejmować.

Może Seamus poprzez swą śmierć udzielił jej życiowej lekcji? Oparła się czołem o ciepły krowi bok. Zwierzę stało nieruchomo, jakby wyczuwając jej niepewność i obawy...

W końcu opanowała się i powróciła do dojenja. Pociągała rytmicznie wymiona i wsłuchiwała się w dźwięk strużek mleka uderzających o cynkowe wiadro.

Zza pleców doleciało ją chrząknięcie i głos Maxwella.

-Wiem, że nie powinienem był tutaj przychodzić, ale musiałem. Nie gniewaj się na mnie!

- Nie wiedziałam, że wróciliście już z Tana - odparła z pozornym spokojem, mimo że w środku dygotała. Poluzowała uchwyt i odetchnęła głęboko, zmuszając się do zachowania spokoju.

- Wczoraj wieczorem - odpowiedział.

- Połów był udany?

Wielkie nieba! Jak mogę zachowywać się tak idiotycznie!

Rozmawiam z nim tak, jakbym ledwie go znała i odpowiadała mu z uprzejmości. A przecież jesteśmy przyjaciółmi, u licha!

Przynajmniej byliśmy swego czasu, pomyślała.

- Dosyć udany - odparł Maxwell. - Każdy z uczestników złowił przynajmniej po jednym okazie ważącym około trzydzieści funtów. Ale najwięcej było takich po dziesięć, dwadzieścia funtów. Tak, jak nam mówiono, rzeka okazała się wyjątkowo obfita w ryby. Nie doznaliśmy więc zawodu.

Pod tym względem rzeka Aha musiała im przynieść rozczarowanie, przyszło na myśl Rozie. Pomijając to, że Maxwell złowił rybę, która ważyła blisko pięćdziesiąt funtów, co uczyniło zeń prawdziwego bohatera, rzeka Alta nie pozostawi w ich pamięci miłych wspomnień. A wszystko dlatego, że Mattias ośmielił się utonąć na ich oczach.

Roza uświadomiła sobie nagle, że nie wygląda

szukownie, jak by to określiły snobki z Georgii, stanu Ameryki z dwustuletnią historią. Miała na nogach uwalane w gnoju kalosze, a stara bluzka i zniszczona, przyciasna kurtka przesiąkły wonią obory. Wieczór był ciepły, co o tej porze roku zdarzało się dość rzadko. Roza zdjęła więc z głowy chustkę i włosy opadły jej w nieładzie.

Nie wyglądam tak, jak powinna wyglądać kobieta, którą zamierza poślubić Maxwell Hart, pomyślała z goryczą. Trafił jak kulą w płot, zjawiając się tu niespodziewanie. O tej porze nie mam najmniejszej ochoty pokazywać się komukolwiek.

- Cieszę się, że wszyscy są zadowoleni - odezwała się bezbarwnym tonem i podjęła na nowo dojenie.

Max podszedł bliżej i poklepał krowę po grzbiecie. Roza wiedziała, że przywykł do zwierząt. Sam wprawdzie dorastał pośród koni, ale w pofałdowanym krajobrazie Cheshire, na zielonych pastwiskach przy posiadłościach spotykało się wiele dorodnych krów, zdecydowanie różniących się od tych zapamiętanych przez Rozę z małych zagród nad Altafjorden.

-Wolałbym, żebyśmy pozostali tutaj - rzekł Maxwell, nie odrywając oczu od Rozy. - A nie uganiali się kurczowo za... przyjemnościami - dodał pogardliwie i rozłożył ręce.

- A co, nie było przyjemnie? - zapytała. Maxwell pokręcił głową.

- Za kogo ty mnie masz, Rozo? Nie znasz mnie? Roza nie potrafiłaby właściwie udzielić szczerzej odpowiedzi na to pytanie. Tyle lat się nie widzieli, przez ten czas nawet nie wspomniała go w myślach, a wcześniej ich przyjaźń trwała krótko, do tego na-

wiązali ją w okolicznościach, które trójdnio by nazwać zwykłymi.
- Bierzesz mnie za bezmyślnego gogusia, których spotykałaś
pewnie często w Ameryce - rzucił ze smutkiem. - Może
otworzyłybyś wreszcie oczy, a przekonałabyś się wówczas, że
taki nie jestem i nigdy taki nie byłem...

Spojrzała na niego. Wysoki i szczupły prezentował się
nienagannie w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, jedwabnym
fularze, i w spodniach z grubej bawełny dobrego gatunku. Z
pewnością uszyte na jednej z ulic Londynu, gdzie mieli swe
pracownie najlepsi krawcy. Sposób, w jaki stoi, porusza się i
mówi, zdradza, kim jest. Tutejsi ludzie słyszą jedynie, że
posługuje się obcym językiem, Roza wie jednak, że ci, którzy
harują na polach w Cheshire, gdzie przez jakiś czas znalazła dom,
mówią inaczej. Innym też językiem mówią w chatkach z
darniowymi dachami w Irlandii. Słyszała też angielską mowę
niewolników w szałasach na obrzeżach wielkich plantacji w
Georgii. Przypomniało jej się, jak Marlon opowiadał historię
swego życia przy pomocy rytmu po każdym słowie. Słowa i
akcent zdradzają, kim się jest i skąd się pochodzi. Roza z
zamkniętymi oczami rozpoznałaby, skąd pochodzi Maxwell i
kim jest.

-Przychodzisz tutaj do mojej obory ze swymi nienagannymi
manierami - rzekła znużona, uśmiechając się lekko - i już po
kilku słowach wywołujesz we mnie złość. Wściekam się na samą
siebie, że siedzę tu w stroju roboczym. A przecież cóż innego
miałabym mieć na sobie? Doję krowy, do cholery! Przez ciebie
zapominam, gdzie przynależę i skąd pochodzę, Maxwell. Nie
wiem, czy to dobrze.

-Jestem sobą, nie udaję nikogo innego - odparł.

- Namyśliłaś się już? Masz dla mnie odpowiedź?

„Merry Dancer” zacumował we fiordzie już przed trzema dniami i z każdym dniem Rozę coraz mocniej ścisnęło w żołądku. Miała możliwość wyboru. Mogła tu pozostać i być już do końca życia Rallarrozą albo jak młody ptak, nieświadomy, że może runąć na ziemię, rzucić się z gniazda.

Zdecydowała się już dawno.

Maxwell z pewnością to wie.

- Sprzedałam wszystko, co posiadałam - odparła. - Wystarczy ci taka odpowiedź?

-Wydaje mi się - odparł Maxwell Hart - że chciałbym, abyś wypowiedziała to nieco wyraźniej. -Podtrzymujesz swoją propozycję? - zapytała.

- Słucham?

Roza powtórzyła pytanie, spoglądając na jego zdziwioną, niemal rozbawioną twarz.

- Naprawdę sądzisz, że mógłbym się rozmyślić?

- zapytał. - Myślisz, że nie traktowałem poważnie swojej propozycji? Że jestem jakimś fircykiem, jak czasem usiłujesz mi to wmówić?

- A więc podtrzymujesz swoją propozycję? Nabrał głębokiego oddechu i odparł:

- Jaśniej chyba nie mogę się wyrazić. Zapytam cię więc raz jeszcze. Czy zechcesz mnie poślubić, Rozo? Czy uczynisz mi ten honor, by wyjść za mnie, zostać moją żoną i matką moich dzieci, a zarazem moim najlepszym przyjacielem?

Słyszała szczerą w jego słowach i ogarnęło ją współczucie.

Rozumiała, że postępuje niewłaściwie, ale czasem trzeba zmienić reguły gry, tak, by je dopasować dla własnych korzyści. Tak jak ona uczyniła to teraz.

-Tak, chcę wyjść za ciebie, Maxwell - odparła Roza i zajęła się na powrót dojeniem.

Rozdział 8

Myśl o wyjeździe tak długo pozostawała nierzeczywista, że teraz, gdy czuję pod stopami przystań, nadal nie potrafię uwierzyć, że dzieje się to naprawdę, choć od dźwigania podróżnych toreb mam pęcherze na dłoniach.

Maxwell zamierzał posłać wóz po nasze bagaże. Miło, że o tym pomyślał, ale na szczęście Malcolm go powstrzymał. Co to, w Samuelsborg nie ma konia i wozu? Ludzie i tak już swoje myślą, a plotkują jeszcze więcej. Ole sam zawiózł bagaże na przystań. Ciężko mu było pożegnać się z Siwkiem. Nie mogę mu obiecać, że dostanie nowego konia. Nie mogę składać żadnych obietnic. Matti nic się nie odzywa. Kroczy dumnie, nie patrząc na mnie. W tym chłopcu tkwi tyle gniewu, jakby był moim rodzonym synem. Po ojcu odziedziczył jedynie urodę.

Lily, podekscytowana, stąpa na palcach niczym mała tancerka. Nawet nie marudziła, kiedy poprzedniego wieczoru zaplatałam jej włosy przed snem. Uśmiecha się od ucha do ucha zarumieniona. Jest taka pełna oczekiwania, nęci ją przygoda. Może rzeczywiście pamięta to, co przeżyła, zanim jeszcze nauczyła się mówić? To raczej niezwykle, ale na tyle rzeczy nie znajduję wyjaśnienia, jeśli chodzi o to dziecko.

Błękitny żaglowiec „Merry Dancer” zacumował przy samym nabrzeżu, wykorzystując przyplływ. Panująca wciąż w Finnmark jasność pozwalała na podniesienie kotwicy i postawienie żagli pomimo nocnej pory. Jest godzina czwarta, tymczasem na nabrzeżu zgromadziło się sporo gapiów. Dowiedzieli się o naszym wyjeździe i przyszli z ciekawości.

Wolałabym odpływać pod osłoną nocy, gdy mieszkańcy osady śpią twardym snem. Niestety, musimy się przeciskać pomiędzy nimi, czując na sobie ich palące spojrzenia. Gapią się na nas bez skrepowania, jakby chcieli na trwałe odcisnąć w pamięci nasz obraz.

Cieszę się, że to Hans nas tu przywiózł, przynajmniej obeszło się bez zbędnych sentymentów i wylewności. Uścisnął nam dłonie, pogłaskał dzieci po czuprynkach i przykazał, by były grzeczne, a potem ucałował Stellę w oba policzki. Wszyscy zdołaliśmy utrzymać emocje na wodzy. Nie dostarczyliśmy mieszkańcom osady dodatkowego tematu do rozmów na najbliższe dni.

Ole niesie Stellę. Może przynajmniej się zasłonić. Zazdroszczę mu tej możliwości, pilnuję się jednak, by iść prosto, jakbym połknęła kij, z uniesionym dumnie podbródkiem, i patrzeć przed siebie.

Ostatni raz się tak we mnie wpatrują!

Przy relingu stoją dwaj marynarze. Ponieważ poziom wody nie jest zbyt wysoki, nie dało rady spuścić trapu.

Wołam Lily i Mattiego, ale mnie nie słuchają. Matti nawet nie spojrzawszy w moją stronę, rozpędza się i skacze wprost w ramiona marynarzy, którzy są przygotowani i łapią chłopca, wykrzykując

radośnie. Śmiech Lily brzmi perliście i świeżo, niczym poranna rosa.

Mam nadzieję, że wszyscy gapie usłyszeli, jak śmieje się moja córeczka!

Ole przekazuje jednemu z marynarzy Stellę, potem sam wskakuje na pokład i natychmiast odbiera zawiniątko. Nigdy jeszcze nie widziałam, by Ole komukolwiek okazywał tyle troski, co teraz okazuje Stelli. Chciałabym, by był to dla niego początek spełnienia marzeń, jego własnych i tych wobec Stelli, których jeszcze sobie do końca nie uświadamia.

Znam jednego z marynarzy.

- Trow'em bags on board, my Lily o'e Valley! -woła do mnie.

Lily odwraca się na dźwięk swojego imienia. Jest zdziwiona, gdy się przekonuje, że to nie do niej się zwraca marynarz.

Rzucam torby i kładę dłoń na ramieniu marynarza. Pozwalam, by uchwycił mnie w talii i przeniósł na pokład. Marynarz ma roześmianą twarz. Nazywa się Davey i pochodzi z Shannon. Jest gruby, czarnowłosy, o radosnym spojrzeniu. Nikt spośród załogi nie dorównuje mu beczelnymi odzywkami.

- Wybierasz się do Irlandii, by przepędzić stamtąd Anglików? - szepcze konspiracyjnie i śmieje się znacząco, jakbyśmy dzielili jakąś tajemnicę. A potem odtańcowuje ze mną celtycki taniec.

Nie przygrywa nam muzyka, ale żadne z nas nie myli kroku.

Niech się gapią na nas z przystani! Niech gadają! Nic mnie to nie obchodzi.

Davey w końcu wypuszcza mnie z ramion, pyta, czy ta mała, która patrzy na nas największymi oczami, jakie kiedykolwiek widział, to moja córka.

Potwierdzam.

Davey kuca przed Lily, która nie zwykła się niczego lękać i chwyciwszy się pod boki napotyka odważnie spojrzenie marynarza. Nie odczuwa strachu przed potężnym mężczyzną o bujnej czuprynie i krzaczastych brwiach. Po jego uśmiechu poznaje, że to dusza-człowiek.

Nie wiem, po kim ona odziedziczyła tę umiejętność rozpoznawania zmysłami, kim są ludzie Jeszcze nie widziałam, by kiedykolwiek się pomyliła - Oczywiście, że to twoja córka, Rosie! - mówi bo nigdy nie tytułował mnie mrs O'Connor czy madame. - Te oczy poznałbym wszędzie, nawet na końcu świata. Szare jak sadza i popiół. Nie ma wątpliwości, że to córka Seamusa. Tylko że on nie był taki urodziwy - wzdycha i podnosi się ze śmiechem.

Na pokład bowiem wkracza pomiędzy nas zwykłych śmiertelników sam Malcolm Hart. Ubrany w mundur przybrał swoje marsowe spojrzenie jakie zwykle prezentuje na morzu. Zwracając się do Daveya z pozycji kapitana, oznajmia:
- Marynarzu, nikt nie oczekuje od ciebie, byś zabawiał pasażerów.

- Tak jest, kapitanie! - odpowiada Davey, ale mruga do mnie, mimo że Malcolm wciąż na niego patrzy, i pyta, jak mała ma na imię.

- Lily - odpowiadam.

Jego promienny uśmiech przekonuje mnie, że ludzie w Irlandii wciąż pamiętają Seamusa.

- Kim jest ten pan? - pyta Lily. - I dlaczego mi się tak przyglądał? Czemu tańczył z tobą? I dlaczego tak dziwnie mówi?

Chwytam córeczkę za rękę.

- Forgerty - zwraca się Malcolm do Daveya - Wez bagaże pani i zanieś do kajuty O'Connora

Wymieniamy spojrzenia, Irlandczyk i ja, i uśmiechamy się do siebie. Nadal się czuję Irlandką. Mogłabym odnaleźć kajutę bez niczyjej pomocy, ale nie damę tego po sobie poznać. Co mi zależy?

Dziadkowie wyjechali wcześniej. Wprawdzie odbyło się to wbrew woli Lei, ale Roza okazała się nieugięta. Postanowiła, że ich pożegnanie będzie miało charakter prywatny. Mieszkańcy osady nie zasłużyli na to, by się temu przyglądać.

Dlatego też ostatnie chwile spędzili w rodzinnym gronie, pakując resztę dobytku, i wypłakiwali się w objęciach bliskich.

Wieczorem przed wyjazdem zasiedli wspólnie do stołu i przerzucając się nawzajem miłymi wspomnieniami, odkurzali dawne zdarzenia, śmiali się serdecznie, czyniąc z nich klejnoty warte zapamiętania i przechowania w pamięci. Staną się one dziedzictwem przekazywanym kolejnym pokoleniom.

Siedzieli stłoczeni wokół stołu, bo stanowili liczną rodzinę, ale w Samuelsborg nigdy nie rozbrzmiewało tyle śmiechu.

Ole z wielką powagą nakreślił mapę dla Hansa i Edvarda. Bracia wprawdzie spoglądali na niego z lekkim niedowierzaniem, ale przyjęli to, co nazwał zabezpieczeniem. Obejrzeliby dziwne karteczki z nakreślonymi we wszystkich kierunkach liniami, które, jak im się zdawało, nie tworzyły jakiegokolwiek sensownego całości. Ole zaś przyłożył własny kawałek papieru do szyby w alkierzu, tak że podświetliły go promienie, i coś dorysował.

- Pilnujcie tego jak oka w głowie! - poprosił. -A jeśli nastaną ciężkie czasy, przypomnijcie sobie te opowiadane przez ojca okropne historie o zbój-

cach i wędrowcach ze wschodu, którzy przybyli, by kraść i mordować...

Roza pamiętała te opowieści.

Ojciec miał ich w zanadrzu całą garść. Znał je dzięki nielicznym spośród swych znajomych, którzy urodzili się tu, nad fiordem.

Opowieści były związane z różnymi miejscami w okolicy.

Wędrowali do tych miejsc jako dzieci, oglądali je, a ojciec opowiadał. Bohaterami wielu tych historii byli przybyli ze wschodu Czudowie. Roza najbardziej lubiła tę, jak Czudowie z więźnia uczynili przewodnika, a ten w najstraszniejszą zamieć, jaką tu pamiętano, zwabił ich na skraj urwiska, rzucając w przepaść swą pochodnię.

Ole rozłożył mapę i pouczył braci, jak należy ją odczytywać.

- Przecież tu nie ma żadnych nazw - żalił się Hans.

- A po co ci nazwy! - stwierdził Ole. - Potrzebna ci jedynie dobra pamięć. Przecież tam byłeś!

I więcej nic nie zdradził.

- Dasz mi jakieś rady? - zapytała Roza, spoglądając na babcię Leę. Babcia miała zawsze taki spokój w oczach. Roza Zastanawiała się, jak długo babcię dręczyły niepewność i niepokój, póki nie odnalazła w sobie owego spokoju i poczucia bezpieczeństwa.

- To przecież ty widziałaś świat, moja Rozo! - odparła babcia Lea cicho.

- Świat to dokładnie to samo co Kaf jorden czy wyspy, tyle że w innym miejscu - stwierdziła Roza.

- Mam nadzieję że nie, zwłaszcza ze względu na ciebie - odparła Lea po chwili. - Ale może nie o to pytasz.

Roza pragnęła chyba jakiejś wróżby, słów, które pozwoliłyby jej się rozluźnić i przyniosłyby ulgę, ale miała świadomość, że nic takiego nie usłyszy.

- Nie wróżę - oświadczyła Lea. - To, co ma się wydarzyć w twoim życiu, Rozo, to się wydarzy. To samo dotyczy Olego. Ale nie odczuwam lęku o żadne z was. Myślę, że waszym dzieciom też nic nie grozi. - Zaśmiała się, dodając: - Powiedziałabym dokładnie to samo, gdybym była zwyczajną babcią. Po prostu wierzę, że tak będzie.

- Z tobą też nie rozmawiają? - zapytała Roza.

- Nie - odparła spokojnie Lea, ponieważ doświadczyła tego już nie raz. Nie przejmowała się tym. Wiedziała, że taki stan nie potrwa wiecznie, a nie może ich do niczego zmusić. Były bowiem ulotne niczym wiatr. - Już od długiego czasu panuje kompletna cisza - wyjaśniła.

Roza nie spytała, jak długo, domyślała się.

-Nie wspomniałaś, dokąd się udajecie - rzekła Lea. - Chwilami odnoszę wrażenie, że nawet Ole tego nie wie. - Westchnęła i dodała: - I jeszcze ten biedak, ów młody Anglik, którym się bawisz, moja droga. Sparzy się, oj sparzy! Ładnie to z twojej strony?

- Czyż nie czynią tak wszystkie kobiety od zawsze? - zapytała Roza. - Pozwalają mężczyznom się sparzyć. I wcale im nie współczują z tego powodu.

- Wiem, że go wykorzystujesz - powiedziała babcia. - Widzę to na własne oczy. Będzie bardzo cierpieć z twojego powodu.

- Owszem - przyznała Roza, która zdążyła już się oswoić z tą myślą. Nie pierwszy i nie ostatni raz się tak zdarza. Nawet jeśli w drodze najdą ją wyrzuty sumienia, na pewno zdoła je uciszyć. -

Maxwell wywodzi się z wyższych sfer, babciu, a oni zawsze sobie radzą! - zapewniła Roza. - Nie ma powodu, by mu Współczuć.

- Stałaś się taka nieczuła! Twarda. Roza potwierdziła.

-Wciąż jesteś młoda - westchnęła babcia Lea i podniosła własną, urodziwą twarz.

Dochodziła sześćdziesiątki, ale nadal mężczyźni, dla których mogłaby być matką lub babką, odwracali się za nią z zachwytem. Srebrne nitki w brązowych włosach złagodziły rysy jej twarzy, a w oczach pojawił się jakiś nowy blask. W ogóle przez ostatnie lata stała się bardziej wielkoduszna i wyrozumiała.

Roza nie miała pojęcia, skąd w babci taka zmiana, ale nie pytała, a Lea sama o tym nie mówiła.

- Męczy mnie, że gromadzisz w sobie tyle gorzkości, moja Rozo, i sama skazujesz się na samotność. Prychasz na wszystkich, którzy chcą ci pomóc i sama sobie nie pozwalasz na to, by oddać się komuś bez reszty.

- Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz, babciu? -zaśmiała się głucho Roza. - Głównym zmartwieniem ojca było to, że oddawałam się zbyt wielu!

- Nie to miałam na myśli! - odparła Lea bez uśmiechu. - Mówię o takiej ufności wobec drugiego człowieka, która burzy wszelkie mury. O takim związku, jaki łączy mnie i Edvarda.

- Byłam w takim związku - odrzekła Roza i złagodniała na moment, pomyślawszy o Seamusie. Wiedziała, o czym mówi babcia. Znała ową bezgraniczną i zmysłową bliskość, którą próbowała opisać jej Lea. Mogła rzucić się w nicość z otwartymi oczami, a on był przy niej.

-Może znów ci się to przydarzy - powiedziała Lea, a Rozę przeszły ciarki.

Wzdrygnęła się, jakby przeniknął ją chłód śmierci. Nie tęskniła za niczym takim, o czym mówiła Lea.

To, co ją łączyło z Seamusem było właściwe i dobre dla niej i dla niego. Byli sobie przeznaczeni. Nie pragnęła jednak ponownie tej pełni ani radości z miłowania kogoś tak mocno aż do bólu. Nie chciała, by ktoś zajął miejsce Seamusa, sprawił, by o nim zapomniano, by ów ktoś stał się dla niej ważniejszy.

Ich miłość była świętością.

- Będzie mi dobrze - oświadczyła Roza stanowczo. - Ale nie pragnę nowego mężczyzny. Nie chcę wychodzić za mąż. Dość już mężów przewinęło się w moim życiu. Sama widzisz, jak wszyscy skończyli. Nie mam siły znów kogoś stracić i pogrzebać.

Lea знала pragnienia Maxwella. Ów młody Anglik bowiem w tajemnicy opowiedział jej o wszystkim, kiedy go zatrzymała przed Samuelsborg któregoś wieczoru. Młody mężczyzna nie potrafił trzymać się z daleka od Rozy, pomimo upomnień ojca, którym Roza ochoczo przyklasnęła. Jego serce przepełniało uczucie miłości, Lea więc bez trudu nakłoniła go do zwierzeń.

Teraz zrozumiała, że plany Rozy różnią się od planów Maxwella Harta, który przyrzekł Lei z wielką powagą, że zaopiekuje się Rozą i jej dziećmi, a także Olem i jego córką. Żadne z nich nie będzie cierpieć biedy, zapewnił ją młody Hart.

Usłyszawszy, że Roza nie chce po raz kolejny wychodzić za mąż, Lea zachodziła w głowę, po co wnuczka przyjęła oświadczyny Anglika. Nie zapytała jej jednak o to.

- Nie sądzę, abyśmy was tracili - rzekła, zmieniając temat. -
Czuję, że miejsce naszego rodu jest tu, w Norwegii, w Finnmark.
Prędzej czy później znów tutaj połączą się wszystkie ogniwa.

-Ja też tak czuję - odparła Roza.

- Będę za tobą tęsknić - wyznała babcia, licząc się z tym, że może z czasem zapomni głos Rozy, kolor jej włosów, jej ruchy, ale zawsze będzie ją kochać. - A potem, kiedy już odejdę z tego świata, będę zawsze przy. tobie. Będę cię strzec jak jastrząb, moje dziecko!

- Nie mnie! - poprosiła Roza, mając nadzieję, że to tylko takie żarty. - Nie lepiej, byś pilnowała Lily? Wolalabym*, żebyś nie miała wglądu we wszystkie moje tajemnice.

- Niewdzięczna! - uśmiechnęła się Lea i pogłaskała Rozę po głowie, nie będąc w stanie dłużej powstrzymać łez.

Długo trwały w uścisku.

Następnego dnia Edvard i Lea zabrali ze sobą najmłodszych chłopców i odjechali. Pozostał tylko Hans, by przypilnować Samuelsborg do powrotu Edvarda. Najmłodszy brat miał bowiem do załatwienia ważną sprawę dotyczącą pewnej młodej panny. Pozostali zakładali się, czy powróci nad fiord sam, czy nie.

- Może ich już nigdy nie zobaczymy! - rzekł Ole.

- Chyba nie obleciał cię teraz nagle strach? - rzuciła kpiąco Roza.

- Trochę na to za późno, Ole.

Po raz pierwszy w życiu czuł taki lęk, ale nie miał odwagi się przed nią do tego przyznać.

Kajuta była dokładnie taka, jaką ją Roza zapamiętała, tyle że umieszczono w niej więcej koi.

- Kapitan zabrał w zeszłym roku w rejs do Ameryki żonę i dzieci
- wyjaśnił Davey i mrugnął, gdy Roza zauważyła, że koja, na której kiedyś spała, jest przerobiona na szerszą.
- Chcę spać na górze! - Zawołała Lily, kierując się w stronę drabinki w nogach koi.
-Ja też! - sprzeciwił się ze złością Matti. Dogonił dziewczynkę i równocześnie z nią wspiął się na górę. Dzieci popatrzyły na siebie wrogo.
- Na górze śpię ja - oznajmił Ole i postukał w ramę łóżka. - Nie mam zamiaru przyglądać się, jak spadacie, ilekroć statkiem mocniej zakołyszecie podczas sztormu na Morzu Północnym.
- Często tam są sztormy? - zapytała Lily z zaciekawieniem i rozwiązała wstążkę, tak że włosy opadły jej swobodnie.
- Owszem, co do tego nie mam raczej wątpliwości - odparł Ole.
- Phi! - wyrwało się córce Rozy. - Przepłynęłam niemal wszystkie morza na świecie i jakoś nigdy nie spadłam z łóżka.
- To się nazywa koja - poprawił ją Matti. Ale Lily go nie słuchała.
- Nie wypadłaś z koi, ponieważ leżałaś w koszu do bielizny, który stał na poszyciu przykręcony śrubą.
-Poszycie to podłoga - wyjaśnił Matti, który przyswoił sobie trochę terminów żeglarskich od wujka Hansa.
-Wiem! - prychnęła Lily, choć naprawdę nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Wydawało jej się dziwne, dlaczego podłoga na jmorzu nazywa się inaczej niż podłoga na łodzi, ale uznała, że wszystko zrozumie, jak trochę pobędzie na tym dużym statku.

- Płynęliśmy w tym samym pokoju? - zapytała. -W kajucie - poprawił ją znowu Matti.

- Możemy zobaczyć? - zapytała, kiedy Roza przytaknęła, stojąc na środku ciasnej kajuty.

- Nie sędzę.

- Gdzie to było? - marudziła Lily, a Roza pokazała narożnik, w którym stał kosz umieszczony w prostej ramie przytwierdzonej do podłogi.

Lily położyła się na brzuchu i zmrużywszy oczy, opuszkami palców powiodła po polakierowanych deskach. Roza zauważyła, że deski są ciemniejsze, zostały pokryte kolejną warstwą lakieru. Słyszała, że Malcolm Hart dbał o to, by konserwować swoje statki raz do roku.

-Znalazłam! - zawoła Lily. - Tutaj! Znalazłam.

- Oszukujesz! - rzucił Matti, ale on także zszedł na dół i położył się obok Lily, by sprawdzić.

Po chwili razem liczyli ślady po śrubach. Roza oświadczyła jednak, że nie zamierza pełzać po podłodze, by się przekonać, czy Lily ma rację.

- A dlaczego nie spałam w łóżku razem z tobą, mamó? - zapytała Lily, otrzepawszy sukienkę, choć nie znać było na niej wcale kurzu. Roza usiadła i położyła Stellę przy grodzi na szerokiej koi, którą wybrała dla siebie. Podniosła wzrok na córkę, czując, że się oblewa rumieńcem.

- Wtedy koja była dużo węższa - wyjaśniła pośpiesznie. - Bałam się, że cię zgniotę, gdy zaczniesz kołysać. Atlantyk to potężny ocean i fale bywają bardzo wysokie.

Córeczka zaakceptowała odpowiedź.

Roza tymczasem przypomniała sobie, że ową wąską koję dzieliła razem z Joe. Modliła się w duchu, by Lily przypadkiem nie zachowała tego w pa-

mięci. Roza myślała bowiem o tym ze wstydem. Była jednak wówczas tak przeraźliwie samotna, a Joe tak bardzo przypominał jej Seamusa.

Teraz wzdrygała się na myśl o tym, ale wtedy Joe przybliżył ją do zmarłego męża. Rozpacz po jego stracie czyniła ją całkowicie bezbronną, jakby pozbawioną warstwy ochronnej. Joe przywrócił ją jej ludzkiej postaci.

Wrócił Davey z kolejną porcją bagaży. Tym razem przyniósł kołyskę, która zawsze stała w Samuelsborg, a teraz miała towarzyszyć Stelli w wyprawie w świat.

- Można by podłożyć kliny i przymocować kołyskę do podłogi - zaproponował Davey. - Pamiętam kosz - dodaj z błyskiem w oku.

Roza zrozumiała, że marynarz pamięta znacznie więcej szczegółów niż kosz, ale nie stracił przez to do niej szacunku. Nadal bardzo ją poważał. Dla niego pozostała wybranką Seamusa O'Connora, a Davey For-gerty jest przecież Irlandczykiem.

- Byłoby miło, gdybyś tak uczynił - rzekła.

- Dla ciebie zrobię wszystko - odparł.

Ole uważnie przysłuchiwał się rozmowie, której nie rozumiał.

Już na pokładzie zwrócił uwagę, z jakim szacunkiem ten ciemnowłosy marynarz odnosi się do Rozy. Odniósł wrażenie, że znają się od dawna.

- To twój znajomy? - zapytał Ole.

-Mówisz o Daveyu? - zdziwiła się Roza, unosząc brew. - Od zawsze chyba jest marynarzem na „Merry Dancer”.

- A ty już płynęłaś kiedyś tym statkiem?

- Oczywiście - odparła.

- W tej kajucie?

Pokiwała głową, nie pojmując, jak to się stało, że brat nie słyszał tego, co opowiadała dzieciom.

-To jest kajuta O'Connora - wyjaśniła. - Kajuta Seamusa.

- Ojca Lily? - Dlaczego?

- Był współwłaścicielem tego statku wraz z Malcolmem Hartem.

-Dlatego ten marynarz jest taki miły, ilekroć nań spojrzysz? - zapytał Ole, myśląc o najgorszym.

- Nie - odparła, udając, że się nie domyśla, co podejrzewa Ole. - Davey mnie lubi. Gdy był w więzieniu, Seamus opiekował się jego żoną i dziećmi.

- Był w więzieniu?

Roza wbiła swe niebieskie oczy w Olego i wyjaśniła:

-Jeśli ktoś w Irlandii siedział w więzieniu, Ole, to możesz być niemal całkowicie pewien, że to dobry człowiek. Davey jest bardzo dobrym człowiekiem. Pracę na statku dostał dzięki Seamusowi, ale na pewno jest świetnym marynarzem, skoro Malcolm Hart go zatrzymał wśród załogi, której jest kapitanem. Ole prychnął. Jakoś nie był bardziej przekonany do Irlandczyka, po tym co usłyszał. W każdym razie postanowił go mieć na oku.

- Czy cała załoga będzie cię traktować jak królową? - zapytał ostro.

-Nie, tylko Davey. On wierzy w to samo, co wierzył Seamus.

- A w co? - zapytała Lily.

Roza przypomniała sobie, że lepiej nie wiedzieć za dużo, bo to niebezpieczne. Zwichrzyła więc czu-prynkę córeczki i uśmiechnęła się ciepło, mówiąc:

- Davey wierzy w elfy.

- Mój tata też w nie wierzył? Roza przytaknęła.
- W takim razie ja też wierzę! - oświadczyła Lily z przekonaniem.

Rozdział 9

Dzieci towarzyszyły Rozie podczas rejsu statkiem już wcześniej, nigdy jednak takie w wieku Lily i Mattiego. Dopiero teraz, w ciasnocie kajuty, słuchając nieustannych kłótni Mattiego i Lily, uświadomiła sobie, że statek stanowi zamknięty, ograniczony świat. Dzieciaki bez przerwy tłukły się między sobą i bała się, że któregoś dnia powyrywają sobie włosy z głów.

Z Dannym i Tommym było inaczej, ponieważ szybko włączyli się do prac na pokładzie. Załoga przyjęła młodzieńców jak swoich. Dorastając na południowym wybrzeżu Irlandii, pośród skalistych wysepek, synowie Molly od dzieciństwa obcowali z morzem i pływali na łodziach. Poniekąd odpracowali swą podróż przez Atlantyk.

Tym razem sytuacja była inna. Zrozumiawszy to, Roza straciła odwagę. Zwłaszcza, że wiedziała, iż dla jej rodziny rejs nie skończy się po dopłynięciu do Anglii.

Marynarze przyglądali jej się z niechęcią, bo na temat obecności kobiet na pokładzie krążyły przesady. Nawet kobieta z dziećmi nie nastrojała ich

przyjaźniej. Jej twarz zaś dodatkowo odstraszała. Wielu członków dawnej załogi wymustrowało się z okrętu, a na ich miejsce pojawili się nowi. I choć niektórzy wiedzieli, kim jest, to niekoniecznie działało to na jej korzyść.

Poza Daveyem w załodze pozostało jeszcze trzech Irlandczyków. Oficerami byli Anglicy. Ci, którzy nadal traktowali Seamusa jako wielkiego irlandzkiego bohatera pozostawali w wyraźnej mniejszości. Reszta, która o nim słyszała, nazywała go nie inaczej jak wszawym, irlandzkim łajdakiem, przeklętym buntownikiem lub agitatorek czy mordercą.

Roza słyszała to za plecami, ale wiedziała, że nikt nie ośmieli się jej otwarcie zaatakować, skoro nie jest zwykłym pasażerem tylko gościem Harta. Ale nie ufała wszystkim, dlatego też ani przez chwilę nie opuszczał jej lęk o dzieci. Tylko kiedy miała je przy sobie w kajucie, uspokajała się. Póki je miała na oku, nic złego nie mogło się im stać. Dlatego znosiła cierpliwie nawet ich bójki. Niełatwo było jednak utrzymać małe łobuziaki w dobrych humorach, nie pozwalając im biegać po pokładzie wśród marynarzy.

Dla Lily i Mattiego wszystko na statku było nowe i ciekawe. Nie docierało do nich, że morze bywa niebezpieczne. Przywykli do swobody. Trudno im było wytłumaczyć, że najbezpieczniejsi są w kajucie, bo akurat to pomieszczenie wydawało im się najnudniej sze.

Za to Stella była prawdziwym aniołkiem. Dobrze się czuła w tym przytulnym świecie, gdzie przyjemnie kołysało, gdzie przez cały czas słyszała odgłosy rozmów, gdzie zawsze blisko był ktoś, kto

miał ochotę ją przytulić i bawić się z nią, przemawiać do niej pieszczotliwie i bujać. Znalazła się w samym centrum zainteresowania i nie ulegało wątpliwości, że jej się to bardzo podoba, bo częściej gaworzyła niż płakała. Tak, Stella była ich słoneczkiem pod pokładem.

Ole za dnia pobierał lekcje angielskiego u Maxwella. Z początku chciał, by uczyła go Roza, ale wyjaśniła mu wyczerpująco, że to niemożliwe. Ją też z początku uczył Maxwell, ale potem przyswoiła sobie obcą mowę, ponieważ zmusiła ją do tego sytuacja.

Codziennie ze swej szerokiej koi obserwowała, jak brat zмага się ze słowami, których pisownia różni się od wymowy, a które na domiar złego, były dlań kompletnie niezrozumiałe. Pisał i kłął, ale wymawiał słowa i zdania coraz lepiej, powtarzając je po Maxwellu. Tyle, że niewiele z tego rozumiał. Nie zapamiętywał tyle, ile oczekiwał od niego Max, więc bez przerwy sprzeczali się i denerwowali na siebie.

Roza zaś przysłuchując się z boku, odświeżała znajomość języka. Przypominała sobie to, co jej umknęło, lub dopiero teraz pojmowała coś, nad czym wcześniej nawet się nie zastanawiała. Jednak nie uświadamiała ani Maxowi, ani Olemu, że i ona jest w pewnym sensie uczniem. Zachowywała odpowiedni dystans.

- Lepiej, gdyby mnie uczyła Roza!

- Roza nie mówi po angielsku! - uśmiechnął się Maxwell, drocząc się z nią spojrzeniem.

Nie mógł się na nią wprost napatrzeć, co wprawiało ją w coraz większe zakłopotanie. Niewiele

brakowało, by przestała panować nad sobą. Dość łatwo zmieniała się z anioła w prawdziwą furję. Na „Merry Dancer” zaczynała się dusić. Łaknęła przestrzeni, jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby pobyć w samotności. Potrzebowała jej bardziej niż ktokolwiek inny, kogo znała. Twarz jej tężała, jeśli brakowało jej chwil wyłącznie dla siebie. Od wielu dni przebywali już na morzu, marzyła więc, by poczuć stały grunt pod stopami i mieć sposobność odwrócić się do wszystkich plecami.

-Jak to nie mówi? Przecież słyszę, jak rozmawia ze wszystkimi na statku - upierał się Ole. - Marynarze jej odpowiadają, więc chyba ją rozumieją...

-Roza mówi tak, jak rozmawia się w Irlandii -wyjaśnił Maxwell i rozchylił usta w uśmiechu. Miał nadzieję, że zauważyła w tym uśmiechu czułość zaprawioną melancholią.

Powinien rozmówić się z nią, zanim dopłyną do portu. Nikomu z nich nie służy przeciąganie tej niejasnej sytuacji. Musi wiedzieć, na czym stoi, do czego może się odnieść.

- Gdyby ona była twoją nauczycielką, Ole, to porządni Anglicy sądziliby, że jesteś rybakiem z Galway!

- Ole nie rozumie, co złego jest w rybakach z Galway! - Roza uśmiechnęła się słodko do Maxwella, wypowiadając te słowa z charakterystycznym irlandzkim akcentem.

Pozwolił sobie na uśmiech, mimo że go zraniła do żywego. Ile jeszcze ma znosić? Może zgodzić się, by posypała mu rany solą? Uśmiech mu zbladł, ale zaraz pomyślał, że Rozie jest teraz jeszcze ciężiej. Przez parę lat żyła wszak w dostatku, choć z drugiej, strony wcześniej cierpiała też biedę. Max wo-

łał nie roztrząsać tego, jakie prowadziła życie. Wiedział jednak, że robiła takie rzeczy, na myśl o których oblewał się rumieńcem, choć nie ze wszystkiego zdawał sobie do końca sprawę.

Wydawało mu się, że jego propozycja stanowi dla niej prawdziwe błogosławieństwo, które spada na nią jak z nieba.

Powinna więc może złożyć ręce i podziękować Opatrzności, a nie traktować go w taki sposób. Nie zasługuje na to!

-Dlaczego to robisz? - spytał Max z angielską sztywnością, ale w jego głosie przebijała bezradna rozpacz. - Czemu bez przerwy skaczesz mi do gardła, Rozo?

- Co się z wami dzieje? - dopytywał się Ole zrezygnowany, wykorzystując świeżo opanowane zwroty angielskie.

Oboje go zrozumieli, żadne jednak nie miało ochoty odpowiadać.

Roza, uchwyciwszy wzrok Maxwella, odparła przeciągle, naśladowując akcent mieszkanek przedmieść Kinsale:

- Może z nudów? Och, Maxwell, Maxwell - dodała z westchnieniem i pokręciła głową, tak że jej miedziane włosy załśniły. - Nikt ci nie mówił, że kiedy się nudzę, staję się nie do zniesienia? Myślałam, dear, że wiesz, iż ja, dzikuska z gór, zamknięta w klatce staję się groźna i niszczę co popadnie.

- W takim razie staraj się pomyśleć o przyszłości - poprosił, siląc się na zabawny ton. Próbował udawać beztroskiego i nieustraszonego, kogoś takiego jak Seamus.

- Teraz akurat nie mam siły myśleć o przyszłości - odparła Roza, spoglądając na czubki swych butów.

Maxwell nie zważając na dzieci i Olego, odszedł

od stołu przymocowanego przy jednej z grodzi, gdzie nie stały koje, ukląkł przed Rozą i chwycił ją za ręce. Nadal się dziwił, że są takie drobne, zwłaszcza że przekonał się nieraz, iż skrywają dużą siłę. Roza poczuła bijące od niego ciepło. Marzła od pierwszego dnia, gdy znaleźli się na statku. Na otwartym morzu chmurzyło się i wiał silny wiatr, nie ciągnęło jej więc nawet, by wyjść na górny pokład. Dbała mimo to, by codziennie, niezależnie od pogody, zaczerpnąć świeżego powietrza. Ale nawet w kajucie było jej zimno.

I choć Maxwell próbował ją rozgrzać, rozcierał jej dłonie i okrywał je pocałunkami, ona wciąż marzła.

- Nie rozumiem cię, Rozo - oświadczył Maxwell i popatrzył zmęczonym wzrokiem. - Chowasz się przede mną, wycofujesz się w głąb siebie. Nic nie mogę zrobić, by cię wyciągnąć z tej skorupy, z głębi, w której wybrałaś sobie kryjówkę.

Słuchała go, choć właściwie nie miała na to ochoty. Pragnęła, by umilkł. Wolałaby, żeby sobie poszedł i zostawił ją w spokoju.

Nie powinien tracić na nią tyle czasu. Lepiej mu będzie bez niej. Maxwell pochylił głowę, po czym znów podniósł na nią błagalny wzrok.

- Czy coś by pomogło, gdybym zaczął cię błagać? - zapytał.

Powiedział to asekuracyjnym tonem, by łatwo się dało obrócić w żart jego słowa i skryć prawdziwe uczucia. Nie usłyszawszy odpowiedzi, tak właśnie uczynił. Na jego szczupłej, kanciastej twarzy, pięknej, a zarazem brzydkiej, przemknął blady uśmiech.

-Właściwie nie wierzyłem, że mi odpowiesz

rzekł i przykucnął, bo od klęczenia ścierpła mu noga. Nie mogąc oderwać wzroku od Rozy, dodał: -Ale czy ci się to podoba, czy nie, jesteś obecna w moim życiu, tak samo jak ja w twoim. I to się nie zmieni...

- To wszystko przez ten statek - tłumaczyła się Roza. - Nie czuję się dobrze na morzu. Ogarnia mnie lęk, gdy nie widzę lądu.

Kiedy dopłyniemy do portu, wszystko się zmieni - zapewniała.

Kiepska to była wymówka, ale na więcej nie potrafiła się zdobyć.

Mijała się z prawdą, ale on przecież nie wie, że Roza kłamie.

U boku Seamusa to, co nieznanne, wabiło i kusiło. Kiedy razem płynęli przez ocean, miotało nią tyle emocji: złość, bezgraniczne szczęście, pogarda i nienawiść. Cierpiała wraz z niewolnikami, była wzburzona i zła z tego powodu, że Seamus przyczynia się do traktowania ludzi w taki sposób. Podczas tamtego rejsu doznała niezliczonej liczby odczuć, nigdy jednak strachu. I choć nie przepadała za morzem, to jednak się go nie bała.

- Wierzysz w to chociaż? - zapytał.

- Nie mówmy o tym teraz! - poprosiła Roza, zerkając z rozpaczą nad jego ramieniem. W oczach brata dostrzegła nieme zdumienie, Lily zacisnęła buzię, zła, że nic nie rozumie, a przez jej twarzyczkę przemknął lęk. Maxwell przecież zazwyczaj nie zachowywał się w ten sposób.

- Nie tutaj - poprosiła.

Maxwell wciąż nie zwalniając uścisku dłoni, zapytał:

-Kiedy wreszcie potraktujesz mnie poważnie? Kiedy zamierzasz być wobec mnie szczerą, Rozo?

- Nie chcę mówić o tym tutaj - odszepnęła stanowczo. - Dzieci się niepokoją.

- W takim razie pójdźmy do mojej kajuty i tam sobie spokojnie porozmawiamy - oświadczył Maxwell równie nieugięty. Wstał i cofnął się, nie wypuszczając z rąk dłoni Rozy. Chcąc, nie chcąc, musiała pójść za nim.

- O co chodzi? - zapytał Ole, kierując się ku drzwiom. Roza jednak mrugnęła do niego ostrzegawczo, dając mu do zrozumienia, by zachowywał się normalnie ze względu na dzieci. Brat popatrzył z powątpiewaniem, ale ich przepuścił.

Maxwell posadził Rozę na jedyne krzesło, jakie stało w jego kajucie. Skórzane i miękkie, zrobione było z ciemnego drewna, podobnie jak przytwierdzony do ściany stół z opuszczanym blatem. W kajucie było ciasno, a gdy znajdowały się w niej dwie osoby, zdawało się, że panuje tłok.

- Maxwell odpiął kamizelkę i oparł się o drzwi, krzyżując ręce na piersi. Roza miała wrażenie, że odciął jej drogę wyjścia i odgrodził ją murem od świata.

- Co ze mną?

- O co ci chodzi? - spytała, zaczesując za prawe ucho niesforny kosmyk. Zadrapawszy wrażliwą skórę, nagle jakby się ocknęła. W pierwszej chwili sądziła, że Maxwell dopytuje się o coś innego, ale szybko zrozumiała, że tak nie jest.

- Kiedy raczysz mi okazać nieco zaufania i szacunku? Zamierzasz w ogóle być wobec mnie szczerą czy uważasz, że to niekonieczne?

- Nie wiem, o czym mówisz, Max.

- Nie obrażaj nas obojga - poprosił. - Mógłbym

zapytać ojca, ale z jego strony nie spodziewam się szczerości. Jeśli zaś chodzi o ciebie, to przeciwnie. Zawsze miałem cię za osobę prawdomówną. I szczerze mówiąc, uważam, że nie zasługuję na to, by mnie okłamywać. Od dawna się przyjaźnimy. Poprosiłem cię, Rozo, o rękę, ale do niczego nie zmuszałem. Nie prosiłem o twą miłość, ale liczyłem na przyjaźń i szacunek. Przerwał.

Roza milczała, przysłuchując się mu z uwagą. Maxwell był jej jedyną kartą przetargową wobec Malcolma Harta. Nikt nie rozgrywa partii tylko jedną kartą, dlatego postarała się, by Maxwell stał się częścią tej gry.

Taka była konieczność.

Zdawała sobie sprawę, że w starciu z adwokatami Malcolma Harta nie ma szans, ale dzięki temu, że jego syn się w niej zakochał, ma nad nim przewagę.

Rozłożył ręce zmęczonym, zrezygnowanym gestem.

-W tym wszystkim, Rozo, nie chodzi o nas, prawda? Nigdy nie chodziło?

- Nie - odpowiedziała sztywnymi wargami.

Nazajutrz mieli przybić do portu w Liverpool. Kiedy znajdą się w Anglii, Malcolm już ich nie będzie mógł odesłać z powrotem.

Zresztą mało prawdopodobne, by chciał to zrobić.

Można więc uznać, że pierwszy etap ma już za sobą. Oczywiście, to jeszcze nie połowa drogi, ale póki co nie wydała ani grosza ze swych oszczędności. Teraz nawet jeśli jej przyjdzie samej opłacić dalszą podróż, to sobie poradzi.

Ale może nie będzie musiała?

- O co chodzi? - zapytał, odwracając wzrok. Udawał chłód, ale Roza wiedziała, że to tylko pozory. Zraniła go, potwierdzając to, co wydaje się być przesądzone, chciał więc jej odpłacić pięknym za nadobne. A tak jej ufał, do diabła!

- Chodzi o mnie - odparła Roza, wysuwając podbródek. Nie znał nikogo równie wspaniałomyślnego jak ona. Bez wahania używała tego, co miała, czasem więcej niż ktokolwiek by śmiał oczekiwać. Troszczyła się o wszystkich, nawet własnym kosztem, jakby czerpała ze studni bez dna. Nie było w niej krzty egoizmu.

Maxwell pamiętał, że pragnął, by się zmieniła i nie była taka szczodra. Zwłaszcza domyśliwszy się, co łączy ją i Davida, modlił się w bezsenne noce, by nauczyła się odmawiać i nie godziła się na wszystko. Pragnął, by Roza zaczęła przede wszystkim myśleć o sobie.

I teraz właśnie tak się stało.

O ironio, jej odmowa trafiła na niego, choć zawsze pragnął jedynie jej dobra.

-Jaką korzyść będzie miał z tego mój ojciec? -zapytał z napięciem, zachowując na koniec to, co intrygowało go najbardziej: co ona zamierza ugrać dla siebie.

- Pewność - odparła Roza, zdumiona własnym opanowaniem w sytuacji, gdy Maxwell przyparł ją do muru.

Nie czuł do niej nienawiści. Był z natury zbyt dobry. Roza zresztą też nie potrafiłaby go zranić, mimo że zrazu tak planowała.

Zwłaszcza teraz, gdy patrzyła na jego zmarszczone czoło i minę porzuconego szczeniaka.

- Twój ojciec nie życzy sobie mnie w rodzinie -wyjaśniła.

- Aha! - odparł Maxwell i zaśmiał się bez radości. - To jedna z większych niespodzianek w moim życiu! Jakoś nie zapomniałem je^o reakcji na wiadomość o mych oświadczeniach! Obojgu nam wprawdzie gorąco gratulował, ale tak naprawdę, myślał inaczej...

-Proszę, nie rób tego przeciwko nam - poprosiła go Roza.

-Ja? - spytał z goryczą. Podeszedł do niej, oparł się o stół i patrząc jej prosto w oczy, zapytał:

- Ty mnie o to prosisz? -Tak.

- Bo oczywiście nie miałaś najmniejszego zamiaru nikogo zranić, darling? - A zwłaszcza mnie, my dear? - zapytał szyderczo, pochylając się nad nią lekko.

- To było konieczne.

-W swoich planach nie uwzględniałaś ślubu ze mną, prawda?

- Myślałam o tym...

- Oszczędź mi kłamstw! - poprosił, przerywając jej wywód. - Nie zamierzałaś mnie poślubić, Roza. Właśnie dlatego odwiedziłaś mojego ojca i mu o nas powiedziałaś. To jedyne wytłumaczenie. Prawdziwa odpowiedź brzmiała: „Nie”, ale wiedząc, że Maxwell by jej nie uwierzył, Roza odpowiedziała mu tak, jak się spodziewał, jedynymi słowami, które brzmiały w jego uszach wiarygodnie:

- Owszem, właśnie z tego powodu odwiedziłam twojego ojca. Nigdy nie zamierzałam wyjść za ciebie za mąż. Maxwella ogarnął gniew. Zacisnął dłonie na kra-

wędzi stołu z taką siłą, że zatrzęsł się blat, a jego zabolowały ramiona.

- Nie mogłaś mi tego powiedzieć wprost? - zapytał z zastygłą twarzą.

Nie rozplakała się, ani nie rzuciła ku niemu, błagając o zrozumienie. W jej wzroku dostrzegł jedynie chłodną kalkulację, gdy odważnie utkwiała w nim swe błękitne oczy.

- Myślałam o tym - odpowiedziała. - Ale uznałam ostatecznie, że to tylko zaszkodzi nam obojgu. Przypuszczałam też, że będziesz miał na tę sprawę inne spojrzenie. Dlatego poszłam do twojego ojca.

- Brzmi niemal szlachetnie - zaśmiał się Maxwell.

- Nie, to nie było szlachetne - przyznała Roza. - Myślałam tylko o sobie i swoich najbliższych.

- Dlaczego?

- Nie chciałam zostać w Kâfjorden - odpowiedziała wprost. - Ale też nie chciałam unieszczęśliwić nas oboje, poślubiając cię jedynie dla osiągnięcia tego celu.

- Zamiast tego uczyniłaś nieszczęśliwym tylko mnie. Z punktu widzenia ekonomii, można by stwierdzić, że ograniczyłaś straty do połowy. Jesteś bardzo skuteczna, Rozo, trzeba przyznać. Nie musiałaś się przecież zgadzać na to małżeństwo!

Uśmiechnęła się zmęczona i odparła, kręcąc głową:

- Potrzebowałam ciebie.

- Potrzebowałaś mnie? - wyrwało mu się. - Do czego?

Nie odpowiedziała.

- Jaką umowę zawarłaś z moim ojcem, Rozo? - dopytywał się Maxwell.

- Razem z rodziną będę mogła popłynąć, dokąd zechcę, na jednym ze statków twego ojca.

-Za to, że mnie nie poślubisz? - zdumiał się Maxwell i popatrzył na Rozę, jakby spadł z nieba.

Roza przytaknęła i pobladła gwałtownie, a na noszącym ślady poparzenia policzku odznaczały się wyraźniej błękitne żyłki.

Maxwellowi jednak wciąż coś się nie zgadzało.

To nazbyt proste, myślał. Znał ojca na tyle, by wiedzieć, że odrzuciłby taką propozycję, nawet chwili nie poświęcając, by ją rozważyć. Nagle zaświtała mu pewna myśli, i mrużąc oczy, odezwał się z wahaniem:

- Zdaje się, że to jeszcze nie wszystko... Zauważył, jak Rozie drżą policzki i pulsuje tętnica na szyi. Jej wzrok nabrał czujności.

-Nikt, nawet sam diabeł, nie zmusiłby mojego ojca do zawarcia takiej umowy, a co dopiero ty, Rozo. Co jeszcze masz na niego? - zapytał Maxwell, który potrafił być równie cięty i stanowczy jak jego ojciec.

- Zachowałam dokumenty poświadczające udział Seamusa w obecnej flocie twojego ojca - odparła w końcu Roza, uległszy jego perswazji.

- A, to co innego! - Maxwell wybuchnął śmiechem. Roza siedziała nieruchomo naprzeciwko niego, czekając, aż się uspokoi i otrze łzy z oczu, a potem uświadomi sobie znaczenie informacji, którą mu przekazała.

- Pewnie dlatego tak trudno było go namówić, by popłynął na połowy do nieskażonej cywilizacją Północy - rzucił Maxwell, nie przestając się śmiać. Choć w tym śmiechu pobrzmiwało rozgoryczenie, nie potrafił się jednak powstrzymać. Wydobywał

się z niego niczym szlam u ujścia rzeki po stopnieniu śniegów. Albo jak kloaka w rynsztokach najbiedniejszych dzielnic Londynu.

- Czyli, że zapędziłaś w kozi róg samego Malcolma Harta, moja droga Rozo - rzucił z lekkim podziwem w głosie. - Tego, który nawet zasypiając, myśli o interesach! Zagroziłaś, że zażadasz, co ci się należy z tego, a co on uznał szybko za swą własność.

- Tak - odparła Roza.

-Wydaje mi się dziwne, że ojciec nie wybrał innej drogi, by cię uciszyć. Na przykład nie udusił własnymi rękoma Lily - stwierdził Maxwell. - Bo tak naprawdę to ona stanowi dla niego zagrożenie, nie ty. To ona jest dzieckiem Seamusa, dziedziczką zmarłego irlandzkiego partnera mego ojca. Warta tyle złota, ile sama waży. Zastanawiam się, czy ojciec rozważał taką możliwość.

-Aż tak złym człowiekiem nie jest - zaprotestowała ostro Roza. Oboje zdziwili się, że broni Malcolma Harta, skoro dzieli ich tyle konfliktów, a nie łączy nawet cień sympatii.

- Nie jest zły i potrafi być sprawiedliwy - dodała Roza.

-A więc kupiłaś sobie podróż do dowolnego miejsca na świecie, płacąc za to bogatym mężem i połową floty - stwierdził zdumiony Maxwell. -Nie mogę powiedzieć nic innego, jak tylko to, że zrobiłaś kiepski interes, Rozo Samuelsdatter. -Uśmiechnął się lekko i przestał zaciskać kant stołu. - Ale jeszcze nie zapłaciłaś w żaden sposób - odezwał się z wahaniem.

Uniosła brwi.

- Wiem przynajmniej tyle, że nie zdążyłaś jeszcze poślubić nikogo innego - dodał. - Tak więc, wciąż mam szansę, prawda? Roza pokręciła głową.

- Sądzę, że popełniasz błąd - rzekł Maxwell Hart.

- Nie wyjdę za ciebie - odparła Roza stanowczo.

- Tak sądzisz?

- Twój ojciec nigdy by na to nie pozwolił.

Maxwell popatrzył na nią płomiennym wzrokiem. Wyglądał jak niebezpieczny, mroczny książę, wojownik sprzed wieków, z czasów, które przetrwały w ludzkiej pamięci jedynie dzięki sagom i baśniom. Ktoś opowiadał jej o takim księciu, kiedy przekraczała Morze Północne, sądząc, że płynie do Walii.

- Może nie potrzebuję jego zgody?

- Potrzebujesz mojej - odpowiedziała. - A to w ogóle nie wchodzi w rachubę.

-Możesz pojechać na koniec świata, Rozo... -rzekł Maxwell Hart z powagą -... a przybędę za tobą i się z tobą ożenię. Przyrzekam ci to!

Rozdział 10

Roza nie wyjawiała Olemu, o czym rozmawiała z Maxwellem, mimo że brat się dopytywał. Tym bardziej nie miała zamiaru zdradzać Malcolmowi, co zaszło między nią a jego synem.

Niby z jakiego powodu miałyby to uczynić?

To, co sobie wyjaśnili, pozostanie między nią

a Maxwellem, o ile oczywiście on sam nie wspomni o tym ojcu. Poza tym zrządzeniem losu inne sprawy wysunęły się na pierwszy plan, tak że na jakiś czas porzucili rozmowy o małżeństwie.

- Po co tu przyplłynął? - zapytała Roza z naciskiem, jakby chciała wymusić odpowiedź.

Pytanie zadane z pozoru Maxwellowi, tak naprawdę skierowane było do stojącego na mostku Malcolma. Roza wbijała w niego wzrok, ilekroć odrywała piśszczotliwe spojrzenie od pofałdowanego, zielonego krajobrazu, który ciągnął się po obu stronach statku, a który napełniał ją osobliwym i groźnym poczuciem, że oto wróciła do domu.

- Chyba wybraliśmy okreźną drogę - dodała, nabrawszy głębokiego oddechu. - Ciekawe, co sprowadza nas do Derry? Maxwell wzruszył ramionami. Skoro Roza unika go wzrokiem, on też nie zamierza na nią patrzeć. Oboje mogą prowadzić tę grę. Po rozmowie, jaką odbyli poprzedniego dnia, kiedy zdemaskował jej prawdziwe zamiary, nadal utrzymywało się między nimi napięcie.

Roza udawała, że nic się nie stało, ale i tak wszyscy zauważyli, że coś ją męczy. Nawet ojciec zapytał Maxwella, co takiego zrobił swojej przyszłej małżonce, że tak nagle przestało jej się podobać na statku. Maxwell z trudem się powstrzymał, by nie wyrzucić ojcu obłudy. Zachowanie milczenia wiele go kosztowało i nie miał pojęcia, ile jeszcze jest w stanie znieść.

- Nie pytałabym, gdybyśmy zawinęli do Belfastu

czy Dublina - ciągnęła Roza. - Ale Deny to zupełnie nie po drodze.

Maxwell przyznał jej w duchu rację, na głos zaś rzucił krótko:

- Dlaczego nie zapytasz mojego ojca, po co wpływa do zatoki Foyle, do Londonderry?

Kładąc nacisk na angielską nazwę irlandzkiego miasta, które ona nazywała Derry, podkreślił swe pochodzenie.

-Jak się domyślam, chętnie dzielisz z mym ojcem różne tajemnice - dodał z pozoru lekko. - Może więc tobie uchyli rąbka także tej tajemnicy, Rozo? Z pewnością chodzi o interesy, a ty przecież jesteś jedną z jego partnerek w interesach...

Roza nie chciała, by popsuły się relacje między nią a Maxwellem. Pragnęła jak najdłużej zachować jego przyjaźń. Nie miała ochoty ani na dystans, ani na chłód, cóż jednak mogła uczynić w takiej sytuacji. Co się stało, to się nie odstanie. Do końca pozostała w zgodzie z własnym sumieniem. Odpowiedziała mu szczerze na pytania, choć przecież mogłaby skłamać, by nie psuć miłych stosunków. Teraz, już po fakcie zastanawiała się, czy tego nie żałuje. Tak czy inaczej, jest już za późno, by cokolwiek zmienić. Nie zamierzała więc sobie dłużej zaprzętać tym głowy.

-Widujesz swojego ojca częściej niż ja.

- Prowadzi interesy z przedsiębiornią w Londonderry - wyjaśnił Maxwell krótko. - Ma tu biuro frachtowe. Przypuszczam, że musi coś załatwić w biurze, ponieważ ładunek, jaki wieziemy, przeznaczony jest do Liverpoolu.

Luki ładowni wypełnione były rudą miedzi z Kafjorden.

- Czy to jest Irlandia? - zapytała Lily, która stała przy relingu osłonięta ramionami Rozy.

Głos jej brzmiał czysto niczym dźwięk fletu. Bystre, szare oczy rozglądały się wokół, a jej spojrzeniu nie umknęło nic w falującym krajobrazie po obu stronach zatoki wcinającej się w łąd ku latarni Clooney i ujściu rzeki Foyle, gdzie nad rzeką rozłożyło się miasto.

- To jest Irlandia, kochanie - odparła Roza. -Mój tata był stąd? - pytało dziecko, i na moment z drzeniem wstrzymało oddech.

- Tak, twój tata był Irlandczykiem - odparła Roza, uśmiechając się nieświadomie. Jej głos zawsze nabierał osobliwego ciepła, gdy mówiła o Seamusie.

Sama tego nie słyszała, ale Maxwell wylapywał tę zmianę brzmienia. Powoli docierało do niego, z czym musiał żyć Mattias, i dlaczego norweski małżonek Rozy pytał go o O'Connora.

-Ale to jest Ulster, północna część kraju, Lily - wyjaśniała Roza. - A twój ojciec pochodził z Południa, z Kinsale w Cork. Z południowych wybrzeży Irlandii.

- Popłyniemy tam? - dopytywała się Lily z wyraźną nadzieją w głosie, zerkając na mamę.

- Nie - odparła jej matka, westchnąwszy z lekkim drzeniem.

-Ale to i tak jest Irlandia? - pytała córeczka, starając się być dzielna. -Tak, to Irlandia.

Maxwell w czułym geście zmierzwił rudą czu-prynkę Lily. Jakże pragnął pocieszyć to dziecko, skierować jej myśli na coś innego, nakłonić ją do śmiechu. Odwdzięczyłby się jej za to, że zawsze wprawia go w dobry humor. Chciałby ją chronić i być dla niej ojcem.

Maxwell dawno już zrozumiał, że nie potrafiłby karać dziecka za to, że jest córką tego łajdaka O'Connora. „Rzeźnika O'Connora”, jak mówili o nim Anglicy w Irlandii, spluwając przy tym z pogardą, w przeciwieństwie do Rozy, w której głosie pobrzmiwało oddanie, gdy wymawiała jego imię.

Lily jest taka niewinna, Maxwell pokochał to drobniutkie dziecko, które kojarzyło mu się najbardziej z wróbelkiem. Była taka ruchliwa i stapała leciutko.

Czasami, kiedy się jej przyglądał, zdawało mu się, że jest krucha jak porcelana i niemal przezroczysta niczym elf. Dlatego ilekroć przypadkiem był świadkiem tego, jak dziewczynka wali Mattiego w nos, sądząc, że nikt tego nie widzi, a chłopiec się kuli, nie posiadał się ze zdumienia. Okazywało się bowiem, że ów mały elf z oczami niczym sadza

i włosami jak ogień jest bardzo cwany.

- Mój tata był stąd - wyjaśniła Lily z dumą drżącym głosem, tak głośno, by usłyszał ją Matti, po czym zerknęła w jego stronę.

Chłopiec stanął kawałek dalej. Nadal odpowiadał tylko półsłówkami, ilekroć był zmuszony odezwać się do Rozy. Wciąż tłumił w sobie taki gniew, który nieprędko ustępuje. Patrzył na Rozę tylko wtedy, gdy musiał, ale nie krył niechęci.

Raz za razem wymykał się z kajuty na pokład, uciekając od wszystkich, także od Lily. Roza, nieprzytomna ze strachu, odnajdywała go przeważnie z kimś z załogi, z Anglikiem lub Irlandczykiem. Kiedy przychodził sam, marynarze nie traktowali go jak utrapienie, jednak gdy zjawiała się z nim Lily, nie chcieli go znać. Chłopiec szybko się tego domy-

ślił, choć nie miał pojęcia, jaki jest rzeczywisty powód tego milczącego przesłania.

Zazwyczaj marynarze znajdowali dla niego jakieś proste zajęcie. Rozmawiali z nim, choć niewiele z tego z początku rozumiał. Jednak to właśnie on zrobił największe postępy w języku angielskim podczas rejsu. Lily ani Ole nie znali tylu słów co Matti i o wiele mniej też rozumieli. Z ociąganiem powtarzali wciąż te dziwne dźwięki, podczas gdy Matti gawędził już w najlepsze z marynarzami.

-Będzie z niego świetny marynarz, jeśli mu na to pozwolisz, madame - mówili do Rozy, ilekroć przychodziła go zabrać z pokładu, jedyne miejsce na statku, gdzie czuł się dobrze. Matti wprawdzie się nie opierał, ale też nie usposabiało go to przyjaźniej wobec Rozy.

-To znaczy, że ja też jestem trochę Irlandką, prawda? - dopytywała się Lily, chcąc się pochwalić przed Mattim.

-Ty, doli, urodziłaś się w Ameryce - odpowiedział Maxwell żartobliwie, ale z sympatią. - Jesteś więc Amerykanką, nie Irlandką. O wiele lepiej być Amerykanką!

- Naprawdę? - zapytała i odchyliła głowę, by na niego spojrzeć. Bawiło ją, że widzi go nad sobą do góry nogami na szarobłękitnym niebie.

- Z pewnością - odparł Maxwell, zachowując śmiertelną powagę.

-Lepiej, niż być Norwegiem? - dopytywała się Lily.

- Oczywiście.

Lily westchnęła zadowolona. -Ale nie tak dobrze jak być Anglikiem, tak jak ja - dorzucił Maxwell.

Szare oczy dziewczynki zmieniły się w wąskie szparki, gdy napotkała jego spojrzenie. Nie była już taka pewna, czy Maxwell żartuje, czy mówi poważnie. Z dorosłymi nigdy nie wiadomo. Śmieją się często z czegoś, co dla dziecka jest bardzo poważne. Lily nie mogła się doczekać dorosłości, tak by wszystko rozumieć i by nikt nie śmiał się z niej tylko dlatego, że jest mała.

- Najlepiej na świecie być Anglikiem! - oznajmił Maxwell z przekonaniem. Ale ponieważ uśmiechnął się promiennie, Lily tak do końca nie była go pewna.

- Nikt nie jest lepszy od innych - wtrąciła stanowczo Roza i ścisnęła mocno córeczkę, aż ta jęknęła z bólu i wyrwała się z objęć matki. Roza nawet tego nie zauważyła, patrzyła bowiem na Maxwella i upominała go rozgniewana w jego języku: - Nigdy nie opowiadaj takich rzeczy moim dzieciom, Maxwell. To ja je wychowuję, a według mojego rozeznania Anglicy wcale nie są najlepsi na świecie.

-Jesteś piekielnie naiwna, Rosie!

Nazwał ją tak, jak nazywała ją mama O'Connor. Zwrócił się do niej imieniem, jakiego używała w Irlandii. Uczynił to bezwiednie i nim się zreflektował, Roza zdążyła odczytać ukryte przesłanie. Potraktował ją niczym służbę. Nie było to świadome z jego strony, po prostu mu się wymknęło.

Spojrzeniem poprosił ją o wybaczenie, ale go nie otrzymał.

-Jestem naiwna, ponieważ uważam, że wszyscy ludzie są równi?

- spytała zdumiona. - Niezależnie od pochodzenia i koloru skóry? Obojętnie, gdzie dorastali i gdzie chodzili do szkoły?

Mogłaby tak ciągnąć jeszcze długo, ale przerwała, uznawszy, że to nie ma sensu. Oboje wiedzieli, kim są i znali swoje poglądy. Wiedzieli też, że żadne z nich nie da się przekonać do idei drugiego. Zbyt mocno odcisnęły się w ich umysłach. On nasiąkał nimi, dorastając pośród arystokracji, ona przyswoiła swoje, stojąc poza nawiasem społeczności, a potem ukształtowała je w pełni, słuchając przemówień charyzmatycznego przedstawiciela ludu i rebelianta Seamusa O'Connora.

Maxwell wzruszył ramionami.

-Jedno z nas jest w błędzie, a drugie ma rację -stwierdził, dążąc do pojednania. - Ale nie mnie o tym rozstrzygać.

Odpowiedziała mu milczeniem.

- Nawet twój ukochany Seamus nie twierdził, że wszyscy ludzie są równi, uważał bowiem irlandzkich republikanów za kogoś lepszego.

- Nic nie wiesz o poglądach Seamusa! - prychnęła Roza, wybuchając gniewem. - Nie znałeś go takim, jakim ja go znałam! W Rozie aż się zagotowało. Maxwell nie ma prawa wypowiadać się o nim, o jej Seamusie! Nie pozwoli mu kalać pamięci męża. Nikomu na to nie pozwoli!

Nie wolno mówić o nim z lekceważeniem! Co najwyżej jego rodzina ma do tego prawo.

-Ależ jakbym śmiał! - mruknął Maxwell.

- O co się kłócicie? - zapytała Lily czujnie. -Nie kłócimy się - odparli chórem, i zerknąwszy na siebie, uśmiechnęli się mimowolnie.

- Przynajmniej w jednej sprawie jesteśmy zgodni - uznał Maxwell.

Roza pokiwała głową.

Przed nimi rozciągało się Deny.

Ciasna Lough Foyle, zatoka Foyle, ciągnęła się na pięć mil, a potem rozszerzała się i łączyła z morzem. Tam, gdzie rzeka Foyle uchodziła do zatoki, po jej obu stronach rozłożyło się miasto, rozrastając się stopniowo na północny zachód i południowy wschód.

Port i doki mieściły się na zachodnim brzegu Foyle, gdzie widoczne były także wieże kościelne. Katedra świętego Kolumby wznosiła się pośrodku zachodniej części miasta, Bogside, zaś katedra świętego Eugeniusza stała dalej na północ, przy obrzeżach miasta. Bogside należało do ludności irlandzkiej w Deny, do katolików. Do tych, którzy nadal nazywali swoje miasto Derry, mimo że pięć lat po wielkim pożarze, w 1613 roku, po wzmocnieniu dominacji protestanckich Anglików, miasto formalnie otrzymało nazwę Londonderry.

Na wschód od Foyle, w części zwanej Waterside, mieścił się niewielki kościół prezbiteriański ze skromną, niemal surową architekturą. Tam modlili się ci, którzy nazywali miasto Londonderry, dumni Szkoci czy Anglicy, patrioci wierni swojej królowej i rządowi w Londynie.

Dobrobyt widoczny był na wschód od Derry, to tam wznosiły się największe i najpiękniejsze domy. W tej najspokojniejszej części miasta, zadbanej i czystej, mieszkali jego władarze i właściciele największych fabryk. Ci ustosunkowani i wpływowi.

Na zachodzie zaś znajdowały się miejsca pracy. To tam był dostęp do najtańszej siły roboczej. Irlandzcy mężczyźni musieli przyjmować to, co im oferowano, ponieważ to pracodawca decydował,

kogo zatrudnić, a irlandzkie kobiety i dzieci były jeszcze marniej opłacane. Na zachodzie Londonderry kwitła gospodarka, ale zyski przechodziły przez rzekę i powiększały konta bankowe patriotów mieszkających w Waterside.

„Meny Dancer” wpłynął na rzekę Foyle do Derry bez pilota. Kapitan Malcolm Hart twierdził, że zna te wody jak własną kieszeń. Przechwalał się głośno, że z zamkniętymi oczami potrafiłby wpłynąć do wszystkich portów w Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii.

Roza właściwie nie potrafiła określić, co czuje. Śmiała się, spoglądając na ożywione dzieci. Lily przebierała niecierpliwie nóżkami i nawet Matti uśmiechał się zarumieniony.

Jaki on podobny do Mattiasa, pomyślała, ale uznała, że nie powinna wspominać zmarłego męża, mając u stóp irlandzkie miasto.

Maxwell stał z rękami w kieszeniach, zadowolony, że nie wieje. Wystarczyła mu przenikliwa wilgoć w powietrzu. Uważał Irlandię za paskudne miejsce i zastanawiał się, jaki zamysł miał Pan Bóg, stwarzając tę dużą wyspę w bliskim sąsiedztwie Anglii. Zanim jeszcze „Meny Dancer” opuścił kotwicę i żagle zostały zrefowane, Malcolm zauważył płynącą w ich kierunku łódź i nappełniło go to niepokojem. Obserwował ją przez lornetkę, ale nie potrafił rozpoznać, komu tak śpieszno, by z nim porozmawiać, nim zejdzie na ląd.

Odłożył lornetkę i dał rozkaz, by marynarze spuścili drabinę linową. Rozkaz natychmiast został wykonany, a węzły z głuchym stukiem uderzyły o burtę.

Upłynęło trochę czasu, nim para marynarzy pomogła wejść na pokład jednemu z młodszych współpracowników adwokata Malcolma Harta z Londonderry, Haroldowi Spine.

Dwudziestoparolatek był świetnie zbudowany jak na kogoś, kto zdecydował się na zajęcie, nie związane z pracą fizyczną. Jasne włosy miał gładko zaczesane, a piegi na twarzy i niebieskie oczy w oprawie ciemnych rzęs nadawały mu chłopięcy wygląd.

Malcolm przywitał się serdecznie z młodym mężczyzną, ten jednak pobrał i odpowiadał zdawkowo, choć uprzejmie.

Sprawił wrażenie, jakby przybył na pokład „Merry Dancer” z największą niechęcią.

- Simon pewnie nie miał odwagi wejść do łodzi? - zapytał

Malcolm wesoło i zaśmiał się, przypomniawszy sobie solidną posturę swojego adwokata.

Harold Spine odetchnął głęboko, by przedłożyć sprawę, z którą przybył. Kapitan musi to usłyszeć, zanim dotrze do portu. Nie można pozwolić na to, by jako pierwsze dotarły doń plotki dokerów. Jego własny adwokat powinien go uprzedzić o tym, co się stało.

- Macpherson chciałby się z panem spotkać natychmiast, gdy zjedzie pan na ląd, kapitanie. Ma do zakomunikowania przykrą nowinę, prosił jednak, bym pokrótce wprowadził pana w tę sprawę...

Malcolm Hart ściągnął brwi i zmarszczył czoło, a w jego oczach pojawił się czujny błysk.

Maxwell i Roza podeszli bliżej, bowiem ich także zaintrygowało zachowanie młodego człowieka z kancelarii adwokackiej, który dziwnie kluczył, zamiast powiedzieć wprost, z czym przybywa.

Nie

którzy członkowie załogi przerwali na moment pracę i też nadstawili uszu.

Zapadła pełna napięcia cisza, jakby ciężka mgła zaległa nad ziemią, zlewając się z nią w jedno.

- Może w takim razie zejdziemy pod pokład, albo udamy się na mostek - zaproponował Malcolm Hart.

- Myślę, kapitanie - rzekł Harald Spine, który miał nadzieję, że kiedyś jego nazwisko znajdzie się na złotej tabliczce obok Macpherson&Macpherson na drzwiach budynku przy porcie - że wolałby pan usłyszeć te wieści jak najszybciej. Łódź czeka.

Macpherson liczy na to, że przybędę wraz z panem.

- O co chodzi? - zapytał Malcolm Hart tonem nie znoszącym sprzeciwu. Jako kapitan, oficer żądał odpowiedzi.

- „Southern Belle” nie dotarł do Londonderry. Malcolm Hart przyjął odpowiedź bez słowa, ale wyraźnie pobladł, a jego szczupłe policzki stężały, jeszcze bardziej wyostrajając rysy twarzy. Wyglądał teraz jak posąg wykuty w granicie.

- Dlaczego mnie o tym nie powiadomiono? - zapytał, wyrażając zdumienie połączone z niepokojem.

- Nie mogliśmy się z panem skontaktować, sir - wyjaśnił Harold Spine, przez przyjaciół zwaną Harry, cały nieszczęśliwy, że to właśnie jemu przypadło w udziale przekazanie tej złej nowiny kapitanowi Hartowi.

Próbowali na wszystkie sposoby skontaktować się z nim, ale Malcolm Hart wybrał się na połowy ryb do Norwegii, zaś jego statek popłynął dalej z ładunkiem do Rosji, nad Morze Białe. Nie udało się nawiązać łączności ani ze statkiem, ani z kapita-

nem. Już od tygodnia czekano w Londonderry na „Meriy Dancer”, spodziewając się go każdego dnia.

- Macpherson kontaktował się z pańską żoną. Była w Liverpoolu, kiedy ta wiadomość do nas dotarła.

- Moira nie ma pojęcia o prowadzeniu spółki armatorskiej - odrzekł cicho Malcolm Hart. - Może „Southern Belle” zawinął po drodze do jakiegoś portu? - zapytał w desperackiej nadziei, że nie wszystko stracone. - Statek miał załadować pomarańcze na Bermudach. A Wyspy Azorskie? Madera? Może schronił się przed sztormem gdzieś na Wyspach Kanaryjskich...

- Dwie szalupy ratunkowe przydryfowały do wybrzeży Bermudów, sir - z trudem wydobył z siebie Harold Spine, wpatrując się w punkt na czole pomiędzy oczami kapitana. Harvey, najmłodszy z braci Macphersonów, przygotował Harolda na to, że Hart się wścieknie, otrzymawszy tak złe nowiny. Doradził też Haroldowi, by cofnął się o krok, gdy zauważy, że Hart ciężko dyszy, bo to oznacza nadejście orkanu.

- Nic więcej? - zapytał Malcolm Hart, nadal z lodowatym spokojem.

- Nic - odpowiedział młody Spine i odważył się zwilżyć usta koniuszkiem języka. W ustach czuł suchość.

- Ktoś przeżył? - zapytał Malcolm Hart, chociaż domyślał się odpowiedzi.

- Nikt - rzekł Harold, zwieszając głowę. - Nikt nie przeżył, sir. Był młody, znał jednak ból, który towarzyszy czyjejś śmierci. Parę lat wcześniej stracił matkę. Wprawdzie nie cierpiała, zasnęła po prostu na wie-

ki po długim i dobrze przeżyтым życiu, ale Harold wiedział, co to znaczy strata kogoś bliskiego.

- Szalupy były puste? Harold Spine pokręcił głową.

- W jednej znaleziono cztery ciała, podobno były strasznie zmasakrowane.

Chyba niewłaściwie dobrał słowa.

Ludzie, którzy umarli z pragnienia w palącym słońcu, nie byli zmasakrowani. Harold wołał jednak przemilczeć, co słyszał o stanie zwłok i wydziobanych przez ptaki oczach. Te szczegóły niech opowie Hartowi Macpherson. Milczenie przedłużało się, tymczasem Harolda czekało jeszcze najgorsze. Simon Macpherson podkreślał, jak ważne jest by Malcolm dowiedział się o tym, nim zejdzie na ląd. Młodzieniec nabrał więc głębokiego oddechu, uchwycił wzrok kapitana i oznajmił spokojnym głosem:

- W szalupie było trzech członków załogi i chłopiec, syn O'Connora.

Za plecami usłyszał jęk przypominający krzyk duszonych mew. Harold, nazywany przez przyjaciół Harry, jako chłopiec towarzyszył kolegom w zabiciu mewich piskląt.

Uczynili to z dziecięcej głupoty, a nie z bestialstwa. Byli po prostu ciekawi życia, śmierci, wszystkiego. I w ciągu paru minut dowiedzieli się czegoś o życiu i sporo o śmierci. Harold płakał wówczas, podobnie chyba jak jego dwaj kompani. Pewny nie był, ponieważ pobiegli w swoją stronę, gdy tylko ostatnie pisklę w ich nazbyt silnych dłoniach zamieniło się w bezwładną choć ciepłą jeszcze opierzoną kulkę.

Harold nigdy nie zapomni, jakie to uczucie odbierać bezradnej istocie życie.

Nigdy też nie zapomni odgłosu wydobywającego się z otwartych dziobów piskląt. Ten jęk, który teraz usłyszał, przypomniawszy mu to zdarzenie. Strach go ścisnął za gardło.

Odwrócił się i cofnął o krok, choć tym sposobem znalazł się bliżej kapitana Malcolma Harta, narażony bezpośrednio na jego ewentualny gniew. Zbladł, czując, jak zbiera mu się na mdłości, i zacisnął mocno wargi.

Zobaczył młodą kobietę z burzą rudych włosów, ubraną dostаточно. Obejmowała małą, równie rudowłosą dziewczynkę, która sięgała jej do pasa. I stała tak blisko syna kapitana Harta, że Harold domyślił się natychmiast, że musi trzymać język za zębami, mimo że ta kobieta miała najdziwniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział.

Spuścił wzrok i zwrócił się ponownie do kapitana, choć obraz tej kobiety wciąż nie dawał mu spokoju. Dobry Boże, co jej się stało? - myślał gorączkowo. - Doznała oparzeń podczas jakiegoś pożaru?

Nie miał odwagi zerknąć ponownie w jej stronę w obawie przed własną reakcją. Wiedział, że to beznadziejne, ale po prostu jej się bał.

-Dziecko O'Connora? - spytał Malcolm Hart powoli, spoglądając na kogoś za plecami Harolda. Zapewne na tę kobietę.

Harold zastanawiał się, kim ona jest. Pewnie Ir-landką, a może jakąś krewną Josepha O'Connora, który był tak samo rudy, ale to w końcu nic nie znaczy.

- A co jego syn robił na pokładzie „Southern Belle”?

-Żona O'Connora postanowiła odwiedzić swoją rodzinę w Clonakilty - wyjaśnił cicho Harold Spine. - Zabrała ze sobą dwoje dzieci.

-Dobry Boże! - rzekł Malcolm Hart, podchodząc do drabinki. Harold Spine nie ruszył się z miejsca.

-Joseph O'Connor przybył z Ameryki, pogrzebawszy syna - dodał. - Czekaj w Liverpoolu.

Malcolm Hart usłyszał już wystarczająco dużo. Skierował się w dół do lekkiej łodzi czekającej przy burcie statku.

Harold Spine zobaczył, że kobieta szłocha wtulona w pierś młodego Harta. Maxwell objął ją mocno i ukrył twarz w jej włosach. Nie widział, że Harold skinął uprzejmie w jego kierunku.

Harold był szczęśliwy, że zdołał ukryć swą reakcję na widok tej kobiety. Najwyraźniej nie była to jakaś przygodna znajoma.

Maxwell Hart kołysał ją bowiem jakby była zrobiona z najdelikatniejszej chińskiej porcelany.

Rozdział 11

- Właściwie wiem tylko tyle, ile już wiedziałem przed spotkaniem z Macphersonem - oznajmił Malcolm Hart, wyraźnie zmęczony.

Roza i Maxwell przyszli razem do niego do kajuty. Usiedli blisko siebie, a Maxwell otoczył ją swym opiekuńczym ramieniem, czego ona chyba nawet nie zauważyła. Malcolm poczuł ukłucie w sercu, patrząc na tych dwoje, którzy zachowywali się tak, jakby należeli do siebie.

- Nie dowiedziałem się żadnych nowych konkretów - dodał z grymasem. - Sytuacja jest doprawdy mało przyjemna. Nikt nie lubi tracić statku wraz załogą i z ładunkiem. Doznaliśmy ogromnych strat finansowych. „Southern Belle” był przecież nowym statkiem. I pomyśleć tylko, że uległ katastrofie, wioząc na pokładzie kobietę, od której wzięła się jego nazwa!

Wychylił łyk whisky.

- To znaczy, że Joe nie jest tylko przeklętym rebeliantem? - zapytała niepewnie Roza, nie do końca rozumiejąc, i popatrzyła uważnie na Malcolma, który siedział z pochyloną głową i zwieszonymi ramionami.

- Joe jest moim partnerem - oświadczył Malcolm Hart.

- Na tych samych warunkach co Seamus? - zapytała.

- Można tak powiedzieć - odparł kapitan Hart, lojalny poddany angielskiej królowej.

- To znaczy, że Joe zainwestował pieniądze w twoje statki? - zdziwiła się Roza.

- Tak.

- I ten statek otrzymał nazwę na cześć Jenny?

- Uznałem, że mogę sobie pozwolić na taki gest - odparł ojciec Maxwella z rezygnacją w głosie. - Mam statek, który nosi imiona moich córek. Żona nie jest zainteresowana, twierdząc, że to takie prostackie. Za to Jenny z Clonakilty niemal pękała z dumy, gdy rozbiła butelkę szampana o burtę statku, nadając mu imię „Southern Belle”. Co mi zależało? Zwłaszcza, że statek nie pływał z wypisanym na burcie imieniem Irlandki. Nie ośmieszyłem się, a Jenny przydało to nieco splendoru w Savannah.

Pomijając pochodzenie, była to wyjątkowo bystra kobieta. Niełatwo będzie wypełnić puste miejsce, jakie po sobie zostawiła. - Spojrzawszy na Rożę, Malcolm dorzucił: - Ci O'Connorowie potrafili wybierać sobie żony.

Roza nie zwróciła uwagi na pochwałę pobrzmiewającą w jego głosie. Zresztą nie przywiązywała znaczenia do takich spraw. Myślała o Jenny, o brązowych oczach i stalowej woli. Seamus tak ją lubił! Ofiarował jej nawet Rose Garden. Roza nie miała jednak powodów do zazdrości o Jenny.

Rozpaczała po niej, choć nigdy jakoś nie zdołała polubić żony Joego. Cierpiała też z powodu straty Denise i Nicky'ego, domyślając się, co teraz czuje ich ojciec.

-Jenny miała dwadzieścia cztery lata - wyszłochała. - Nicky prawie dziewięć, a Denise, mała Denise, nie skończyła nawet ośmiu...

Maxwell głaskał Rożę po plecach, starając się ją uspokoić. Jego wargi prawie dotykały jej delikatnej skóry na skroni. Bliskość ukochanej kobiety wywoływała w nim drżenie i gorące mrowienie.

Maxwell nie miał pojęcia, czy mrowienie można nazwać gorącym. Jego stary profesor od angielskiego uznałby to z pewnością za bezmyślny bełkot i kazałby mu wyrażać się precyzyjnie. Doradziłby także lodową kąpiel, więcej ćwiczeń fizycznych lub trzymanie rąk na kołdrze podczas snu, a może wszystkie te trzy możliwości naraz. Tylko czy to by go uchroniło? Wątpliwe.

Zakochał się po uszy.

Starał się trzymać uczucia na wodzy, naprawdę nie zamierzał wykorzystywać jej słabości. Wpojono mu za młodu ideały rycerskie i cnoty dżentelmeń-

skie, dlatego uważał za niewybaczalne pragnąć kobiety, która szuka u niego pociechy.

Roza zalała się łzami. Maxwell jeszcze nie widział, by ktoś tak płakał. Z jej oczu tryskały dosłownie wodospady łez. Wtuliła się w niego, trzymając go kurczowo w pasie, a jego koszula całkiem przemokła.

Nieokiełznane loki kleiły się do mokrych policzków Rozy, przypominając sroczę gniazdo.

Odgarnął włosy z jej twarzy i bezwiednie uśmiechnął się do niej z czułością.

Malcolm Hart odwrócił się bez słowa od młodych.

Maxwell otarł jej łzy, ale daremnie, bo nadal płakała i po chwili znów miała mokre policzki. Zrezygnował więc i przygarnął ją mocno. Wydawało mu się, że tego teraz potrzebuje. Zamknął ją w objęciach, dokładnie otulając ciepłem, czułością i miłością.

Oparłszy podbródek o jej głowę, poczuł, że pragnie jej całym sercem. Ze nie jest to wybryk, ekstrawagancja, flama. Nie poprosił jej o rękę tylko po to, by oddać jej szlachetną przysługę, nawet nie po to, by rozgniewać ojca, zaszokować jego przyjaciół i rodzinę.

W jego świadomości tkwiła od dawna niepewność co do własnych motywów. Słowo „miłość” nawet w jego własnych uszach brzmiało fałszywie.

W tej chwili jednak przekonał się, co naprawdę czuje. Nabrał pewności. A napotkawszy nad głową Rozy wzrok ojca, domyślił się, że i on to zrozumiał.

Malcolm Hart skrzywił się i nalał sobie kolejną już po powrocie z kancelarii Macphersona szklaneczkę whisky. Westchnął i zapinając mundur, rzucił cicho:

Wyprowadźmy ją!

Maxwell też o tym pomyślał, ale ponieważ nie mógł skinąć głową, pomrukał tylko oczyma.

- Nic tu po nas, skoro Joseph O'Connor czeka w Liverpoolu.

- Po co on w ogóle tutaj przybył? - zapytał Maxwell po cichu, starając się prawie nie poruszać szczęką, choć pewnie nawet gdyby krzyknął, uczepiona go kurczowo Roza, nie usłyszałaby. Malcolm Hart nie odpowiedział. Opuścił własną kajutę, udając, że nie słyszy pytania syna, a kiedy skierował się na mostek, wymamrotał pod nosem:

- Cholerna baba!

Gdyby nie znał prawdy, podejrzewałby, że Roza wykorzystuje sytuację. Był jednak pewien, że córka Wielkiego Samuela nie ma żadnego interesu w tym, by zaciągnąć do ołtarza jego syna.

Jak na osobę nie zainteresowaną, wyjątkowo mocno omotała tego chłopaka. Niczym ośmiornica bezlitośnie zacisnęła macki na jego plecach, on zaś dał się pochwycić i jeszcze uśmiecha się głupio oczami pociemniałymi z namiętności.

Do diabła z tym chłopakiem! Jest wystarczająco dorosły, by myśleć głową, a nie bardziej zdradliwymi częściami ciała! Poza tym jako osoba dość bystra powinien przejrzeć taktykę tej kobiety i zrozumieć, że bezradność Rozy to jak bezradność piranii.

Niestety, jego własny syn i dziedzic fortuny Hartów ściska tę rozplakaną wdowę, jakby od niej zależało jego życie. Tonie i brakuje mu tchu, a Roza Samuelsdatter jest powietrzem, zatrutym powietrzem. Malcolm Hart nie mógł się uwolnić od tego obrazu. Dobrze, że przynajmniej Mark ma głowę na kar-

ku i tak jak ja postrzega świat, pomyślał Malcolm o zięciu, któremu przekazał póki co obowiązki na statku. Przynajmniej nie dał się zaślepić łzom i kobiecej bezradności. Wie, że Roza do nich nie pasuje i nie wierzy, że zwykły kamień z jakiegoś zakątka świata, da się wygładzić i wypolerować, tak by stał się diamentem.

Niech Maxwell nawet sobie tego nie wyobraża!

Odnalazł zięcia, który właśnie obrał kurs poza Giant's Causeway. Przy wypływaniu z Lough Foyle Malcolm sam obejmie ster, ale potem gotów jest przekazać go z powrotem młodemu Markowi. Nie do końca było to zgodne z prawem i zasadami, ale ufa temu chłopakowi. Sam go zresztą wszystkiego nauczył i przyglądał się uważnie jego postępowi. Zięć wprawdzie nie potrzebuje zawodu, ale będzie z niego piekielnie dobry oficer na każdym statku.

- Maxwell pociesza swą wybrankę w mojej kajucie - oznajmił Malcolm i westchnął ciężko: - Łzy już zalały podłogę i jeszcze chwila, a przeleją się przez próg. Ta baba każdą sytuację obraca na swą korzyść!

- „Southern Belle”, taki wspaniały żaglowiec... - zaczął Mark Longmoore.

- Był ubezpieczony - odparł Malcolm. - Ale dotkliwie odczujemy jego stratę...

- Ze względu na ładunek?

- Do Bermudów nie dotarli, nie załadowali więc tych pomarańczy, ale w ładowni mieli bawełnę i jedwab... - westchnął ciężko.

- Spodziewam się, że to ubezpieczyłeś - rzekł zięć.

- Bawełnę tak, ale pozostały ładunek, wyjątkowo cenny, nie był ubezpieczony - wyjaśnił Malcolm cicho. Rozejrzał się na boki, ale nikt z załogi nie był

na tyle blisko, by podsłuchać ich rozmowę. - Tym mieli się zająć ludzie Joego. Nie mam pojęcia, na ile wyrozumiali okażą się ci, którzy wysłali ten towar. Że nie wspomnę o tych, którzy wciąż na tę przesyłkę czekają. Plotki pewnie już do nich dotarły. Nie pozostaje mi nic innego, jak wierzyć, że Joe się tym zajął tam, po drugiej stronie Atlantyku. Mark milczał.

- Ale może za wiele się spodziewam po tym człowieku? - dodał Malcolm.

- On właśnie stracił całą swoją rodzinę - zauważył Mark Longmoore. - Co prawda, nie jest z niego niewiniątko...

Gdy po raz pierwszy został wtajemniczony w powiązania teścia ze zbrojnymi grupami rebeliantów, nie wierzył własnym uszom. Wydawało mu się to nazbyt szalone i niewiarygodne. Moralne dno. Zdrada własnego kraju, rządu, korony. To, co powszechnie uważa się za najcięższą zdradę.

Lord Mark, trzeci w kolejności syn, ten, który nie miał prawa do żadnego tytułu, nie rozumiał, jak jego teść może narażać siebie i swoją rodzinę na takie niebezpieczeństwo.

Zrozumiał dopiero, gdy Malcolm zabrał go do Irlandii, gdy spotkał Josepha O'Connora, usłyszał jego płomienne, przeniknięte idealizmem przemówienia i ujrzał żar w jego czarnych jak sadza oczach.

Wtedy pojął, jak wielkie pieniądze kryją się za tą zdradą stanu i porzucił wszelkie wątpliwości.

Z czasem nawet ustąpiło napięcie związane z przemysłem i musiało się wydarzyć coś wyjątkowego, by uznać to za groźne. A kiedy im to spowszedniało, możliwe że przestali pilnować szczegółów. W nudzie tkwi nonszalancja.

- Dlaczego wybranka Maxwella wypłakuje oczy z powodu Jenny O'Connor?

-Jennifer - poprawił go Malcolm z lekkim uśmiechem.

- Nigdy nie była nikim więcej niż Jenny z Clo-nakilty, mogę się założyć o tytuł mojego brata oraz wszelkie jego posiadłości.

- Może i nie - rzekł Malcolm. - Ale była jedną z tych kobiet...

Urwał.

Zona Joego, obdarzona niezwykłą urodą, dorównywała bystrością niejednemu mężczyźnie. Choć nie posiadała żadnego wykształcenia, wykazywała się wyjątkowym drygiem do interesów. Może miało to związek z jej pazernością. Zawsze chciała dla siebie tego, co najlepsze, nigdy nie zadowalała się przeciętnością.

Malcolm westchnął, przypomniawszy ją sobie.

Tak usilnie się starała, a tymczasem nigdy już nie zostanie królową śmietanki towarzyskiej w Savannah. Nigdy więcej nie będzie rządzić gronem parweniuszy i nowobogackich w niewielkim mieście, które nazywa się Dublin, Georgia.

- Rzadko widuje się, by ktoś tak opłakiwał obcego człowieka - dodał Mark.

Malcolm otrząsnął się i upomniał w duchu, że nie ma żadnych powodów, by jego rodzina prowadziła rozmowy o Rozie. Nie uznał za stosowne opowiedzieć Markowi o niej, spodziewał się bowiem, że ta kobieta niebawem zniknie z ich życia.

Po co, u diabła, dałem się namówić na połów ryb na tym północnonorweskim odludziu? - denerwował się w duchu.

- Roza była żoną Seamusa - wyjaśnił w końcu. - Nie słuchałeś tego, o czym gada załoga?

- Nie - odparł Mark.

Malcolm niepotrzebnie pytał. Mark nie miał zwyczaju bratać się z marynarzami. Jako zięć kapitana wydawał im komendy i pilnował, by zostały wykonane, ale nie słuchał ich rozmów, nawet po kryjomu. Nie rozmawiał też z nimi. Nie traktował ich jak równych sobie. Pozostawali poza strefą jego zainteresowań.

- Więc nie dziwi mnie, że oplakuje Jenny - dodał Malcolm, wybiegając już dalej myślami. - Nie podoba mi się tylko, że Maxwell trzyma ją na kolanach.

- E, Maxwell nie posunie się dalej! - stwierdził z przekonaniem Mark. - Nawet pozostając z nią na osobności w kapitańskiej kajucie.

Uśmiechnął się konspiracyjnie, a jego słowa póki co uspokoiły teścia.

- Moje dziecko jest głodne - oznajmił głośno Ole, kiedy wreszcie zapukał do właściwych drzwi i odnalazł swą siostrę w ramionach Maxwella.

Maxwell uciszył go, szepcząc ostrzegawczo:

- Zasnęła.

- Stella płacze - oświadczył Ole. - Poza tym nie podoba mi się, że dzieci zostały same w kajucie. Lily przez cały czas dopytuje się o Rozę i koniecznie chce wiedzieć, czemu mama płacze. Pyta, czy coś ją boli. Co mam jej odpowiedzieć?

Maxwell zamknął oczy, modląc się w duchu o cierpliwość, którą nie został zbyt hojnie obdarzony przez naturę. Najchętniej wyrzuciłby Olego za drzwi, ale miał zajęte ręce i obawiał się ponadto, że brat Rozy ma więcej krzepy i potrafi się lepiej bić niż on.

- W Liverpoolu czeka Joe - wyjaśnił cicho Maxwell. - Dotrzemy tam jutro, a może nawet już nocą. Lily powinna poznać prawdę, jest dostatecznie duża, a poza tym bardzo dzielna. Poradzi sobie. Ole prychnął.

- Jak ty się nami przejmujesz! Maxwell owi nie spodobał się jego ton.

- Uganasz się za Rozą z tego samego powodu co inni - rzucił Ole szyderczo. - Różnica polega jedynie na tym, że jesteś od nich bogatszy. Bogatszy też od tego twojego szwagra, prawda? Maxwell wstrzymał oddech.

- Jesteś bogatszy od Davida? - ciągnął Ole.

Maxwell nie był pewien, czy Ole jest wtajemniczony w tę sprawę. Roza była bardzo skryta i zwykle pilnie strzegła swych tajemnic. Ale może z Olem łączyła ją silniejsza więź, niż się Maxwellowi zrazu zdawało.

- Dużo bogatszy od Davida - skwitował krótko.

- Nie spodobałoby ci się, gdyby tamten znów sobie ją upatrzył, co?

- Nie - odparł Maxwell.

- Roza mówi, że nie zamierza cię poślubić. Max zacisnął zęby. Trudno mu było pojąć, po co

Ole to mówi. Może uważa, że wyświadcza mu przysługę?

-Pomyślałem, że powinienes wiedzieć, jak się przedstawia sytuacja.

- Znam sytuację.

-Powiedziała ci? - zdziwił się Ole i dodał po chwili, krążąc po kajucie kapitańskiej Malcolma Harta, dwa razy większej niż ta, którą zajmowali z dziećmi. - No cóż, Roza jest szczerą. Uderzyło go nagle, że posiadanie majątku ma wiele zalet.

Przekonał się, że łatwo przyzwyczajał się do wystawnego życia. W duchu przeklinał łotra, który ukradł mu złoto z kryjówki w saunie Mattiasa w Altadalen.

-Dziwi mnie jedno - rzekł Ole, nachylając się nad biurkiem Malcolma.

Przybiera pozę zupełnie jak mój ojciec, pomyślał Maxwell. Pozę zarezerwowaną dla ludzi władzy. Może Ole ma to we krwi, zastanawiał się.

- Moja siostra na ogół nie odmawia modlitw, gdy ktoś stanie jej na drodze - rzekł Ole bezlitośnie. - Nie zwykła nikogo ostrzegać, póki się nie upewni, że nie przeszkodzi jej osiągnąć cel.

- Nie stoję Rozie na przeszkodzie - odparł Maxwell. - Ożenię się z nią.

- Nie słuchałeś mnie? - spytał Ole, nie pojmując, jak można być tak beznadziejnie upartym jak ten chudy Anglik.

- Owszem - odparł Maxwell - ale słuchałem też jej. Oboje z Rozą się mylicie, Ole. Ja naprawdę się ożenię z twoją siostrą.

- Zwariowałeś - oświadczył Ole. - U was w rodzinie to pewnie dziedziczne.

Maxwell uśmiechnął się, ale nie dał się sprowokować. Zmierzył lekko włosy Rozy, pogłaskał ją w poparzony policzek. Poruszyła się w jego objęciach.

- Darling - rzekł cicho - darling, obudź się. Dziecko twojego brata zgłodniało...

- Jest dość uparty - stwierdziła Roza, gdy Ole powtórzył jej swą rozmowę z Maxwellem. - Ale nie zamierzam się z tego powodu denerwować. Wiem, że Maxwell nie może mnie do niczego zmusić. Nikomu na całym świecie się to nie uda, rozumiesz Ole?

Popatrzyła na dziecko przy piersi. Stella wydawała z siebie odgłosy zadowolenia. Cały świat mógłby się trząść, a ona nie przejęłaby się tym, póki jest nakarmiona i przewinięta, a czyjeś ramiona tulą ją z miłością.

- Martwię się o ciebie, Roza.

- Niepotrzebnie - odparła pośpiesznie, mrugając do brata ostrzegawczo, zauważyła bowiem, że Lily wyraźnie nastawiła uszu. Matti podsłuchiwał, nie dając tego po sobie poznać.

Podobnie jak ojciec miał nieprzeniknioną twarz. Zauważyła też, że chłopiec mruży oczy, tak samo jak Mattias, gdy skupiał się na kilku rzeczach na raz. Szła o zakład, że Matti zrozumiał z tego więcej niż Lily. Ten chłopiec tylko udawał zagubionego.

- Należę do tych, którzy potrafią przetrwać -dodała. - Zawsze tak było. A teraz mam wpływ na to, jak przetrwam. To duża różnica, Ole. Bardzo duża.

Wiedział, o czym siostra mówi, ale ani myślał zdradzić się z tym, że w jego przypadku jest inaczej. Nie wyjawি jej tego, póki nie będzie zmuszony. Trzeba by mu chyba przystawić nóż do gardła. Przy odrobinie szczęścia może się zdarzyć, że sprawy się zmienią. Może los trzyma dla niego coś w zanadrzu, by Ole nie musiał być uzależniony od Rozy. Tak, by i on mógł decydować o własnej przyszłości.

- Rozmawiałeś z Malcolmem o swoim łóżu? -zapytała zniecierpliwiona, zupełnie, jakby umiała czytać w jego myślach.

Ole aż drgnął, ale Roza na szczęście pochłonięta była przemawianiem do Stelli, i nie zauważyła, w jakie zdenerwowanie wprowadziła brata.

- Nie mogę z nim rozmawiać - odpowiedział. -Nie mamy wspólnego języka.

- A więc zamierzasz czekać, aż opanujesz płynnie angielski? Ole wzruszył ramionami.

- Przełknij własną dumę i porozmawiaj z Maxwelllem! Niech on będzie twoim pośrednikiem! Inaczej ta rola przypadnie mnie, a na to, jak mi się zdaje, nie masz ochoty.

Przyznał w duchu rację siostrze. Byłaby ostatnią osobą, którą poprosiłby o tłumaczenie, gdyby miał swoje złoto. Teraz jednak nie ma do sprzedania niczego, co przynajmniej ratuje jego dumę. Człowiek w jego sytuacji powinien dziękować Opatrzności za drobiazgi.

Roza siedziała z jego dzieckiem przy piersi i wyglądała jak madonna z jakiegoś umieszczonego w ołtarzu obrazu. Nie powiedział jednak tego na głos, w obawie, że to bluźnierstwo.

- Dlaczego znów płyniemy? - zapytał Matti, tym razem spoglądając swymi brązowymi oczami prosto w oczy Rozy.

Wiedział, że pyta właściwą osobę. Sam się domyślił, że ma ona o wiele więcej do powiedzenia niż Ole. - Nie zejdziemy tu na ląd?

- Nie zejdziemy? - dorzuciła Lily swym cienkim głosikiem. - Tak się cieszyłam, że stanę na ziemi, skąd pochodzi mój tata.

- Przecież on stąd nie pochodzi - wtrącił się Matti. - Mama mówiła ci chyba, że twój ojciec mieszkał w Kinsale. A ta miejscowość nosi nazwę Derry.

Roza aż wstrzymała oddech. Nie zdawała sobie sprawy, jak wiele informacji przyswoił sobie Matti.

Przecież nazwy miast nie były łatwe, dla obojga dzieci brzmiały obco, tymczasem on je zapamiętał.

- A właśnie, że mój tata pochodzi z miasta Cork - odparła Lily i pokazała Mattiemu język.

- Max mówił, że to miasto nazywa się Londonderry.

- Oboje macie rację - rozstrzygnęła Roza i podniosła ostrzegawczo palec, Matti i Lily zamilkli więc z poczuciem winy i zerknęli na Stellę, która zasypiała przy piersi Rozy.

- Nie musi jej się odbić? - zapytała Lily. - Myślałam, że zawsze musi jej się odbić po jedzeniu.

- Chyba nie będzie budzić dziecka, po to by beknęło? - westchnął Matti.

-Jeśli zasnęła, to niech sobie spokojnie śpi -rzekła Roza i zauważyła lekki uśmiech na ustach syna Mattiasa. Rozczuliło ją to bardziej, niż miała odwagę przyznać sama przed sobą. Boleśnie przeżywała wrogość chłopca.

- Dlaczego płyniemy? - powtórzył swoje pytanie Matti.

- Malcolm stracił jeden ze swych statków.

- Phi, chyba nie można zgubić statku? - prychnęła Lily i przemknąwszy się przez niewielki skrawek podłogi, wspięła się na koję i przytuliła do mamy, oparłszy policzek na jej ramieniu. Tymczasem Stella prawie zasnęła na rękach Rozy, ale wciąż ssała pierś. Roza wiedziała, że maleństwo zaraz zapadnie w głęboki sen.

-Ja też popłaczę z tego powodu - rzekła Lily.

Ale choć bardzo się starała, to jednak nie zdołała wycisnąć nawet łzy. Kiedy Roza po cichu zaniósła małą do kołyski, Lily wyciągnęła się na koi i waląc piąstkami w siennik, powtarzała szeptem:

-Ja też chcę płakać!

Gdy Stella spała nie wolno im było krzyczeć i tej zasady Ole surowo przestrzegał. Tego, kto ją złamał, karał, szczypiąc mocno w policzek i kierował prosto do łóżka, gdzie biedak musiał siedzieć cicho tak długo, jak zdecydował wujek. A był on zwolennikiem długiej ciszy. Jeśli ukarany się zapomniał i odezwał wcześniej, karę przedłużano.

Roza podniosła Lily i przytuliła ją mocno, póki córeczce nie minęła złość. Gniew Lily wybuchał gwałtownie jak ogień, ale równie szybko gasł. Roza sprawdziła, że w takich przypadkach całus był równie skuteczny, jak tłumaczenie i kary.

- Płakałam - wyjaśniła Roza - ponieważ na pokładzie statku było troje ludzi, których znałam. I ponieważ wszyscy troje umarli, gdy statek zaginał.

- Uległ katastrofie - poprawił ją Matti.

Roza pokiwała głową, wdzięczna chłopcu, że wypowiedział słowo, które nie chciało jej przejść przez gardło.

Tyle obrazów kłębiło jej się w głowie, póki nie zrozumiała, że są prawdziwe, a wydarzenia te naprawdę miały miejsce. Wolałaby, aby pozostały wytworem jej wyobraźni.

- A kto to był? - marudziła Lily, niecierpliwa jak zwykle.

Roza wyciągnęła rękę do Mattiego i poprosiła go spojrzeniem, by przysunął się do nich. Chłopiec usadowiony przy grodzi w cieniu górnej koi, uczynił to niechętnie. Zupełnie jakby przebył dzielący ich ocean. Udawał co prawda niewzruszonego, siadając obok Rozy, ale wzdrygnął się, gdy objęła go ramieniem. Nie strząsnął jednak ręki.

Ole przyglądał się im z naprzeciwka rozbawio-

ny, ale nic nie powiedział. Nie był głupi, wiedział, kiedy należy trzymać język za zębami. Cieszył się, że Roza odniosła zwycięstwo i nie zamierzał odciągać chłopca od niej.

- Statek Malcolma nazywał się „Southern Belle” - zaczęła Roza, zupełnie, jakby miała im opowiedzieć bajkę. - To znaczy „Piękność Południa”, czyli południowych stanów Ameryki.

- Tam, gdzie się urodziłam? - wtrąciła Lily.

- Tak - potwierdziła Roza. - Ja też jestem taka piękność?

Roza pocałowała Lily w czoło i zapewniła:

- Tak. Prawdziwa z ciebie ślicznotka z Południa. - Opowiesz więcej - dopytywała się córeczka, całkiem zapominając, że sama przerwała mamie.

- Opowiedz! - poparł Lily Matti niemal równie niecierpliwym.

Roza opowiedziała im całą historię w taki sposób, by była dla nich zrozumiała. O cioci, której Lily nie mogła pamiętać, ale miała takie same brązowe oczy jak Matti, długie, ciemne włosy i w całym Dublinie, Georgii nie było równie fascynującej jak ona kobiety. O kuzynce Denis i kuzynie Nicholasie, którego wszyscy nazywali Nicky.

Wspomniała o szalupach, które przydryfowały do lądu na wyspach Bermudach i znalezionym w jednej z nich martwym ciele Nicholasa. Tata chłopca przybył i zabrał ciało synka, po czym pogrzebał je na terenie zamieszkiwanej przez nich posiadłości Rosa Garden w Georgii.

I wtedy zarówno Matti, jak i Lily rozplakali się.

- Nie musisz płakać - chlipała Lily. - To nie byli twoi kuzyni, ani twoja ciocia!

- A ty ich wcale nie pamiętasz! - odgryzł się Matti

i zawstydzony ocierał łzy. Mimo wszystko jest chłopcem. Chociaż jego tata nigdy się na niego nie złościł, gdy się rozpłakał.

- Płaczę, bo tęsknię za moim tatą - rzekł.

A wtedy z oczu Lily popłynęło jeszcze więcej łez. - Ja też tęsknię za Mattiasem!

- Nie był twoim tatą!

- Cii! - poprosiła Roza. - Możecie opłakiwać ich wszystkich. Nie ma o co się kłócić.

W końcu dzieci zasnęły zmęczone na jej kolanach. Roza delikatnie uwolniła się, przykryła dzieci, a potem usiadła przy stoliku.

- Źle wyglądasz - stwierdził Ole szczerze i uchwyciwszy dłonie siostry, dodał: - Ty też się prześpij trochę!

- Nie mogę - odparła i pokręciła głową. - Wszystko przez te obrazy.

- Masz wizję tamtego statku?

- Tak mi się zdaje.

Westchnął, ale nie próbował jej przekonywać, że się myli.

Zresztą nigdy nie miał co do tego pewności. Teraz zaś wyglądała na tak udręczoną, że pojął, iż to coś więcej niż szok i rozpacz.

- Idź w takim razie na pokład trochę się przewietrzyć -

zapropozował. - Może ci to dobrze zrobi. Zostanę tu z dziećmi.

Roza była mu wdzięczna, dlatego też nie wyśmiewała się z brata, że nie najlepiej znosi kołysanie statku.

Stała długo sama i zdążyła zmarznąć, gdy Malcolm zaszczyił ją swym towarzystwem.

- Joe będzie potrzebował teraz kogoś bliskiego - rzekł. - Wiele stracił.

- Joe jest jednym z moich najlepszych przyjaciół - odparła Roza.
- Wiem - odparł Malcolm Hart wyraźnie zorientowany i odszedł, nim zdołała mu coś odpowiedzieć. Lubił mieć ostatnie słowo.
- Niech cię diabli, Malcolmie Hart! - wyszeptała Roza zapatrzona w wybrzeże Irlandii. Nigdy nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś zobaczy Joego O'Connora.

Rozdział 12

To biały statek, czteromasztowy. Wiatr dmie w żagle. Kiedyś wiedziałam, jakie one wszystkie noszą nazwy. Wodziłam wzrokiem, gdy Seamus wskazywał mi je palcem i uczyłam się od niego.

Słyszeć komendy kapitana, są jak smagnięcia bicia albo strzały. Potężne uderzenie o burtę wstrząsa całym statkiem. Na pokładzie zapanował strach.

Morze się gotuje.

Nie rozumiem. Czyżby statek wpłynął na mieliznę?

Nie, to nie mielizna. Kapitan wciąż wykrzykuje. Komendy padają szybko i brutalnie. Nie rozumiem, co mówi, ale załoga pracuje z coraz większą zaciętością, a statek nabiera prędkości. Znowu rozlega się huk z boku statku.

Widzę wszystko z zewnątrz, ale odczuwam te wstrząsy, jakbym znajdowała się na pokładzie.

Szczękam zębami, nie mogąc zapanować nad przerażeniem.
Na statku rozlegają się strzały.

Słysząc huk armat.

Krzyki otaczają mnie ze wszystkich stron. Nie widzę siebie, tylko zacięte twarze załogi. Wśród marynarzy jeden jest czarnoskóry, dziwne.

Kolejny strzał.

Rozbrzmiewa tak blisko, że kapitan wydaje nową komendę. Na jego słowa zalega cisza. Na marynarzy pada blady strach.

Ryfują żagle.

Drugi statek podpływa do burty.

Jenny krzyczy. Trudno mi w to uwierzyć. To do niej niepodobne. Kim są ci ludzie, którzy przybili do samej burty białego żaglowca? Nic nie zdradza ich tożsamości. Nawet nazwa statku na burcie jest zamalowana. Statek jest duży, brązowy, a na dziobie znajduje się wyrzeźbiona sylwetka kobiety w czerwonym stroju.

Obcy wpadają na pokład, dochodzi do szamotaniny. Załoga białego żaglowca zostaje zmuszona, by wsiąść do szalup ratunkowych, które zostały spuszczone na wodę.

Kobieta krzyczy.

Wyzywa napastników od najgorszych.

Jenny nawet gdy jest zła mówi tak, jakby urodziła się w Georgii, jakby przez całe życie była Pięknością Południa w Ameryce.

Trzyma kurczowo własne dzieci, ale napastnicy nie okazują jej litości. Nicholas ma gniewne i przekorne oczy matki. Wchodzi pomiędzy mężczyznę z pistoletem a Jenny, ale cofa się, gdy przykładają lufę do jej skroni. Schodzi do jednej z szalup.

Jenny szlocha, ale wciąż przyciska do siebie Denise tak podobną do Fiony. Dziewczynka ma na sobie białą sukienkę z koronkami, a w ciemnych, kręconych włosach czerwoną wstążkę. Jenny desperacko tuli dziecko.

W szalupach nie starcza miejsca dla wszystkich. Ci, którzy się nie zmieścili, wołają sami wyskoczyć do wody. Jeden, który się ociąga, zostaje zastrzelony, a jego ciało wyrzucone za burtę.

Zabijają kapitana.

Jenny modli się z zamkniętymi oczami, trzymając złożone ręce za plecami Denise. Nie widzi podchodzącego mężczyzny, który podnosi nóż i podcina gardło jej córeczce.

Dopiero, kiedy ten zwyrodnialec wyrywa martwe dziecko z jej rąk, skacze mu do oczu i drapie po twarzy, gdy tamten ciska dziecko za burtę.

Mężczyzna bez wahania zadaje jej pięścią cios w głowę, a gdy Jenny upada, podnosi ją i przerzuca sobie przez ramię. Żółta suknia Jenny jest poplamiona krwią Denise.

Napastnicy przejmują statek.

Widzę na białej burcie wypisaną złotymi literami nazwę:

„Piękność Południa”.

Liverpool powitał ich deszczem. Doki ciągnęły się po obu stronach ujścia w najwęższym odcinku Marcey. Mieli szczęście, bo trafili na przyływ, dzięki czemu podpłynęli do samej kei.

Różnice pomiędzy poziomem wody podczas przyływu i odpływu były tu spore, mniej więcej na wysokość dwupiętrowego domu.

Roza nie chciała siedzieć pod pokładem. Trzęsła się z zimna na deszczu, który Malcolm nazywał

zartobliwie mżawką. Maxwell okrył ją swoją peleryną, za co była mu bardzo wdzięczna, nie chciała jednak, by ją obejmował. Nie życzyła sobie, by tak wyraźnie podkreślał, że należy do niego.

- Co zamierzasz mu powiedzieć? - zagadnął.

- Nie wiem.

- Powiesz mu o nas?

Odwróciła się do niego gwałtownie i zapytała:

- Do diabła, Max, co z tobą? Nie planuję, co powiem Joemu.

Pojęcia nie mam, co powinnam mu powiedzieć i to nie dlatego, że obawiam się tej rozmowy. Nie boję się. Joe jest jednym z moich najlepszych przyjaciół. Słyszysz? A teraz, kiedy inni pomarli, być może najlepszym. I właśnie stracił wszystkich swoich najbliższych. - Odetchnęła głęboko i dodała: - Możliwe, że właśnie coś takiego mu powiem. Nie sądzisz, że brzmi rozsądnie? Maxwell milczał. Nie podobało mu się jej zachowanie, zwłaszcza gdy pomyślał, że w odległości mili czeka Joe.

- Co się z tobą dzieje, Maxwell? - zapytała, kręcąc głową i wzdrygnęła się. - Nie masz w sobie odrobiny współczucia?

Maxwell uznał, że Roza niesłusznie go potępia. Nie ma serca z kamienia. Podobnie jak wszyscy gorąco współczuje Joemu. Tyle tylko, że obawia się o nią, wiedząc, że niebawem znajdzie się w towarzystwie jednego z rebeliantów O'Connorów.

Po zejściu na ląd Malcolm nie rozmawiał z Rozą. Gdyby nie obecność Maxwella, pewnie powstrzymałby ją siłą, i nie pozwolił opuścić pokładu. Teraz jednak Maxwella już z nimi nie ma. W mieszkaniu, w tym samym budynku, gdzie mieści się biuro, cze-

kała jego matka, która na widok Rozy nie wpadła bynajmniej w zachwyty i za nic w świecie nie zamierzała wypuścić syna razem z nią. Maxwell nie miał więc żadnych szans.

Dlatego w dorożce zmierzającej do hotelu, w którym zatrzymał się Joe, siedzieli tylko we dwoje, Roza i Malcolm Hart.

- Nie życzyłem sobie twojej obecności - odezwał się Hart.

- Musiałbyś mnie zabić - odparła krótko Roza zza woalki zasłaniającej jej twarz. Pamiętała, że w dużych miastach żałobny strój wzbudza u ludzi pewien respekt, ale jej twarz zdecydowanie nie. Dlatego upięła włosy wysoko, pozostawiając luźne kosmyki i do kapelusza przyczepiła czarną woalkę. Kiedy tak się ubrała, Lily popatrzyła na nią i aż otworzywszy buzię ze zdumienia, oświadczyła, że mama wygląda pięknie. Roza, przypominając to sobie, uśmiechnęła się wzruszona. Dla najbliższych stała się kimś obcym, nigdy jej takiej nie widzieli.

- Wolałbym, abyś nie komplikowała wszystkiego, Roza.

- Joe jest moim przyjacielem - powtórzyła uparcie. - Kiedy przyjaciele mnie potrzebują, jestem przy nich.

- Maxwell nie zachował odpowiedniego dystansu wobec ciebie.

- Przecież go z tego powodu nie zadźgam!

- Wystarczy, byś stosowała się do naszych wcześniejszych ustaleń, a nie potrzeba będzie sięgać po nóż.

- Nie mam najmniejszego zamiaru poślubić twojego drogiego synka, Malcolmie Hart! - rzuciła Roza, po czym zamilkli oboje. Nic więcej nie mieli sobie do powiedzenia.

Joe zdjął z szyi apaszkę, wróciwszy z obiadu, który zjadł w towarzystwie Moiry Hart. Nigdy by nie przypuszczał, że kiedyś będzie miał coś wspólnego z tą lodowatą kobietą, ale przez ten tydzień, który razem spędzili, uświadomił sobie, że w każdym człowieku tkwi coś dobrego. Moira Hart kocha konie. Jednak po ośmiu dniach rozmów o koniach był już bliski szaleństwa. Moira powiadomiła go, że „Merry Dancer” przyplynie lada chwila, ale powtarzała to od pierwszego dnia, gdy przybyła do Liverpoolu, otrzymawszy w Cheshire pilną wiadomość od Joego. Joe, w wysokich kowbojskich butach, oparł nogę o stółek z ciemnego drewna. Bezradnie rozłożył ręce. Czuł, że traci tu czas. Nigdy nie pragnął przebywać tak długo w kraju, którego nie darzył żadnym sentymentem. Mgła nadciągająca od Morza Irlandzkiego doprowadzała go niemal do obłądzenia. Nie mógł też znieść ciągłego deszczu.

A w domu za oceanem pozostały jedynie wspomnienia. W każdym pomieszczeniu wielkiego, pustego budynku pobrzmiwał radosny śmiech Denise. Budząc się o świcie, Joe słyszał niemal kroki Nicky'ego, który przed śniadaniem wymykał się na konną przejażdżkę. W łóżku po omacku szukał Jenny, jej miejsce jednak pozostało puste.

Może więc Liverpool jest mimo wszystko lepsze niż horror samotności w białym domu Rosa Garden?

Cygaro wygasło, zapalił je więc ponownie. Nie widział zegara, trudno mu więc było ocenić, czy to bardzo późny wieczór, czy wczesna noc. Tak czy inaczej, nie dość był jeszcze zmęczony, by zasnąć mocnym snem i by nie dręczyły go koszmary.

Słyszał wokół siebie ludzi, ich wesołe rozmowy, widział uśmiechnięte twarze. Nie pojmował tego. Wydawało mu się, że jego ból powinien rozszerzyć się niczym kręgi na wodzie i objąć swym zasięgiem innych. Wszyscy powinni być wstrząśnięci tym, co się stało. Wolałby, aby cierpieli tak jak on.

Usłyszał pukanie do drzwi i ogarnęła go złość. Przecież niczego nie zamawiał. Po hotelu tej klasy należałoby się spodziewać, że zapewnia się tu spokój gościom, jeśli tego sobie życzą.

Poirytowany otworzył drzwi.

Malcolm Hart uściskał mu dłoń, składając kondolencje, ale Joe tak naprawdę na niego nie patrzył. Wyminął Anglika i jak we śnie stanął przed towarzyszącą mu kobietą. Obszedł ją dookoła i raz jeszcze napotkał jej spojrzenie. Niemożliwe, by się mylił! Nawet gęsta woalka nie mogła ukryć, kim jest. Nikt tak się nie porusza jak ona. Nikt też nie ma tak płomiennie rudych włosów! Zdradził ją ów żar na tle czerni.

Joe uniósł woalkę, drugą dłoń zaciskając kurczowo na palącym się cygarze, i rzekł:

- To ty!

Roza mrugała powiekami, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy. Wstrzymała oddech i zanurzyła się w jego ramionach. Przywarli do siebie w pustym korytarzu, a Malcolm Hart rozejrzał się na boki zakłopotany. I choć nikogo w pobliżu nie zobaczył, wszedł do pokoju, rozsiadł się w fotelu, rozpiąwszy płaszcz i czekał.

Joe i Roza płakali w swoich ramionach, a z ich ust nie padło ani jedno słowo. Nie zauważyli mijającej ich starszej pary, i na wpół wzburzonych i na

wpół potępiających spojrzeń, a nawet gdyby dostrzegli, zapewne by się tym nie przejęli.

W końcu Roza odsunęła się lekko i wyszeptała.

- Tak strasznie mi przykro.

Pokiwał głową i zacisnął wargi, a na jego twarzy odmalował się grymas. Łzy wciąż płynęły, ale on nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Nie mogę patrzeć na ciebie takiego!

Uniósł brwi, by obrócić to w żart, ale nie był w stanie. On, zawsze taki skory do śmiechu!

- Może wejdziemy do środka? - zaproponowała Roza i pociągnęła go ze sobą do pomieszczenia, w którym zniknął Malcolm.

Parę minut trwało, nim Joe wziął się w garść i mógł się spotkać twarzą w twarz ze swym angielskim partnerem. I gdy nie patrzył na Rozę, był w stanie rozmawiać o interesach, jakby trzymając na dystans uczucia.

Opowiedział Malcolmowi Hartowi swoją wersję zdarzeń.

Rozmawiał o tym już wcześniej podczas ostatniego tygodnia spędzonego w Liverpoolu, a także wielokrotnie powracał do tego w domu za oceanem, cierpiąc przy tym dotkliwie. Ale Malcolm Hart nie oczekiwał od niego emocjonalnych szczegółów, chciał jedynie wiedzieć wszystko, co dotyczy statku i ładunku. I Joe mu to wyłożył. Tyle, ile było trzeba.

- Może pogorszyła się pogoda? - zastanawiał się Hart.

- Pogoda była znakomita - odparł Joe. - Trafiają się tam co prawda zdradliwe prądy, ale obeznani w żegludze marynarze twierdzą, że w żadnym wypadku nie mogły być powodem katastrofy statku, przynajmniej nie o tej porze roku.

- To był wspaniały statek, Joe - wtrącił Malcolm. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Wykluczone, by na morzu ujawniła się nagle jakaś wada konstrukcyjna czy usterki.

Joe milczał.

-W pobliżu Bermudów ciągną się liczne atole koralowe. Może tam się coś stało?

- Prowadzone były poszukiwania w okolicach wysepek koralowych, ale bez rezultatów.

- Statek nie może tak zniknąć bez śladu! - upierał się Malcolm Hart. - No, chyba że w trójkącie bermudzkim. Ludzie pewnie gadają, co?

Joe pokiwał głową.

Powszechnie wiadomo, że na pewnym obszarze u wybrzeży Bermudów statki znikają w sposób niewyjaśniony, niczym rosa w promieniach słońca.

- Szalupy ratunkowe wskazywałyby na to, że statek tonął - myślał na głos Malcolm.

- Znaleźliśmy cztery - rzeki Joe z trudem. -W jednej rozpoznaliśmy mojego syna, bosmana i dwóch marynarzy. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Ani bosman, ani marynarze nie mieli przy sobie broni, nawet noża, co każe mi podejrzewać...

- Że to piraci? - zapytał Malcolm Hart. Joe pokiwał głową zgnębiony.

- Całe lata na tej trasie był spokój.

- Być może ładunek, jaki przewoził „Southern Belle” nie był tajemnicą, jak nam się zdawało - stwierdził Joe, rzucając Anglikowi ponure spojrzenie.

- Załoga nie miała żadnego interesu, by coś zdradzić - odparł Malcolm Hart.

-Ja tym bardziej! Na pokładzie statku była moja rodzina - odpowiedział Joe.

- Pomysł, by wysłać w ten rejs jako pasażerów żonę i dzieci wydaje się niegłupi - wyrwało się Hartowi. - Oczywiście z założenia - dodał pośpiesznie. - Bo to, co się stało, jest godne ubolewania. Zapewniam cię jednak, że nikt z załogi nie zdradził. Albo „Southern Belle” zatonął z nieprzewidzianych powodów, albo został zaatakowany przez piratów nieświadomych tego, co znajduje się w ładowni...

- A co to był za ładunek? - zapytała Roza, nie nadążając ze zrozumieniem prowadzonej po angielsku rozmowy. Tym bardziej, że żaden z mężczyzn nie starał się mówić wolno.

- Później, Rosie! - poprosił Joe.

-Jutro o tym porozmawiamy - zdecydował Malcolm, który uznał, że wizyta już trwa wystarczająco długo. - Oczekuję cię w moim biurze, Joseph, o dogodnej dla ciebie porze. Trzeba dokonać nowych ustaleń...

Joe pokiwał głową.

Malcolm Hart rzucił nie znoszące sprzeciwu spojrzenie w kierunku Rozy, ale Joe O'Connor oświadczył:

- Rosie zostaje.

-Moja rodzina jest na pokładzie „Merry Dancer”, Joe - wyjaśniła mu cicho Roza.

-Proszę! - rzekł, podnosząc głowę. Sprowadzę później dla ciebie dorożkę, odwiozę cię!

Malcolm Hart zdążył tymczasem opuścić pokój, czego oboje nawet nie zauważyli.

Joe pomógł jej zdjąć pelerynę. Szybkie spojrzenie pozwoliło mu się zorientować, że peleryna jest własnością mężczyzny znacznie od niej wyższego. Patrząc na Rozę wyjmującą szpilki przytrzymujące kapelusz, stwierdził:

- Zaczynasz przypominać siebie. Nie wiem, czy bym ciebie rozpoznał, gdyby nie...

Uchwycił jej łokieć i poprowadził na niewielką sofę przed kominkiem w sąsiednim pomieszczeniu. Gdy się usadowiła, podał jej kieliszek sherry, a sam pozostał przy whisky. Usiadł obok niej tak, by mógł cały czas na nią patrzeć, i zaczął opowiadać:

-Minał miesiąc i trzynaście dni od znalezienia Nicky'ego. Było to po dziesięciu dniach od chwili, gdy im kiwałem na pożegnanie w Savannah, Rosie. Miesiąc i dwadzieścia trzy dni temu. - Patrząc na nią swymi szarymi oczami, zapytał: - Też tak odliczałaś każdy dzień i godzinę po śmierci Seamusa?

Pokiwała głową.

- Mimo, że ty i ja..? Znow przytaknęła niemo.

-Niewiele wówczas rozumiałem - przyznał. -Ale teraz wydaje mi się, że wiem, co znaczy być martwym za życia.

Ścisnął mocniej szklaneczkę z whisky, ale nie wychylił zawartości. Roza zamoczyła usta w kieliszku i pomyślała, że dawno już nie piła tak dobrej sherry.

-Jenny nie miała pojęcia, dlaczego tak bardzo się sprzeciwiam tej podróży - wyjaśnił Joe. - Nie mogłem jej przecież powiedzieć, Rosie! Po prostu nie mogłem!

-Jaki ładunek przewoził „Southern Belle”? - zapytała.

-Jeszcze nigdy nie wysyłaliśmy tak dużej partii broni - wyjawiał Joe. - Było też złoto, które miało pomóc republikanom, ale o tym wiedzieli tylko nasi ludzie. W dokumentach figurowało, że w ładowniach jest bawełna i jedwab. No i jeszcze planowano załadunek pomarańczy na Bermudach.

- A więc nie skończyłeś z tym, Joe?

Pokręcił głową. Byli z Rozą rówieśnikami, ale w jego ciemnych włosach pojawiły się już srebrne nitki. Wąsy też były szpakowate. Kiedy się ostatnio widzieli nie nosił wąsów. Policzki miał zapadnięte, a wokół szarych jak sadza oczu zauważyła nowe zmarszczki. Kiedyś uśmiech nie znikał z jego twarzy, teraz zaś nawet wokół ust pojawiły się głębokie bruzdy.

-Zrozumiałem, że byłem naiwny. Z tego nie da się tak po prostu wycofać. Starłem się jednak przynajmniej oddzielać sprawy interesów i rodziny. Nigdy nie miałem zamiaru wciągać w to Jenny i dzieci...

Jednym łykiem opróżnił żółtobrazową zawartość szklaneczki, odetchnął przez zaciśnięte zęby i odstawił z trzaskiem szkło na stół.

- Malcolm mówił, że statek został tak nazwany na cześć Jenny - rzekła Roza, unosząc brew. - Statek, w którym zgodnie z tym, co mówi, masz swoje udziały, Joe. Dlaczego to uczynił? Czym się kierował? Dlaczego robisz interesy razem z Hartem? Czy także te zgodne z prawem, czy jedynie te, o których się nie mówi?

- Hart odsprzedał mi tę część, która należała do Seamusa - wyjaśnił krótko Joe. - Powiedział, że spłacił ciebie, to znaczy Lily.

Roza milczała.

Przypomniała sobie o papierach, które trzyma w szkatułce na statku. Niemożliwe, by Malcolm zdołał je ukraść pod jej nieobecność. Ole nie pozwoliłby mu się zbliżyć do jej rzeczy. Hart jest zwinny i silny, ale gdyby doszło między nimi do bójki, Roza stawiałaby raczej na Olego.

- Żałuję, jak diabli! - rzekł Joe, który jej milczenie

uznał za nieme oskarżenie. - Ale dzięki temu miałem możliwości utrzymywać stosunki z Hartem. Potrzebowaliśmy siebie nawzajem. Czerpaliśmy z tego wzajemne korzyści. To nie żadna przyjaźń. Po jego głosie poznała, że się broni.

- A co ty tu robisz, u diabła? - zapytał gwałtownie, przyglądając jej się uważnie.

- Później - poprosiła.

Joe przysunął się bliżej. Uchwycił jej dłonie, a czując jakie są zimne, zaczął je rozcierać. Roza zauważyła, że jego oczy przypominają teraz barwą bardziej popiół niż sadzę.

- Nie! - sprzeciwił się. - Powiedz, dlaczego tu jesteś? Moira mówiła, że Malcolm wybrał się na połowy ryb do Norwegii. O tobie nie wspomniała ani słowem. Zresztą, w ogóle wyrażała się mało pochlebnie o tej fanaberii z połowami. Podobno Malcolm popłynął tam z tym bubkiem, mężem ich najmłodszej córki, i z Maxem...

Odetchnął głęboko i dwoma palcami uniósł lekko jej podbródek. -Poczekaj no! Ten łajdak Maxwell! Zawsze się oblizywał na twój widok. Przypląnął tu razem z nim?

Roza zaśmiała się krótko.

-Jak możesz w ogóle tak myśleć? - zapytała, umykając wzrokiem. - Naprawdę sądzisz, że Malcolm pozwoliłby mi poślubić Maxwella?

- Kłamiesz jak z nut, jak zwykle - zauważył i puścił jej dłonie.

Oparłszy się, przyglądał się jej badawczo.

- Widzę, że dbałaś o strój żałobny. Ostatnio widziałem cię w nim przed pięciu laty, ale nadal jest równie piękny. Wciąż nosisz żałobę po Seamusie.

Uważam, że to wzruszające. Moira wie o tym? Max próbuje teraz przekazać matce radosne nowiny?

-Nic nie jest takie, jak z pozoru wygląda - odparła Roza. - Zaufaj mi. Chyba zasługuję na to, nie sądzisz?

Westchnął i przymknął oczy. Zdołał powstrzymać potok łez. Gdy nachodziła go taka fala, nie zawsze był w stanie nad nią zapanować, co było bardzo męczące. Ludzie wzięli go na języki, Moira też go upominała, zapewne po to, by wziął się w garść. Nie obchodziło go to.

- Nicky leżał na samym dnie łodzi - powiedział, wciąż zaciskając powieki. - Mówili, że wyglądało tak, jakby ci trzej dorośli starali się schować go w ciemności. W szalupie powinna być płachta chroniąca przed słońcem czy deszczem, ale kiedy łódź została wyrzucona na brzeg, nie było żadnej płachty. Może od początku jej nie mieli.

Roza słyszała drżenie w jego głosie.

-Dryfowali zapewne przez wiele dni, bo skórę na twarzach mieli całkiem poparzoną. Nicky miał piegi, pamiętasz? Po Jenny. Ostre słońce mu szkodziło. Słońce bywa straszne, Rosie. A potem, już blisko lądu, ptaki dokończyły dzieła.

Zamilkł na długo.

- Mój syn, krew z mojej krwi i kość z mojej kości! Przywiozłem go do domu w trumnie dębowej, najdroższej, na jaką trafiłem, ale jakąż to pociecha? Żadna! Owoc naszej miłości, Jenny i mojej... Tak jakbym oglądał własne gnijące ciało.

Szare oczy napotkały wzrok Rozy.

-Wiem, że okrutnie cierpiał. Nikt nie umiera w taki sposób bezboleśnie. Próbowałem sobie wyobrazić to wszystko, próbowałem pojąć ból dzie-

więciolatka, który zdaje sobie sprawę, że czeka go śmierć, który w każdej minucie przytomności o tym myśli. I doprowadza mnie to do szaleństwa. Jestem bliski obłądu, Rosie. Mam nadzieję, że pozwolili mu zasnąć, że nie próbowali go budzić, gdy tracił przytomność... Zacisnął pięści.

-Wyglądało tak, jakby go osłaniali, wmawiam sobie więc, że oszczędzali go, jak tylko się dało. Oni, dorośli, wiedzieli, że nie ma ratunku. Na pewno uczynili wszystko, by mój syn jak najmniej cierpiał.

Znów zamilkł.

Obejrzałem każdy skrawek jego ciała, żeby sprawdzić, czy nie ma na nim ran. Zrozumiałbym, gdyby zabili go z litości. Dopiero potem powiedziano mi, że żaden z mężczyzn nie miał przy sobie broni, nawet noża...

Roza przytuliła go tak mocno, jak tuliła Lily, by ją pocieszyć, albo Mattiego, gdy się uderzył. Pozwolił się dotknąć. Wtulił się w jej pierś, a ona głaskała go po głowie, póki nie przestał płakać. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, bo to akurat nie miało teraz znaczenia.

Joe nie ruszał się. Jej serce biło spokojnie, niemal swojsko, pachniała znajomo, morzem. Jak dobrze było objąć ją w wąskiej talii, poczuć jak gładzi delikatnie palcami jego włosy. Zupełnie, jakby cofnął się do czasów dzieciństwa i znów był w Irlandii...

- Dzięki - wymamrotał dużo później, kiedy musiał się ruszyć, bo ścierpł w jednej pozycji, ale spuchnięte, zaczerwienione oczy nadal go piekły.

- Tuliłeś mnie, kiedy umarł Seamus - odpowiedziała. - Miałabym ci się nie odwdzięczyć tym samym?

- Może tak, może nie. Co powie na to Maxwell?
- Nie ma nic do powiedzenia odnośnie mojej osoby, Joe.
- Na pewno? Pokiwała głową.
- Te przeklęte lilie wyrastają każdego roku.
- O to chodziło.
- Naprawdę wciąż po nim nosisz żałobę? Musnął palcem jej kolano.
- Wyszłam ponownie za męża - odparła. - A on umarł przed paroma tygodniami.

Rozszerzył oczy szeroko ze zdumienia. Siedzieli tak blisko siebie, że mogłaby przytulić się policzkiem do jego ramienia, gdyby tylko chciała, ale tego nie uczyniła. Widziała zielone cętki w szarych oczach i jego śniadą karnację.

-Malcolm zaoferował mi miejsce na statku do dowolnego celu.

- A ty wracasz? Zamierzałaś wrócić do domu, Rosie? -Nie.

Uśmiechnął się, gdy wreszcie zrozumiał. Pocałował ją w czoło spierzchłymi wargami i stwierdził:

- Zamierzasz odnaleźć Michaela, prawda? Roza przytaknęła.

- Wiedziałem, że nie odpuścisz. Mimo wszystko. Jesteś razem z Lily?

Pokiwała głową, bo nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Masz więcej dzieci? -Nie. Tak.

- Dla mnie to wystarczająco jasne.

- Ten, który się ze mną ożenił, miał syna w wieku Lily, Mattiego.

I jest jeszcze mój brat z dwumiesięczną córeczką. Jej mama umarła przy porodzie.

- Cała ty, roztoczyłaś swoje opiekuńcze skrzydła
- rzekł czule i dotknął jej włosów. - Dlaczego Malcolm jest taki wspaniałomyślny, Rosie? Chyba z nim nie sypiasz?

Gdyby to powiedział ktoś inny, wymierzyłaby mu policzek. Ale do Joego uśmiechnęła się, mówiąc:

-Masz o mnie wyjątkowo dobre mniemanie, prawda?

- Dlaczego więc?

Roza wyjaśniła mu, jak się mają sprawy. Joemu nie spodobało się to, co usłyszał, i rozgniewał się jeszcze bardziej niż Roza.

-Jest ci winien znacznie więcej niż tę podróż, Rosie - oświadczył.

- Uważam, że nie powinnaś się tym zadowolić. Niech zapłaci wszystko, co ci się należy!

- Chcę jedynie odnaleźć Michaela.

Joe odchylił się, kładąc ramię na oparciu sofy, i postukał palcami zamyślony.

- Nie pojmuję, jak Malcolm mógł ci w ogóle coś takiego zaproponować! Ale nie musisz niczego podpisywać, Rosie! Nie potrzebujesz pomocy Harta. Możecie od razu opuścić statek.

- Tak czy inaczej, płyniemy dalej...

-Teraz masz mnie, Rosie. Jesteśmy rodziną -oświadczył Joe i popatrzył na nią z przekonaniem.

- Nie obchodzi mnie, ilu miałaś mężów, ani co się wydarzyło od twojego wyjazdu z Georgii. Ja na to patrzę w taki sposób: nie przestałaś być członkiem rodziny O'Connorów, a w takiej sytuacji nie mogę pozwolić, by Hart, akurat ze wszystkich ludzi właśnie on, był tym, do którego się zwracasz w potrzebie. My, O'Connorowie, jesteśmy już tacy dziwni, że najchętniej trzymamy ze swoimi.

Jakby tego nie wiedziała!

- Sprowadzimy tu twoją rodzinę. W tym cholernym hotelu na pewno jest jeszcze parę wolnych pokoi, a jeśli nie, to niech kogoś stąd wyrzucą. Moja bratanica ma spać na statku w porcie?

Roza wiedziała, że jest to jakaś możliwość, poprosiła jednak:

- Nie dopuść do tego, by Malcolm mógł ci jakoś zaszkodzić, Joe! Nie pomożesz mi, jeśli go rozgniewasz. Jego gniew obróci się przeciwko mnie. On ma wpływowych przyjaciół. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby na ciebie doniósł. Wciąż jesteś poszukiwany w Irlandii?

Pokręcił głową z uśmiechem.

-Jestem teraz całkowicie pełnoprawnym obywatelem, Rozie.

Bogatym Irlandczykiem z Georgii. -Zmrużył oczy. - A Malcolm z nikim nie będzie rozmawiał. Nie zechce zaszkodzić sobie samemu. Nie będzie też nalegał na twój podpis, moja droga. Powiem mu, co sędzę o takich sposobach prowadzenia interesów. Musi cię spłacić. Będzie go to kosztowało znacznie więcej niż wynosiła wartość udziałów Seamusa przed sześciu laty.

- Nie możesz tego zrobić.

- Zobaczysz!

Przez moment Roza ujrzała w nim tę samą bezwzględność, którą parę razy zauważyła u Seamusa. Przeraziło ją to, bo pomyślała, że ta cecha ujawni się kiedyś u jej dzieci.

- Może odmówić.

-Wówczas moi amerykańscy adwokaci zadbają o to, by zmienić zdanie, bo jeśli nie, będzie to go kosztowało więcej, niż gdyby od razu dopełnił wszystkich formalności. Ten człowiek usiłuje ukraść

spadek Lily po ojcu. Lily i Michaelowi - dodał, odetchnąwszy głęboko.

- On zamieni w piekło moją podróż do Nowej Zelandii!

- Nie - zapewnił ją Joe. - Malcolm Hart nie będzie miał odtąd żadnego wpływu na twoje podróże, Rosie. Zabieram ciebie i twoją rodzinę do Georgii!

- Nie! - odparła gorączkowo.

- Jared Jordan nie żyje - wyjaśnił Joe cicho. Roza nadal drżała.

- Daj mi dokończyć! Posłuchaj, co mówię, zanim rzucisz mi się do gardła! Może dzięki tobie zyskam jakiś cel w życiu. Nie chcesz mi pomóc zapełnić pustki?

- Nie możesz mi zabronić szukać Michaela!

- Zamierzam raczej ci w tym pomóc. Bo ty, oczywiście, planowałaś walczyć sama w obcym kraju?

- Mam Olego - odpowiedziała.

- Teraz masz też i mnie.

- Jakie dokumenty mam ci podpisać? - zapytała wreszcie.

- Żadnych - odparł, podnosząc dłoń i pogładził palcem jej twarz od czoła po podbródek.

- Zdaje się, że już to przerabialiśmy, prawda, Rosie? - rzucił ze słodko-gorzką melancholią i pokręcił głową. - Nie oczekuję od ciebie niczego prócz przyjaźni.

- Tę już masz.

Pocałował jej dłoń, jak to czynią dżentelmeni w Georgii.

- Pojedziemy od razu po twoją rodzinę? Chciałbym zobaczyć się z moją bratanicą.

- Pozwolisz mi w drodze do portu opowiedzieć, jaki miałam sen?

- Czy to jeden z tych, w które Adam nigdy nie chciał wierzyć? - zapytał, wzmagając czujność.

Roza potwierdziła skinieniem głowy.

- Nakłoni mnie do płaczu?

- Może.

- W takim razie nie chcę go słyszeć, póki nie dotrzemy do Georgii. Zechcesz poczekać z tym, póki nie wrócimy do domu?

Roza pokiwała głową.

- Pochowałem go w „Favourite” - powiedział Joe, poprawiając kapelusz, by leżał nienagannie. - Nie chciałem go zostawić samego. Wierzę, że Seamus go pilnuje.

- Tak jak ty opiekujesz się mną - uśmiechnęła się

Roza.

Joe objął ją braterskim gestem i odparł: - Właśnie. Tacy już jesteśmy, my, O'Connorowie...

Epilog

9 września 1849

„Wyjechali z Liverpoolu dzisiaj wczesnym rankiem. Roza raz jeszcze prosiła mnie o wybaczenie za to, że złożyła mi obietnicę, której nigdy nie zamierzała dotrzymać. Prosiła, bym jej z tego powodu nie nienawidził zbyt długo i dodała, że w Anglii jest dość odpowiednich kandydatek na żonę dla mnie.

Nie czuję do niej nienawiści.

Mój ojciec mówi, że udusi tego łotra, Josepha O'Connora, jeśli go znowu zobaczy, ale obaj wiemy, że nawet po tym zdarzeniu będą ich łączyć partnerskie stosunki. Tym razem to Joe miał przewagę. Nie zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawy, póki nie usłyszałem od Rozy.

Zarówno kobieta, którą kocham, jak i mój własny ojciec potraktowali mnie jak pionka na szachownicy. Jak kogoś mało znaczącego. Tak, jestem czarnym pionkiem.

Roza mówi, że nie zamierza poślubić Josepha, ale ja wiem lepiej. Sądzi pewnie, że zapomnę o tym, co jej wyznałem, ale ja pamiętam każde słowo. I pod każdym mogę się podpisać.

Poczekam.

Małżonkowie Rozy szybko umierają.

Nadal ją kocham i kiedyś się z nią ożenię".